



TOXYCZNE DZIEWIĘCZYN

RORY POWER



RORY POWER

**TOXYCZNE
DZIEWCZYNY**

**TŁUMACZENIE
PIOTR RAGANOWICZ
PAULINA RAGANOWICZ**

OŚWIĘCIM 2019

Tytuł oryginału

Wilder Girls

Wilder Girls

Copyright © 2019 by Rory Power

First published in 2019 by Delacorte Press

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe

tel. 691962519

Oświęcim 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Redakcja:

D.B. Foryś

Korekta:

Julia Deja

Aneta Kunowska

Ludmiła Skrzydlewska

Redakcja techniczna:

Mateusz Bartel

Projekt okładki:

Aykut Aydogdu

Przygotowanie okładki:

Paulina Klimek

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-8178-129-9

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Konwersja

[eLitera s.c.](#)

Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[HETTY](#)

[ROZDZIAŁ 1](#)

[ROZDZIAŁ 2](#)

[ROZDZIAŁ 3](#)

[ROZDZIAŁ 4](#)

[ROZDZIAŁ 5](#)

[ROZDZIAŁ 6](#)

[BYATT](#)

[ROZDZIAŁ 7](#)

[ROZDZIAŁ 8](#)

[HETTY](#)

[ROZDZIAŁ 9](#)

[ROZDZIAŁ 10](#)

[BYATT](#)

[ROZDZIAŁ 11](#)

[ROZDZIAŁ 12](#)

[HETTY](#)

[ROZDZIAŁ 13](#)

[ROZDZIAŁ 14](#)

[BYATT](#)

[ROZDZIAŁ 15](#)

[ROZDZIAŁ 16](#)

[HETTY](#)

[ROZDZIAŁ 17](#)

[ROZDZIAŁ 18](#)

[ROZDZIAŁ 19](#)

[ROZDZIAŁ 20](#)

[ROZDZIAŁ 21](#)

[ROZDZIAŁ 22](#)

[ROZDZIAŁ 23](#)

[ROZDZIAŁ 24](#)

[ROZDZIAŁ 25](#)

[ROZDZIAŁ 26](#)

[PODZIĘKOWANIA](#)

[Przypisy](#)

Mojej mamie,
sobie samej,
oraz nam obojgu z przeszłości.
Tym, które nigdy nie przypuszczały,
że znajdziemy się tu, gdzie jesteśmy
teraz,
razem

Wszystkiemu,
co nadmierne,
osobliwe,
sprzeczne¹.

HETTY

ROZDZIAŁ 1

Coś. Daleko między światłem a cieniem. Porusza się pośród drzew, gdzie gęstnieją zarośla. Z dachu można dostrzec, jak zamiata wokół siebie ogonem, przemieszczając się w kierunku oceanu.

Sądząc po rozmiarze, to musi być kojot. Jeden z tych większych, ze sterczącymi łopatkami oraz ostrymi zębami – mogłabym chwycić każdy z nich w dłoń niczym nóż. Wiem, bo raz znalazłam taki wystający częściowo z ogrodzenia. Zabrałam go ze sobą i schowałam pod łóżkiem.

Kolejny trzask w krzakach, a potem znów cisza. Po drugiej stronie tarasu Byatt opuszcza broń i opiera ją o balustradę. Teren czysty.

Ja swoją na wszelki wypadek trzymam uniesioną z celownikiem przy lewym oku. Prawe jest martwe, odkąd paroksyzm² pograżył je w ciemności. Powieka stopiła się i zrosła, zamykając oko na amen. Pojawiło się też uczucie, jakby pod spodem coś rosło.

Tak to u nas wygląda, wszystkie takie jesteśmy. Chore albo, jak kto woli, niezwykle z niewiadomej przyczyny. Coś rozrywa nas od środka. Części ciała odpadają i zanikają. To nas hartuje. Przyzwyczajamy się i jakoś sobie z tym radzimy.

Przez celownik widzę południowe słońce wybielające świat, a także las, który ciągnie się po kraniec wyspy, gdzie w dole huczy ocean. Bujne sosny się stroszą, wyrastając ponad budynek. Tu i tam zdarzają się puste przestrzenie, ponieważ dęby i brzozy zgubiły liście, ale w większości sklepienie jest ciasno utkane sztywnymi od mrozu igłami. Ponad nimi znajduje się jedynie antena radiowa, teraz bezużyteczna, gdy nie ma sygnału.

W górze drogi ktoś krzyczy, po czym spod osłony drzew wyłania się powracająca do domu Brygada Łodziowa. Tylko tym paru osobom wolno uczestniczyć w wyprawie przez całą wyspę. Kierują się do przystani, do której zazwyczaj zawijały promy, a gdzie teraz marynarka dostarcza jedzenie oraz ubrania. Reszta z nas zostaje za ogrodzeniem, modląc się,

aby wszyscy bezpiecznie dotarli z powrotem.

Najwyższa, panna Welch, przystaje przy bramie i zaczyna mocować się z zamkiem. W końcu go otwiera, a następnie Brygada Łodziowa, z zaczerwienionymi od mrozu policzkami, chwiejnym krokiem wchodzi na teren szkoły. Wróciły wszystkie trzy osoby, a każda z nich ugina się pod ciężarem zgrzewek, mięsa czy kostek cukru. Welch się odwraca, by zamknąć za sobą furtkę. Ma zaledwie pięć lat więcej niż najstarsza z uczennic i jest najmłodszą z nauczycielek. Przedtem mieszkała z nami w jednej sali. Zawsze udawała, że nie widzi, kiedy któraś nie przestrzegала godziny policyjnej. Teraz każdego ranka nas liczy, żeby się upewnić, iż żadna nie zginęła przez noc.

Macha, dając znać, że wszystko w porządku, wtedy Byatt jej odmachuje. Ochrona bramy należy do mnie, ona pilnuje drogi. Czasami się zamieniamy, niestety moje oko nie radzi sobie zbyt dobrze na większe odległości, dlatego nigdy nie trwa to długo. Pomimo tego wciąż jestem lepszym strzelcem od połowy dziewczyn zdolnych zająć moje miejsce. Ostatnia z przybyłych osób wchodzi na ganek, a potem znika z zasięgu wzroku. Tak kończy się nasza warta. Rozładowujemy strzelby. Wtykamy naboje do pudełka dla kolejnej zmiany. Po jednym wsuwamy sobie do kieszeni – na wszelki wypadek.

Dach jest zwieńczony płaskim tarasem, opadającym od trzeciego do drugiego piętra. Ześlizgujemy się z jego krawędzi i przez otwarte okno wskakujemy do środka. Dawniej, gdy nosiłyśmy spódnice oraz skarpetki, było to trudniejsze, jednak wewnętrzny głos wciąż nam podpowiadał, żeby trzymać złączone razem kolana. Stare dzieje. Teraz, kiedy zakładamy poszarpane dzinsy, nie musimy się tym przejmować.

Byatt wdrapuje się za mną, zostawiając na parapecie kilka nowych rys. Odrzuca włosy za plecy. Są proste, tak samo jak moje, w kolorze jasnego, żywego brązu. I czyste. Nawet jeśli brakuje chleba, szamponu zawsze mamy pod dostatkiem.

– Co widziałaś? – pyta.

– Nic. – Wzruszam ramionami.

Śniadanie było dość skromne, stąd teraz czuję, jak moje kończyny drżą z głodu. Wiem, że Byatt odczuwa to samo, więc po lunch zbiegamy po

schodach na parter, do głównego holu z wielkim, strzelistym sufitem. Stoją tam pokiereszowane, powykrzywiane stoły, kominek oraz kanapy z wysokimi oparciami, z których kiedyś wyrwałyśmy wypełnienie, a później je spaliłyśmy, by się ogrzać. No i jesteśmy my, w komplecie, głośne i pełne życia.

Gdy to się zaczęło, było nas około stu dziewczyn i dwudziestu nauczycielek. Razem zajmowałyśmy oba skrzydła starego budynku. Obecnie wystarczy nam tylko jedno.

Łodziowe wchodzi przez drzwi frontowe, po czym pozwalają torbom opaść na podłogę. Zaczyna się walka o jedzenie. Przeważnie wysyłają nam puszki, ale czasami dostajemy też paczki z suszonym mięsem. Rzadko zdarza się coś świeżego i nigdy nie starcza dla wszystkich. Posiłki wyglądają w ten sposób, że Welch idzie do kuchni, otwiera spiżarnię, a następnie rozdziela najmniejsze racje żywnościowe, jakie kiedykolwiek widziano. Natomiast dzisiaj jest dzień dostawy, Brygada Łodziowa przyniosła nowe zaopatrzenie, z kolei to oznacza, że Welch z dyrektorką szkoły nie zechcą brudzić sobie rąk. Pozwolą każdej z nas zawalczyć o jedną rzecz.

Tymczasem Byatt i ja nie musimy tego robić. Reese stoi przy drzwiach, zatem łapie dla nas torbę, a potem odstawia ją na bok. Gdyby zrobił to ktoś inny, ludzie by się sprzeciwili, ale że to Reese – z lewą ręką pokrytą ostrymi łuskami – nikt nie protestuje.

Dziewczyna była jedną z ostatnich, które zachorowały. Myślałam, że może ją to ominie, że jest bezpieczna, lecz wówczas się zaczęło. Łuski, każda jakby z elastycznego srebra, wychodzące przez skórę tak, jak gdyby wydostawały się z jej wnętrza. To samo przydarzyło się koleżance z naszego roku. Rozrosły się po całym ciele, wyziębując krew, przez co pewnego ranka po prostu się nie obudziła. Właśnie dlatego sądziłyśmy, że Reese podzieli jej los. Przeniesiono ją na piętro, aby tam czekała na śmierć. Tak się jednak nie stało. Jednego dnia trafiła do ambulatorium, a kolejnego była już z powrotem. Jej lewa ręka jest co prawda czymś dzikim, ale wciąż należy do niej.

Reese rozrywa torbę i pozwala mi oraz Byatt sięgnąć do środka. Ścisną mnie w żołądku, a ślina zbiera się na języku. Cokolwiek, wezmę cokolwiek. Niestety źle trafiłyśmy. Mydło. Zapalki. Pudełko długopisów. Karton pocisków. I nagle, na samym dnie, pomarańcza – prawdziwa, żywa pomarańcza, która ledwie zaczęła gnąć na skórcie!

Coś nas chwytą. Srebrna dłoń Reese łąduje na moim kołnierzyku. Czuję pod łuskami bijące od niej gorąco, ale przewracam ją na ziemię i celuję kolanem w bok jej twarzy. Zaciskam zęby, owijając ramię wokół szyi Byatt. Jedna z dziewczyn kopie. Nie wiem która. Dostaję w tył głowy i z trzaskiem uderzam nosem o krawędź schodka. Robi mi się białe przed zdrowym okiem. Dokoła nas inne krzyczą, obstawiając zakłady.

Któraś trzyma mnie za włosy, ciągnąc to w górę, to w dół. Okręcam się. Gryzę tam, gdzie ścięgna naciskają na skórę, wtedy dziewczyna reaguje wrzaskiem. Mój uchwyt słabnie, jej również, więc w końcu się od siebie odrywamy.

Ścieram krew z oka. Reese leży w połowie schodów z pomarańczą w dłoni. Wygrała.

ROZDZIAŁ 2

Nazywamy to Toxem. Przez pierwsze kilka miesięcy na okrągło wykorzystywano go jako tematy lekcji: „Epidemie wirusowe w cywilizacjach zachodnich – historia”, „Tox jako źródło słów z języków łacińskich”, „Przepisy farmaceutyczne w stanie Maine”... Szkoła jak szkoła, nauczyciele stoją przy tablicy w zakrwawionych ubraniach, planują kartkówki tak, jakbyśmy za tydzień wszyscy mieli nadal tu być. *Świat się nie kończy, informowali, tak samo jak wasza edukacja.*

Śniadanie w jadalni. Matematyka, angielski, francuski, lunch, strzelanie do celu. Zajęcia sprawnościowe oraz nauka udzielania pierwszej pomocy. Panna Welch bandażuje rany, a dyrektorka zszywa je za pomocą igły. Kolację jemy wspólnie, później zamykają nas razem na noc. *Nie, nie wiem, co powoduje u was chorobę, mawiała Welch. Wszystko będzie z wami w porządku. Tak, niedługo znowu wrócicie do domów.*

Szybko się to skończyło. Zajęcia przestały podążać zgodnie z planem, kiedy Tox zabierał nauczyciela za nauczycielem. Zasady rozsypały się w pył i przemieły z wiatrem, aż pozostały tylko te najpotrzebniejsze. Wciąż jednak liczymy dni, budząc się każdego ranka, aby obserwować niebo w poszukiwaniu kamer czy świateł. *Ludzie na kontynencie o nas pamiętają, powtarza zawsze Welch. Martwią się o nas od momentu, w którym wicedyrektorka zadzwoniła po pomoc do Camp Nash na wybrzeżu, gdzie teraz szukają lekarstwa.* W pierwszej dostawie zaopatrzenia – przyniesionej przez Brygadę Łodziową – była notatka. Napisana, podpisana i wydrukowana przez Marynarkę Wojenną na ich papierze firmowym.

OD: Sekretarz Marynarki Wojennej, Komendant Główny Departamentu Obrony, Incydent Chemiczny/Biologiczny, Oddział Szybkiego Reagowania (CBIRF), Dyrektor Camp Nash, Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom (CDC)

DO: Szkoła dla Dziewcząt Raxter, wyspa Raxter

TEMAT: Kwarantanna zalecona przez CDC

Natychmiastowe wdrożenie pełnej izolacji. Pacjenci mają przez cały czas pozostać na terenie szkoły – dla bezpieczeństwa oraz żeby zachować pierwotne warunki zarażenia. Przekroczenie ogrodzenia jest naruszeniem warunków kwarantanny. Nie dotyczy to zespołu upoważnionego do odbioru zaopatrzenia (patrz poniżej).

Trwa wyłączenie dostępu do sieci telefonicznej oraz internetowej. Komunikacja możliwa jedynie poprzez oficjalne kanały radiowe.

Trwa pełna weryfikacja informacji. Zaopatrzenie będzie przekazywane przez punkt dostaw na zachodnim molo. Data i czas zostaną wyznaczone przez latarnię morską Camp Nash.

Diagnoza i lekarstwo są w fazie badań. CDC współpracuje z lokalnymi placówkami w kwestii leku. Oczekujcie dostawy.

Czekać i pozostać przy życiu. Myślałyśmy, że to będzie proste – razem za ogrodzeniem, oddzielone od lasu oraz zwierząt, które stały się dzikie i dziwaczne – ale wciąż traciłyśmy kolejne osoby. Paroksyzmy wyniszczały ich ciała, sprawiając, iż nie mogły choćby oddychać, wywoływały niegojące się rany, a czasami też gwałtowność, obracającą oszalale dziewczyny przeciwko sobie. Wciąż się to zdarza. Z tą różnicą, iż teraz wiemy, że jedyne, co możemy zrobić, to pilnować własnego nosa.

Reese oraz Byatt należą do mnie, natomiast ja do nich. To za nie się modlę, gdy mijając tablicę ogłoszeń, przesuwam dwoma palcami po notatce od Marynarki Wojennej, która wciąż tu wisi, pożółkła i pognieciona, niczym talizman przypominający o złożonej przez nich obietnicy. Lekarstwo nadchodzi, musimy tylko pozostać przy życiu.

Reese wbija srebrne paznokcie w pomarańczę i zaczyna ją obierać. Zmuszam się, aby patrzeć w przeciwnym kierunku. Kiedy jedzenie jest świeże, tak jak w tym przypadku, walczymy o nie. Powiedziała, że to jedyne uczciwy sposób na rozwiązanie sporu. Żadnej jałmużny, zero litości. Nigdy by jej nie wzięła, gdyby nie czuła, że na nią zasługuje.

Wokół nas reszta dziewczyn zbiera się w akompaniamencie głośnego

śmiechu, a następnie przekopuje się przez wypadające z każdej torby ubrania. Marynarka wciąż wysyła nam dostawy wystarczające dla naszej pierwotnej liczby, a także koszulki i buciki, które są zbyt małe, żeby któraś z nas je włożyła.

Są również kurtki. Nigdy nie przestają przysyłać kurtek. Nie, odkąd szron zaczął pokrywać trawę. Gdy uderzył Tox, była wiosna. Na nadchodzące lato wystarczyły nam nasze mundurki składające się z jednolitych spódnic oraz zapinanych koszul, ale – jak zawsze w Maine – nadeszła długa, ciężka zima. W ciągu dnia paliłyśmy ogniska, zaś nocą pracowały prądnice, które dostałyśmy od marynarki. Oczywiście dopóki nie zniszczyła ich burza.

– Masz na sobie krew – mówi Byatt.

Chlupocze mi w nosie. Reese odrywa połę swojej koszuli i mi ją rzuca. Przyciskam materiał do twarzy.

Nad nami, na mezaninie³, coś zaczyna szurać. Wszystkie spoglądamy w górę. To Mona z roku wyżej. Ma rude włosy oraz buzię w kształcie serca. Wróciła ze znajdującego się na trzecim piętrze ambulatorium, gdzie zabrano ją po paroksyzmie ostatniego lata. Przebywała tam całe wieki i wątpię, aby ktokolwiek podejrzewał, że stamtąd wróci. Pamiętam, jak tamtego dnia jej twarz parowała i pękała, oraz kiedy niesiono ją do izby chorych z narzuconym na głowę prześcieradłem tak, jakby już była martwa.

Teraz jej policzki przecina siateczka blizn, a na włosach widać zaczątek poświaty. Z blond warkocza Reese bije podobna łuna, wywołana przez Tox, i jest to tak bardzo z nią tożsame, że jestem zaskoczona, widząc to samo u Mony.

– Hej – zagaduje, stojąc niepewnie na nogach. Jej przyjaciółki podbiegają do niej, uśmiechają się i machają. Zachowują jednak spory odstęp.

Nie obawiamy się zarażenia. Każda z nas to w sobie ma, czymkolwiek to jest. Odstrasza nas widok znów rozpadającej się dziewczyny. Świadomość, iż nas też to w końcu spotka. Wiedza, że jedyne, co możemy zrobić, to trwać w nadziei, że jakoś zdołamy przez to przejść.

– Mona – przemawiają jej przyjaciółki. – Dobrze znów cię widzieć.

Obserwuję, jak rozmowa się urywa. Dziewczyny odchodzą, by skorzystać z ostatnich promieni słońca. Zostawiły Monę samą na kanapie, wpatrującą się we własne stopy. Nie ma już dla niej miejsca pośród nich. Przyzwyczały się do jej nieobecności.

Spoglądam w górę na Reese oraz Byatt, przez co nie trafiam nogą w stopień. Nie wiem, czy kiedykolwiek mogłabym się od nich odzwyczaić.

Byatt wstaje, a dziwna zmarszczka wykrzywia jej brew.

– Zaczekajcie – mówi, po czym podchodzi do Mony.

Rozmawiają przez chwilę. Byatt się pochyla, żeby Mona mogła ją lepiej słyszeć. Błysk włosów dziewczyny obmywa skórę mojej przyjaciółki czerwienią. Następnie Byatt się prostuje, a Mona naciska jej kciukiem na wewnętrzną stronę przedramienia. Obydwie wyglądają na wytrącone z równowagi. Tylko troszeczkę, mimo wszystko to dostrzegam.

– Dobry wieczór, Hetty.

Odwracam się. To dyrektorka. Rysy jej twarzy są jeszcze ostrzejsze niż zazwyczaj. Siwe włosy upięła w ciasny kok, z kolei guziki koszuli zapięła pod samą szyję. Wokół ust kobiety dostrzegam blad różową plamę od krwi, która nieustannie sączy się spomiędzy jej warg. Tox ją i Welch potraktował inaczej. Nie wykończył ich tak, jak resztę nauczycieli. Nie zmienił także ciał w taki sam sposób, w jaki robi to z naszymi. Zamiast tego na ich językach powstały jątrzące się wrzody, a w kończynach nigdy niekończące się drżenie.

– Dobry wieczór – odpowiadam. Przymyka oko na wiele rzeczy, ale nie na maniery.

Wskazuje przez salę na wciąż pochylającą się nad Moną Byatt.

– Jak sobie radzi?

– Mona? – pytam.

– Nie, Byatt.

Od czasu późnego lata u Byatt nie wystąpił paroksyzm, zatem na pewno niedługo ją to czeka. Paroksyzmy pojawiają się sezonowo, każdy kolejny gorszy od poprzedniego, aż nie jesteśmy już w stanie ich znieść. Natomiast po jej ostatnim nie mogę sobie wyobrazić niczego gorszego. Nie wygląda ani trochę inaczej – poza tym, że nie może pozbyć się bólu

gardła, za to przez jej plecy przechodzi miejscami przebijający się przez skórę, kościsty grzebień – a pamiętam wszystkie z następujących po sobie zmian. Jak ciekła z niej krew, która potem sączyła się przez nasz stary materac, dopóki nie zaczęła kapać na deski podłogowe pod łóżkiem. Była zupełnie ogłupiała, gdy rozdarła się skóra wzdłuż jej kręgosłupa.

– Dobrze się trzyma – mówię. – Obawiam się, że to jednak tylko kwestia czasu.

– Przykro mi to słyszeć – odpowiada kobieta. Przygląda się Byatt i Monie troszeczkę dłużej, marszcząc brwi. – Nie wiedziałam, że byliście przyjaciółkami Mony.

Od kiedy ją to interesuje?

– Raczej koleżankami.

Dyrektorka patrzy na mnie, jakby była zaskoczona, że wciąż tu stoję.

– Uroczo – stwierdza. Rusza przez hol, po czym idzie korytarzem do swojego gabinetu.

Przed Toxem widywaaliśmy ją codziennie, ale teraz chodzi do ambulatorium albo zamyka się w biurze, gdzie przyklejona do radia, rozmawia z marynarką i CDC.

My nigdy nie miałyśmy zezwolenia na korzystanie z komórek – według broszurki to buduje charakter. Pierwszego dnia Toxu odcięto kable linii telefonicznej. Dopilnowano, aby wszystko pozostało utajnione, żeby utrzymać kontrolę nad obiegiem informacji. Przynajmniej mogłyśmy rozmawiać z rodzicami przez radio i słuchać, jak za nami płaczą. Do czasu. W końcu marynarka stwierdziła, że sprawa zaczęła wymykać się spod kontroli, więc tego również zabronili. Musieli podjąć odpowiednie kroki.

Dyrektorka nigdy nie zwracała sobie głowy tym, by nas pocieszać. Nie miało to większego sensu.

Zanim wróciła do nas Byatt, kobieta zdążyła już zamknąć za sobą drzwi gabinetu na klucz.

– O co chodziło? – pytam ją, gdy staje obok. – Z Moną.

– O nic. – Pomaga wstać Reese. – Idziemy.

Raxter zbudowano na sporym skrawku ziemi na wschodnim końcu wyspy. Budynek z trzech stron otacza woda, a z czwartej mieści się płot oraz brama. Za nią rośnie las, z tymi samymi sosnami i świerkami, które znajdują się także na terenie szkoły, ale za ogrodzeniem są grube i splątane. Młode pnie owijają się wokół starszych. W naszej części jest czysto i schludnie, jak przedtem – tylko my się zmieniłyśmy.

Reese prowadzi nas przez teren szkoły do miejsca na wyspie, w którym skorkowaciały wystawione na wiatr skały i ułożyły się razem w żółwią skorupę. Teraz siedzimy tam ramię w ramię z Byatt pomiędzy nami. Orzeźwiająca bryza rozwiewa jej luźne kosmyki. Dzisiaj jest spokojnie, bładoniebieskie, czyste niebo. W oddali pustka. Za Raxter ocean staje się głęboki, połyka mieliznę i popycha prądy morskie. Na horyzoncie nie widać żadnych statków ani lądu. Nic nie przypomina nam o tym, że gdzieś tam wciąż istnieje świat, który w niezmienny sposób trwa bez nas.

– Jak się czujesz? – podpytuje Byatt.

Dwa dni temu blizna na moim ślepym oku strasznie napuchła. To pamiątka po początkach epidemii, kiedy jeszcze nie rozumiałyśmy, co się z nami dzieje.

Mój pierwszy paroksyzm na zawsze zamknął mi prawe oko i pozbawił w nim wzroku. Myślałam, że na tym się skończy, dopóki pod spodem nie zaczęło coś rosnąć. Trzecia powieka, jak przypuszczała Byatt. Nie bolało, po prostu swędziało jak diabli i czułam, że coś się pod nią porusza. Właśnie dlatego próbowałam ją rozerwać.

To było głupie. A blizna jest tego wystarczającym dowodem. Ja sama ledwie cokolwiek z tego pamiętam, ale Byatt mówi, że w połowie zmiany Brygady Ogniowej upuściłam strzelbę i drapałam twarz tak, jakby coś przejęło nade mną kontrolę, skierowało moje paznokcie na zaskorupiałe rzęsy i zaczęło szarpać skórę.

Szrama prawie się zagoiła, lecz co jakiś czas się otwiera i krew spływa mi po policzku, różowa i wodnista, zmieszana z ropą. Podczas Zmiany Ogniowej moje myśli są skupione na czymś innym, więc nie jest tak źle, choć teraz mogę usłyszeć własne tętno. Skazona krew? Możliwe. To jednak najmniejsze z naszych zmartwień.

– Możesz mi to zaszyć? – Staram się nie okazać niepokoju, ale ona i tak

to wyczuwa.

– Aż tak źle?

– Nie, po prostu...

– Umyłaś je chociaż? – przerywa mi.

Reese wydaje pomruk satysfakcji.

– Mówiłam ci, żebyś nie zostawiała otwartej rany – rzuca przemądrzale.

– Podejź tu – prosi Byatt. – Daj mi spojrzeć.

Ustawiam się na skałach w taki sposób, by mogła ukłęknać, i unoszę ku niej głowę. Przesuwa palcem po okaleczeniu, muskając moją powiekę. Pod spodem coś się wzdryga.

– Wygląda, jakby bolało – mówi, wyciągając z kieszeni igłę i nić. Zawsze ma je ze sobą od momentu, w którym moje oko zabliźniło się po raz pierwszy. Z naszej trójki ona jest najbliżej siedemnastych urodzin. Widać to właśnie w takich sytuacjach. – Dobra. Nie ruszaj się.

Wbija igłę, wtedy czuję ból, lecz na tyle nieduży, że koi go zimny wiatr. Próbuję puścić do niej oczko, sprawić, aby się uśmiechnęła, ale ona jedynie kręci głową i marszczy brwi.

– Mówiłam, Hetty, żebyś się nie ruszała.

Jest w porządku. Byatt wpatruje się we mnie tak, jak ja w nią. Jestem bezpieczna, ponieważ ona tu jest. Do czasu, aż wbija igłę trochę zbyt głęboko. Spinam się, a całe moje ciało zgina się w pół. Ból mnie oślepia, jest wszędzie. Świat się rozplywa. Czuję spływającą mi do ucha krew.

– O mój Boże – piszczy. – Hetty, nic ci nie jest?!

– To tylko szwy – odzywa się Reese. Leży z zamkniętymi oczami na kamieniach, obrócona brzuchem do góry. Koszula podjeżdża jej tak wysoko, że mimo zawrotów głowy wyraźnie widzę blady skrawek skóry. Nie odczuwa zimna, nawet w dni takie jak ten, kiedy nasze oddechy zmieniają się w parę.

– Tak – odpowiadam. W przeciwieństwie do mojego oka, ręce Reese nigdy nie sprawiają jej problemu. Uspokajam warczenie wydobywające się spomiędzy moich warg. Jest wiele rzeczy, o które mogłybyśmy się pokłócić, ale to nie musi być akurat ta. – Kontynuuj.

Byatt próbuje coś powiedzieć, lecz zagłusza ją dochodzący z okolic

ogrodu krzyk. Odwracamy się, by sprawdzić, czy któraś z dziewczyn nie przeżywa właśnie swojego pierwszego razu. Raxter przeprowadza sześć roczników przez liceum, a raczej przeprowadzało, więc wszystkie nasze najmłodsze dziewczęta skończą niebawem trzynaście lat. Miały po jedenaście, gdy zaczął się ten cały bałagan, i teraz Tox po kolei w nie uderza.

Nic złego się jednak nie dzieje. To tylko Dara o pletwiastych palcach z naszego roku, czeka tam, gdzie piętrzą się kamienie.

– Strzelanie! – woła do nas. – Panna Welch mówi, że czas poćwiczyć.

– Idziemy.

Byatt zawiązuje moje szwy, wstaje i wyciąga do mnie rękę.

– Dokończę po kolacji.

Przed Toxem też ćwiczyliśmy strzelanie. To praktykowana od początków szkoły tradycja, choć wówczas miała inny charakter niż teraz. Wyłącznie uczennice ostatniego roku – oraz Reese, która jest najlepszym strzelcem na wyspie, urodzona do tego tak, jak do wszystkiego w Raxter – szły do lasu z panem Harkerem strzelać do puszek po napojach. Mężczyzna układał je na ziemi jedna obok drugiej. Reszta z nas miała wtedy zajęcia z bezpiecznego obchodzenia się z bronią, chociaż zwykle wyglądały raczej jak czas wolny, gdyż pan Harker nieustannie spóźniał się z powrotem.

Niestety później Tox odebrał nam pana Harkera. Pozbawił także Reese ręki, którą strzelała, i zmienił ją w taki sposób, że nie była już w stanie pociągnąć za spust. Strzelanie przestało być po prostu strzelaniem, a stało się treningiem strzeleckim, ponieważ teraz istnieją stworzenia, które musimy zabijać. Co kilka dni, popołudniami, kiedy słońce zniża się nad ziemią, każda z nas po kolei strzela tak długo, aż trafi w sam środek celu.

Musimy być gotowe, powtarza nam Welch. Żeby bronić siebie i innych.

Podczas pierwszej zimy przez ogrodzenie przedostał się lis. Zwyczajnie prześlizgnął się pomiędzy prętami. Jedna z dziewczyn z Brygady Ogniowej przyznała, że nie potrafiła go zabić, bo przypominał jej psa z rodzinnego domu. To właśnie dlatego zwierzę przemknął przez teren szkoły aż na

dziejnieniec. I właśnie dlatego zapędził w kozi róg ostatnią z najmłodszych uczennic, po czym rozerwał jej gardło.

Ćwiczymy niedaleko cypla w stodole. Znajdują się tam wielkie, przesuwane drzwi, otwarte po obu stronach, aby niecelne strzały lądowały w oceanie. Dawniej trzymano tu cztery konie, ale wczesną wiosną zauważyliśmy, że Tox przeniknął do ich ciał, identycznie jak do naszych. Wypychał im kości przez skórę, rozciągając ją tak mocno, aż zaczynały ryczeć. Wyprowadziłyśmy je więc na zewnątrz, zaciągnęłyśmy do wody i zastrzeliłyśmy. Ich przegrody stoją teraz puste. Ustawiamy się w nich, czekając na swoją kolej. Musimy strzelać bez przerwy, dopóki nie zrobimy tego prawidłowo.

Panna Welch trzyma większość arsenału pod kluczem w szkolnym magazynie. Przechowuje tam również naboje – marynarka zaczęła je przysyłać, jak tylko usłyszała o zwierzętach. Tutaj do dyspozycji mamy jedynie dubeltówkę oraz karton łusek. Są poukładane na stole zrobionym z dwóch drewnianych kozłów i deski ze sklejki. To nie to samo, co strzelby, z których strzelamy w trakcie Zmiany Ogniowej, ale Welch zawsze powtarza, że broń to broń. Te słowa za każdym razem powodują skurcz szczęki u Reese.

Ustawiam się przed drzwiami boksu i czuję, jak się huśtają, kiedy Byatt do mnie doskakuje. Reese wchodzi niedbale pomiędzy nas. Nie dopuszczają jej do strzelania z powodu ręki, mimo to przychodzi tu codziennie. Spięta i milcząca obserwuje cel.

Wcześniej kolejność była alfabetyczna, lecz traciłyśmy wszystko: oczy, dłonie, a na końcu także imiona. Teraz najstarsze dziewczyny mają pierwszeństwo. Idzie im szybko. Większość z nich jest na tyle dobra, że trafia w środek już po kilku strzałach. Julia i Carson potrzebowały dwóch. Niekończące się, upokarzające oczekiwanie rozpoczyna się dopiero wtedy, gdy Landry oddaje więcej salw, niż jestem w stanie policzyć. Później przychodzi czas na nasz rocznik. Byatt wystarczą trzy próby. Godne szacunku. Właśnie dlatego łączą mnie z nią w parę na Zmianie Ogniowej. Jeżeli ona spudłuje, ja to nadrobię.

Byatt podaje mi dubeltówkę. Chucham na dłonie, żeby przywrócić im czucie, zanim zajmuję jej miejsce. Unoszę broń do ramienia i celuję. Wdech, skupienie, wydech, mocny nacisk palca. Huk wystrzału mnie

przeszywa. To proste. To jedyna rzecz, w której jestem lepsza od Byatt.

– Dobrze, Hetty! – chwali Welch. Ktoś z tłumu parodiuje ją śpiewnym tonem. Wywracam okiem, kładę śrutówkę na prowizorycznym stole, a potem podchodzę do stojących przy drzwiach przegrody przyjaciółek.

Zazwyczaj po mnie jest Cat, ale tym razem następuje lekka roszada. Ktoś jęczy i wypycha Monę przed szereg. Ta potyka się raz czy dwa, po czym prostuje plecy, spoglądając na dziewczyny w poszukiwaniu jakiejś oznaki litości. Żadnej nie znajduje. Zachowujemy ją wyłącznie dla siebie.

– Może mi dzisiaj odpuścisz? – zwraca się do Welch. Na twarzy Mony maluje się złudny spokój, mimo to reszta ciała wykonuje nerwowe ruchy. Prawie jej się udaje, niemal omija swoją kolej, lecz my do tego nie dopuszczamy. Tak samo nauczycielka.

– Obawiam się, że nie. – Welch kręci głową. – Spróbuj.

Mona mówi coś jeszcze, jednak zbyt cicho, by ktokolwiek mógł ją usłyszeć. W końcu podchodzi do stołu. Broń leży przygotowana. Jedyne, co musi zrobić, to wycelować i strzelić. Unosi dubeltówkę, kołysze nią w zgiętym ramieniu, jakby tuliła lalkę.

– Na co czekasz? – słychać Welch.

Mona przymierza się do strzału, przesuwając palec na spust. Wszystkie zachowujemy ciszę. Trzęsą jej się ręce. Chociaż jakimś cudem trzyma poprawnie wycelowaną broń, nie jest w stanie zdobyć się na ostateczny wysiłek.

– Nie potrafię – jęczy. – Nie mogę... Nie umiem. – Opuszcza strzelbę i patrzy w moją stronę.

I nagle z boku jej szyi pojawiają się trzy głębokie cięcia, wyglądające całkiem jak skrzela. Nie ma krwi. Pulsują jedynie z każdym oddechem, a pod skórą coś zaczyna się przesuwać.

Mona nie krzyczy. Nie wydaje żadnego dźwięku. Po prostu osuwa się płasko na plecy z szeroko otwartymi ustami. Wciąż się we mnie wpatruje, natomiast jej klatka piersiowa powoli się unosi. Nie mogę odwrócić wzroku, gdy Welch pospiesznie kuca przy stopach Mony i sprawdza jej puls.

– Zaprowadźcie ją do pokoju – nakazuje. Do pokoju, nie do ambulatorium, gdyż tam zabiera się wyłącznie najgorsze przypadki.

Z Moną było już znacznie gorzej, niż jest w tym momencie. Tak jak z nami wszystkimi.

Dziewczyny z Brygady Łodziowej można rozpoznać po nożach. Mają pozwolenie na to, aby nosić je przełożone przez szlufki w paskach. Wychodzą przed resztę. Zawsze one. Łapią Monę za ramiona, a potem prowadzą z powrotem do domu.

Rozlega się paplanina, kiedy podążamy za nimi, ale Welch odchrząkuje.

– Dziewczeta – mówi, przeciągając słowo tak, jak zwykła to robić w trakcie sprawdzania pokoi. – Czy pozwoliłam wam odejść? – Nikt nie odpowiada. Welch podnosi śrutówkę i podaje ją pierwszej uczennicy w kolejce. – Zaczniemy od nowa. Od początku.

Żadna z nas nie jest zaskoczona. Już dawno zapomnieliśmy, jakie to uczucie. Ustawiamy się więc w rzędzie, czekamy i oddajemy nasze strzały, czując przechodzące z dubeltówki do naszych rąk ciepło – ciepło Mony.

Podczas kolacji rozproszyliśmy się i podzieliliśmy na mniejsze grupy. Zazwyczaj dawałyśmy radę przynajmniej siedzieć w jednym pomieszczeniu, lecz dzisiaj wzięłyśmy od Welch nasze racje i się rozeszłyśmy. Część dziewczyn przysła tutaj, do holu, inne powędrowały do kuchni, gdzie usiadły wokół starego pieca na drewno. Płonie w nim właśnie ostatnia z zasłon. Po dniach takich jak ten oraz przypadkach takich jak Mony rozdzielamy się i zastanawiamy, która z nas będzie następna.

Stoję przy schodach, oparta o poręcz. Nasza trójka jako ostatnia otrzymała dziś jedzenie i nie zostało niemal nic dobrego. Zaledwie dwie kromki chleba, obie śliskie od pleśni. Gdy przyniosłam tylko tyle, Byatt wyglądała, jakby miała się zaraz rozpląkać – żadna z nas nie dostała nic na lunch, ponieważ Reese uczciwie wygrała tę pomarańczę – ale na szczęście Carson z Brygady Łodziowej dała mi trochę przeterminowanej zupy. Czekamy, aż natrafimy na otwieracz do puszek, żeby móc ją zjeść. W międzyczasie Reese leży na podłodze, próbując się zdrzemnąć, zaś Byatt patrzy w górę, gdzie widać drzwi do ambulatorium na trzecim piętrze.

W czasach, w których ten budynek został zbudowany, znajdowały się tam pomieszczenia dla służby. Od wąskiego korytarza odchodzi sześć pokoi, nad nimi mieści się taras, a poniżej główny hol o wysokości dwóch kondygnacji. Można się do niego dostać, jedynie używając schodów na mezaninie na drugim piętrze i przechodząc przez małe, przekrzywione drzwi – zazwyczaj zamknięte.

Nie lubię na nie patrzeć. Tak samo jak myśleć o najbardziej chorej dziewczynie, którą tam zabrano. Nie podoba mi się, że nie ma tam wystarczająco dużo miejsca, by pomieścić każdą z nas, oraz to, że wszystkie drzwi są zamykane od zewnątrz. Gdyby ktoś chciał, mógłby zatrzymać kogoś w środku.

Zamiast tego patrzę przez główny hol na szklaną ścianę jadalni. Długie puste stoły porąbano na rozpałkę, a sztućce wyrzucono do oceanu, abyśmy nie dysponowały żadnymi ostrymi przedmiotami. To było moje ulubione pomieszczenie w budynku. Nie pierwszego dnia, kiedy nie miałam gdzie usiąść, ale każdego kolejnego, gdy schodziłam na śniadanie i widziałam Byatt pilnującą dla mnie krzesła. Na pierwszym roku to zawsze ona je dla nas zajmowała. Lubiła wcześniej wstawać, by przed posiłkiem przejść się po dworze. Spotykałam ją przy stole, gdzie czekała z gotowym dla mnie tostem. Zanim zaczęłam uczyć się do Raxter, zawsze jadłam je z masłem, lecz Byatt pokazała mi, że dżem jest lepszy.

Moją uwagę zwraca Cat, która po drugiej stronie pomieszczenia ściska w dłoni otwieracz do puszek. Odpycham się od barierki i ruszam w jej kierunku, omijając czwórkę dziewczyn leżących na podłodze. Ich ciała tworzą kwadrat, a głowy mają ułożone jedna na brzuchu drugiej i próbują się nawzajem rozśmieszyć.

– Widziałam, jak Carson się nad tobą zlitowała – mówi Cat, kiedy do niej podchodzę. Ma proste, czarne włosy, ciemne oczy oraz rozważne spojrzenie. Dopadł ją jeden z najgorszych przypadków Toxu. Spędziła tygodnie w ambulatorium. Trzeba było związać jej ręce, żeby nie rozdrapywała skóry, gdy ta się gotowała i wychodziły z niej bąble. Wciąż ma blizny, białe ślady na całym ciele, jakby po ospie, a także pęcherze, które za każdym razem pękają, krwawiąc na nowo.

Odwracam wzrok od nowej rany na jej szyi i się uśmiecham.

– Nie zajmie to długo.

Podaje mi otwieracz, więc wsuwam go za pasek. Pod koszulę, aby nikt nie mógł mi go ukraść po drodze do schodów.

– U was wszystko w porządku? – pytam. – Ciepło wam?

Cat ma na sobie raptem odpinaną polarową podszewkę z kurtki swojej przyjaciółki. Obydwie miały pecha w ostatnim przydziale ubrań, a poza tym tutaj nikt nie daje rady utrzymać przy sobie koca na długo. Chyba że nie spuszcza go z oczu...

– Tak. Dzięki, że pytasz – odpowiada Cat. – I, hej, uważajcie z zupą. Najpierw się upewnijcie, że puszka nie jest wyrzuszona na pokrywce. Mamy dość zmartwień na głowie, nie potrzebujemy do tego zatrucia.

– Okej. Przekażę to reszcie.

Oto cała Cat, miła na swój własny sposób. Jest z naszego roku, a jej mama pracuje w marynarce. Mój tata zresztą też. Raxter oraz Camp Nash to jedyne namiastki cywilizacji w obrębie kilku mil i przez lata zbliżyły się do siebie tak bardzo, że Raxter udziela stypendiów dziewczynom, których rodzice są zatrudnieni w marynarce. To jedyny powód, dla którego tutaj jestem. Jedyny powód, dla którego jest tu Cat. Na koniec każdego kwartału jeździłyśmy tym samym busem na lotnisko. Ona kierowała się do bazy w San Diego, z kolei ja do tej w Norfolk. Nigdy nie zajmowała dla mnie miejsca, ale kiedy się do niej dosiadałam, posyłała mi przyjazny uśmiech i pozwalała zasnąć na swoim ramieniu.

Ledwie siadam obok Byatt, a wtedy zaczyna się jakieś poruszenie przy drzwiach frontowych, gdzie gromadzą się dziewczyny Landry. Można nas podzielić na jedenaście, może dwanaście grup – jedne dość spore, inne mniejsze. Największa z nich skupia się wokół Landry, dwa lata starszej ode mnie, wywodzącej się ze starego bostońskiego rodu, starszego nawet od rodziny Byatt. Nigdy za bardzo nas nie lubiła. Ta niechęć jeszcze bardziej się nasiliła, gdy kiedyś narzekała na brak chłopców na wyspie, a Reese rzuciła jej najbardziej obojętne spojrzenie, jakie kiedykolwiek widziałam, i powiedziała:

– Ale za to jest mnóstwo dziewczyn.

To sprawiło, że coś podskoczyło w mojej klatce piersiowej. Coś, co wciąż mogę poczuć w nocy, kiedy warkocz Reese rzuca falującą poświatę na

sufit. Bliskość. Pragnienie.

Ktoś krzyczy. Dostrzegamy, jak tłum się miesza i splata w ciasny okrąg, skupiający się wokół osoby leżącej na podłodze. Schylam się, próbując coś zobaczyć. Błyszcząca brązowe włosy, ciało wiotkie i kościste.

– Wydaje mi się, że to Emmy – oznajmiam. – Ma swój pierwszy raz.

Gdy nadszedł Tox, Emmy była w szóstej klasie. Dziewczyny z jej roku, jedna po drugiej, gwałtownie wchodziły w dorosłość – ich pierwsze paroksyzmy. Krzyczały, rozrywane niczym fajerwerki. W końcu przyszła kolej na nią.

Nasłuchujemy, jak jęczy, jej ciało wygina się i dygocze. Zastanawiam się, co otrzyma, jeżeli cokolwiek. Skrzela jak Mona? Pęcherze jak Cat? Może kości jak Byatt? Albo rękę jak Reese? Niestety czasem Tox nie daje nic – tylko zabiera i zabiera. Zostawia cię wycieńczoną i usychającą.

W końcu nastaje cisza, a grupa wokół Emmy zaczyna się przeredać. Wygląda całkiem nieźle jak na pierwszy paroksyzm. Kiedy wstaje, chwije się na nogach i nawet stąd widzę jej żyły na szyi. Wyróżniają się, jakby były bliźniami.

Gdy otrzepuje spodnie z kurzu, słychać brawa. Julia z Brygady Łodziowej odrywa kawałek swojej nieświeżej bułki i podaje go Emmy. Dziś w nocy ktoś zostawi prezent pod jej poduszką. Może parę wsuwek albo kartkę z jednego z magazynów, które wciąż przechodzą z rąk do rąk.

Landry ją przytula. Emmy promienieje, dumna z tego, jak dobrze to zniosła. Myślę jednak, że uderzy w nią to później, kiedy już opadnie adrenalina i w pobliżu nie będzie Landry. Prawdziwy ból. Zmiana.

– Nadal jest mi przykro – mówię z naburmuszoną miną. – Mnie nikt nigdy niczego nie dał z okazji mojego pierwszego razu.

Byatt się śmieje. Jej dłonie szybko się poruszają, otwierając puszkę, i podaje mi pokrywkę.

– Proszę. Mój prezent dla ciebie.

Zlizuję z niego warstwę zupy, ignorując jej musujący, kwaśny smak. Byatt bierze łyk z pojemnika. Gdy wypije jedną trzecią, poda ją mnie. Reese zawsze jest ostatnia. Nie da się jej przekonać do jedzenia w żaden inny sposób.

– Jak uważasz, kiedy ogłoszą nową listę osób do Brygady Łodziowej? – przemawia głośno Byatt. Pyta mnie, chociaż chce zwrócić uwagę Reese, która od dawna stara się o przydział do tej jednostki.

Jej mama odeszła na długo przed tym, zanim rozpoczęłam naukę w Raxter, ale poznałam jej tatę, pana Harkera. Był dozorcą, konserwatorem oraz złotą rączką. Przed epidemią i kwarantanną żył w domku poza terenem szkoły, lecz potem marynarka go przysłała, aby zamieszkał z nami. Gdy Tox zaczął oddziaływać na jego ciało, poszedł do lasu. Od tamtego momentu Reese próbuje go odnaleźć.

Brygada Łodziowa jest dla niej jedyną szansą. Wyłącznie w ten sposób może wydostać się poza ogrodzenie. W skład grupy wchodzi zazwyczaj wciąż te same trzy uczennice, dopóki któraś z nich nie umrze, jednak kilka dni temu jedna z dziewczyn powiedziała, że to była jej ostatnia wyprawa i nie zamierza już więcej wychodzić. Taylor, bo o niej mowa, jest prawie najstarsza z nas. Zawsze służyła pomocą, uspokajała wszystkich i przywracała do porządku. Nie potrafimy dociec, co sprawiło, że zrezygnowała.

Krąży plotka, iż ma to związek z jej dziewczyną, Mary, która zdziczała ostatniego lata. Jednego dnia znajdowała się wśród nas, a następnego zniknęła – w jej ciele pozostał jedynie Tox, natomiast z oczu zniknął blask. Taylor była wtedy z nią, musiała ją obezwładnić i władować kulkę w głowę. Każda z nas myśli, że właśnie dlatego opuszcza Brygadę Łodziową, ale kiedy Lindsay wczoraj o to zapytała, Taylor uderzyła ją w twarz zewnętrzną stroną dłoni i od tamtej pory nikt już o tym nie wspominał.

Tymczasem nie powstrzymało nas to od rozważań na ten temat. Taylor wciąż powtarza, że czuje się dobrze, że wszystko u niej w porządku, lecz odejście z Brygady Łodziowej nie jest normalne. Zwłaszcza dla niej. Welch i dyrektorka wkrótce będą musiały ogłosić, która z dziewczyn zajmie jej miejsce.

– Może jutro – mówię. – Mogę spytać.

Reese otwiera oczy i siada. Jej srebrne palce drżą.

– Nie rób tego. Tylko wyprowadzisz Welch z równowagi.

– Dobrze – odpowiadam. – Nie martw się. Wybiorą ciebie.

– Zobaczmy – mruczy Reese. Nie są to najmiłsze słowa, jakie

kiedykolwiek sobie powiedziałyśmy, ale blisko im do tego.

Tej nocy Byatt dokończyła szyć moje oko, lecz teraz nie mogę zasnąć. Wpatruję się od dołu w łóżko Reese, gdzie Byatt wielokrotnie wyryła swoje inicjały. BW. BW. BW. Robiła to wszędzie. Na pryczy, na ławce w każdej klasie, na drzewach w lesie, nad wodą. W ten sposób oznaczała Raxter jako swoje. Niekiedy myślę, że gdyby poprosiła, pozwoliłabym jej zrobić to samo ze sobą.

Cisza, trwa nieprzerwana cisza, aż około północy przerywają ją dwa strzały. Spinam się, ale ledwie mija jedno uderzenie serca, a docierają do mnie rozchodzące się echem krzyki Brygady Ogniowej.

– Czysto!

Nade mną chrapie Reese. Byatt i ja dzielimy dół, ściśnięte tak ciasno, że mogę dosłyszeć, jak zgrzyta zębami podczas snu. Ogrzewanie wyłączono już jakiś czas temu, więc śpimy najbliżej siebie, jak to tylko możliwe, w kurtkach i we wszystkim, co mamy. Mogłabym sięgnąć do kieszeni i poczuć tam gładką powierzchnię naboju.

Usłyszałyśmy o tym wkrótce po wyznaczeniu przez Welch zmian Brygady Ogniowej. Na pierwszej z nich dziewczyny dostrzegły coś z dachu, ale nie mogły dojść do porozumienia, co tak naprawdę widziały. Jedna stwierdziła, że było niewyraźne, lecz lśniło oraz poruszało się niemal jak osoba, przemieszczająca się powoli i miarowo. Druga powiedziała, że to coś wyglądało na zbyt duże jak na człowieka. Niemniej jednak wystraszyło je to na tyle, że zebrały wszystkie dziewczyny z Brygady Ogniowej w najmniejszym pokoju na drugim piętrze, po czym pokazały im, w jaki sposób otworzyć pocisk. Nauczyły je, jak zignorować wewnętrzny dreszcz i połknąć proch strzelniczy, bo to najlepsza trucizna, gdybyśmy kiedykolwiek potrzebowały szybkiej śmierci.

Czasami nocą się zastanawiam, co one tam takiego zobaczyły, ale czując łuskę w kieszeni, wiem, że jestem bezpieczna przed czymkolwiek, czego się wtedy bały. Tym razem przed oczami mam wyłącznie Monę – Monę ściskającą dubeltówkę i Monę wyglądającą tak, jakby chciała ją sobie przyłożyć do czoła.

Przed Raxter nigdy nie trzymałam strzelby w ręce. W moim rodzinnym domu mieliśmy tylko pistolet wojskowy mojego taty, który przechowywał na wszelki wypadek, kiedy przebywał poza jednostką – ale był schowany pod kluczem. Byatt wcześniej nawet nie widziała broni na oczy.

– Jestem z Bostonu – powiedziała, gdy ja i Reese się z niej śmiałyśmy. – Nie potrzebujemy tam karabinów, tak jak wy tutaj.

Zapamiętałam to, ponieważ prawie wcale nie wspominała o domu. Nie nawiązywała do niego w rozmowach, jak ja robiłam to z Norfolk. Nie wydaje mi się, aby kiedykolwiek za nim tęskniła. W Raxter nie pozwalano nam mieć komórek, więc jeśli któraś z nas chciała zadzwonić do rodziny, musiała podczas przerwy popołudniowej ustawić się w kolejce do gabinetu dyrektorki.

Ani razu jej tam nie widziałam.

Obracam się, żeby na nią spojrzeć. Leży wyciągnięta obok mnie i drzemie. Tęskniłabym za domem, gdybym była z rodziny takiej jak ona, bogatej i błękitnokrwistej. Taka jest między nami różnica. Byatt nigdy nie pragnęła czegoś, czego nie miała.

– Przestań się gapić – burczy, szturchając mnie w żebro.

– Przepraszam.

– Co za menda – prycha, lecz splata swój mały palec z moim i układa się z powrotem.

Po tym chyba zasnęłam, bo pamiętam jedynie pustkę. Nagle mrugam, słysząc skrzypnięcie deski podłogowej, a Byatt nie leży już przy mnie. Stoi w progu i zamyka za sobą drzwi, wchodząc do środka. Musiała się wymknąć, kiedy odpłynęłam, pogrążona we śnie.

Nie powinnyśmy po nocach opuszczać swoich pokoi, nawet jeśli chcemy tylko skorzystać z toalety znajdującej się na drugim końcu korytarza. Panuje zbyt gęsta ciemność, dlatego Welch ustanowiła bardzo surową godzinę policyjną.

Podpieram się na łokciu, ale jestem ukryta w cieniu, więc Byatt tego nie widzi. Przystaje u stóp łóżka i wspina się po drabinie do Reese.

Jedna z nich wzdycha. Słysząc krzątanie, gdy się usadawiają, a wtedy żółta biel warkocza Reese zwisa z jej materaca i delikatnie kołysze się nade mną. Dryfuje niczym pióra, pokrywając sufit wyblakłymi świetlistymi

wzorami.

– Hetty śpi? – pyta.

Nie wiem dlaczego, lecz spowalniając oddech, upewniam się, że nie mogą mnie usłyszeć.

– Tak.

– Co jest? – docieka.

– Nic – odpowiada Byatt.

– Wyszłaś na zewnątrz?

– Tak – przytakuje.

Zazdrość skręca mi wnętrzności. Dlaczego nie zabrała mnie ze sobą? I dlaczego opowiada o tym akurat Reese? Nie podoba mi się, że Byatt widzi w niej coś, czego nie dostrzega we mnie.

Jedna z nich się porusza, prawdopodobnie Byatt wtula się w Reese. Śpi naprawdę blisko. Zawsze budzę się z jej palcami w kieszeniach moich dżinsów.

– Gdzie poszłaś? – szepcze Reese.

– Na spacer.

Potrafię rozpoznać kłamstwo. Byatt nie ryzykowałaby po to, żeby zwyczajnie rozprostować nogi. Tego mamy pod dostatkiem każdego ranka. Nie, po jej głosie wyczuwam, że coś ukrywa, a zazwyczaj dzieli się ze mną swoimi sekretami. Dlaczego tym razem jest inaczej?

Reese milczy, więc Byatt kontynuuje:

– Welch przyłapała mnie w drodze powrotnej.

– Cholera.

– W porządku – uspokaja ją Byatt. – Byłam jedynie na dole w holu.

– Co jej powiedziałaś?

– Że zeszłam po butelkę wody na ból głowy.

Srebrna ręka Reese zgarnia mi warkocz z pola widzenia. Potrafię sobie wyobrazić krótki błysk jej oczu oraz zaciśniętą szczękę. Chociaż może w ciemności jest łagodniejsza. Może pozwala emocjom uzewnętrznić się tylko wtedy, kiedy myśli, że nikt tego nie widzi.

Poznałam ją pierwszego dnia w Raxter. Miałam trzynaście lat, ale nie

wyglądałam na tyle. Nie byłam nastolatką z wyraźnym biustem, zaokrąglonymi biodrami i wyszczerzonymi zębami. Byatt spotkałam już na promie kursującym z lądu na wyspę. Rozegrałyśmy to bardzo krótko i rzeczowo. Wiedziała, kim jest oraz kim ja powinnam być, i uzupełniała mnie wszędzie tam, gdzie tego potrzebowałam. Reese była inna.

Siedziała na schodach w głównym holu. Miała przyduży mundurek, a podkolanówki opadały jej na kostki. Nie wiem, czy już tamtego dnia dziewczyny się jej bały, czy istniał jakiś inny powód. Jeżeli zachowywały się tak, ponieważ była córką dozorczy, dla mnie nie miało to żadnego znaczenia. Inne uczennice z naszego roku gromadziły się wokół ogniska tak daleko od niej, jak tylko się dało.

Byatt i ja minęłyśmy ją w drodze do pozostałych. Sposób, w jaki Reese na mnie wówczas spojrzała... Do dziś pamiętam ten płomienny gniew w jej oczach.

Po tym incydencie przez dłuższy czas nic się między nami nie wydarzyło. Uczęszczałyśmy na wspólne zajęcia i wymieniałyśmy skinienia głową na powitanie – to tu, to tam, w korytarzu, w drodze pod prysznic. Ktoregoś razu z Byatt potrzebowałyśmy trzeciej osoby do grupowego projektu na francuskim. Reese była najlepsza w klasie, więc wybrałyśmy ją.

To nam wystarczyło. Zanim się obejrzałyśmy, siedziała z nami na obiedzie, stała obok nas na apelu, i gdy sobie przypomnę, jak na mnie patrzyła tamtego pierwszego dnia, nawet jeśli zwrócę uwagę na to, że mój żołądek zaciska się za każdym razem, kiedy wypowiada moje imię, to nie miało znaczenia. Nadal nie ma. To najbliższa relacja, jaką kiedykolwiek będę z nią mieć – jej łóżko nade mną, jej cichy głos, gdy rozmawia z kimś innym.

– Czy myślisz – przemawia po chwili – że jest coraz gorzej?

Mogę niemal usłyszeć, jak Byatt wzrusza ramionami.

– Prawdopodobnie.

– Prawdopodobnie?

– Chodzi mi o to, że nie mam pojęcia – dodaje Byatt. – Z pewnością. Ale nie dla każdego. – Zapada krótkie milczenie, a potem znowu rozlega się jej głos, tak cichy, że muszę się wysilić, aby to usłyszeć. – Słuchaj, jeżeli wiesz coś...

Do moich uszu dociera odgłos szurania butów Reese, kiedy odwraca się na drugi bok.

– Złaż – warczy. – Jest mi ciasno.

Czasami się zastanawiam, czy była inna, zanim odeszła jej mama. Czy była bardziej otwarta? Jednak z drugiej strony nie potrafię jej sobie takiej wyobrazić.

Ruszam się, gdy Byatt wchodzi do łóżka, ale udaję, że dalej śpię. Po prostu odwracam się do niej plecami. Myślę, że obserwuje mnie przez moment, lecz chwilę później się kładzie. Zasypiam, dopiero kiedy niebo nad horyzontem zaczyna się powoli rozjaśniać.

ROZDZIAŁ 3

Świt nadchodzi szybko, przynosząc mróz. Na szybach pojawia się świeża warstwa szronu, a lód zbiera się w snopkach wokół trzcin. Razem z Byatt wstajemy z łóżka, próbując nie obudzić Reese. Następnie wychodzimy na zewnątrz, na spacer.

Początkowo tylko Byatt robiła sobie poranne przechadzki. Sama dookoła obchodziła teren szkoły. Inne dziewczyny często o tym plotkowały. Mówiły, że tęskni za domem i jest samotna. Słyszałam zarówno ich współczucie oraz śmiech. Wiedziałam jednak, iż dodaje jej to blasku, który sprawia, że jest kimś, do kogo chcę się zbliżyć. Jeszcze przed końcem drugiego miesiąca naszego pobytu tutaj zaczęłam błąkać się razem z nią. Miałam nadzieję, że mi się to udzieli.

Dzisiaj główny hol jest pusty, gdy przez niego przechodzimy, nie licząc dziewczyny trzymającej straż przy drzwiach frontowych. Szkołę zbudowano na planie litery „U”. Z każdej strony starego budynku odchodzą nowo dobudowane skrzydła. Na drugim piętrze znajdują się sypialnie oraz kilka gabinetów, a tutaj, na pierwszym, są klasy, hol, z kolei w rogu mieści się gabinet dyrektorki, gdzie prawdopodobnie teraz siedzi, zapisuje dostawy i sprawdza, czy wszystko się zgadza.

Kiedy mijamy tablicę ogłoszeń, wyciągam dłoń i przesuwam palcami po notatce o lekarstwie, celując prosto w nagłówek listu. To miejsce, które przynosi najwięcej szczęścia, i widać to po tym, jak setka dziewczyn dotyka go setki razy, ścierając tusz. Uśmiecham się, wyobrażając sobie siebie i Byatt w jakimś mieście skąpanym w słońcu, wolnym od Toxu.

– Hej. – Byatt zaczyna stojącą przy drzwiach trzynastolatkę. Jedną z najmłodszych uczennic, jakie zostały. – Wszystko w porządku?

– Tak. – Pociąga za klamkę, mimo że Byatt nawet o to nie poprosiła. Ludzie już tacy dla niej są, bez względu na to, jak ona zachowuje się wobec nich.

Wrota drgają zaledwie o cal, są zbyt ciężkie, aby sama je przesunęła.

Przydzielamy młode dziewczyny do warty przy drzwiach, bo odpowiedzialność za ich pilnowanie odpowiednio je kształtuje. Jeżeli pojawi się jakieś prawdziwe zagrożenie, i tak zajmie się tym Brygada Ognkowa.

Podchodzę bliżej, kładę swoje dłonie na jej, po czym ciągnę, czując nową porcję rdzy, grubszą z każdą porą roku. To będzie nasza druga zima z Toxem. Moja trzecia w Raxter. Ile jeszcze przede mną?

– Dziękuję. – Opieram rękę o jej ramię, by nie zauważyła, że nie pamiętam, jak ma na imię. – Do zobaczenia później.

Stojąc na ganku, czekam, aż Byatt zapnie kurtkę. Trawa od dawna jest martwa i na śniegu widać ślady stóp. Czy część z nich mogła zostawić zeszłej nocy właśnie ona?

– Cóż – mruczę. – Zimno tu.

Byatt milczy, gdy wkraczamy na kamienną ścieżkę prowadzącą do bramy. Jest poirytowana ostatnim guzikiem okrycia, tym schowanym pod podbródkiem.

– Dobrze spałaś? – Próbuję znowu. Liczę na to, że nie będę musiała za bardzo ciągnąć jej za język. Gdyby tylko mi powiedziała, gdzie była zeszłej nocy...

– Pewnie.

– Wierciłam się? – kontynuuję.

– Nie bardziej niż zwykle.

Czekam. Daję jej kolejną szansę, żeby wyznała mi prawdę, ale tego nie robi.

– Pytam, bo obudziłam się w środku nocy i cię nie było.

Byatt schodzi z drogi, skręcając gwałtownie w lewo. Zawsze wybieramy tę ścieżkę.

– Tak?

– Tak.

Z początku myślałam, że woli zachować to w tajemnicy – nie zawsze mi się zwierza, nawet pomimo tego, że ja mówię jej wszystko, lecz nagle zatrzymuje się i spogląda prosto w moje oczy.

– Gadałaś przez sen – oznajmia.

To jest tak dalekie od tego, czego się spodziewałam, że opada mi szczęka.

– Tak?

– Dokładnie. – Na jej twarzy pojawia się delikatny wyraz bólu, jakby nie była pewna, czy chce ciągnąć ten temat. – Nie mam pojęcia, co ci się śniło, ale powiedziałaś... coś.

Wcale nie. Wiem, że to blef, lecz nie rozumiem całej tej sytuacji na tyle, by jej to zarzucić.

– Co powiedziałam?

Krzywi się i kręci głową.

– Coś, czego nie chciałabym znów usłyszeć. – Wzdycha. – Poprzestańmy na tym.

Przez moment czuję się tak, jak tego oczekiwała. Zbyt zaniepokojona, zbyt winna, żeby dalej naciskać. Jednak to nie była prawda. Nie spałam i ją widziałam.

– Ach – stękam. – Jesteś pewna?

Nie mogę jej bardziej przymuszać. Wystarczy zrobić to odrobinę za mocno i się wkurzy. Widziałam to wiele razy: na lekcjach, gdy jedna z nas zapomniała pracy domowej, na wycieczkach, kiedy Welch przyłapała ją na kopiowaniu podpisu mojej mamy. Byatt oszukiwała naprawdę nieźle, lecz zazwyczaj oszukiwała dla mnie.

– Tak – odpowiada, drżąc. – Już w porządku, okej? Po prostu weszłam do łóżka Reese.

Przynajmniej tym razem nie skłamała. Jakie sekrety można mieć tutaj, w Raxter? W każdej z nas siedzi ten koszmar, bliźniaczy ból, chcemy tego samego.

– Przepraszam. – Poddaję się. Nie mam innego wyboru, jak zaprzestać tej gry. – Cokolwiek to było, wiesz, że jesteś moją najlepszą przyjaciółką.

Byatt momentalnie się rozchmurza. Obejmuje mnie ramieniem i przyciąga bliżej siebie. Ruszamy równym krokiem.

– Tak – mówi. – Wiem, że nią jestem.

Nad nami wznosi się budynek, więc przez popękane okna docierają do nas głosy wstających dziewczyn. Kłócą się o ubrania i pościel oraz kilka

poważniejszych rzeczy, ale każdego dnia słyhać identyczne rozmowy. Te same czasopisma przechodzą z rąk do rąk, zadawane są na okrągło te same pytania, a te same wspomnienia zaczynają należeć do wszystkich, gdy opowiada się je niczym historie. Rodzice czy pierwsze pocałunki są wymieniane jak prezenty.

Ja nigdy nie miałam nic do dodania. Nie potrafiłam na zawołanie przywołać obrazu swojego taty czy znieść myśli, że mama została sama w domu, w bazie. Brakowało mi chłopców oraz dziewcząt, lecz jeszcze ani razu nie tęskniłam za nikim aż tak mocno, aby wyrwać tego kogoś z pokazu slajdów mojego starego życia i przywlec go ze sobą aż tutaj.

Czasami, kiedy zamykam oczy, zapominam, że coś się zmieniło. Raxter nie jest już gorączką głodu i prochu strzelniczego. Jest nudą i głęboko zakorzenioną beczynnością.

Zatrzymujemy się przy ogrodzeniu. Szkoła stoi za naszymi plecami, natomiast przed nami rozciąga się las o wiecznie zielonych gałęziach. Przecina go droga, coraz bardziej zniszczona i węższa z każdym rokiem. Parę stóp od płotu dostrzegam to, w co musiały trafić wczorajsze strzały – jeleni, martwy od wielu godzin. Jego mięso jest zbyt zanieczyszczone, by je jeść. Robaki pełzają w otwartych ustach, a na futrze widzę zaschniętą krew.

Oprócz jelenia znajduje się tu też coś jeszcze. To coś, o czym wszyscy wiemy, ale nikt o tym nie mówi. Jeżeli wyjdiesz na zewnątrz o odpowiedniej porze, raz na jakiś czas możesz poczuć, jak ziemia drży. W ten sam sposób dygotał mój dom w bazie, gdy odrzutowiec przelatywał zbyt blisko niego. Na początku Toxu często przeglądaliśmy książki przyrodnicze, spis flory i fauny, a potem się zastanawialiśmy, co tam może tkwić. Później musiałyśmy spalić podręczniki, żeby się ogrzać, i zastanawianie się nad tym przestało być takie fajne.

– Chodźmy – mówi Byatt.

Nie zerkamy w stronę dachu. Dwie dziewczyny mierzą stamtąd bronią ponad naszymi głowami. Zamiast tego muskamy palcami pręty ogrodzenia, podążając za nim aż do basenu pływowego, gdzie leży stos ozdobnych kamieni. Są ustawione jeden na drugim i obmywa je woda, która nie zamarznie, dopóki nie nadejdzie surowa zima. Widzimy fałdy

szarości, algi o ostrym odcieniu zieleni, a w oddali marszczący się i falujący czarny ocean.

Wspinam się na głaz w kształcie włóczni i opieram na nim dłonie, by zajrzeć do największego ze zbiorników. Żadnych ryb – rzadko jakaś zbliża się do wyspy, odkąd się tu pozmieniało – ale tym razem coś zauważam. Mały, nie większy od mojej pięści, o jasnym, niepokojącym odcieniu błękitu. Krab.

– Hej! – wołam, wtedy Byatt wdrapuje się za mną. – Spójrz.

Pojawiły się tu kilka lat przed moim przybyciem. *Znak naszych czasów*, powiedziała nauczycielka biologii, kiedy przyprowadziła nas tutaj, aby je pooglądać. To było zaraz po tym, jak cały nasz drugi rok zawalił test z rozdziału na temat zmian klimatycznych. Wcześniej nie ruszały się na północ od Cape Cod, ale jako że świat się zmienia, to samo dzieje się z wodami. Ze względu na ich unikatowe cechy nazywamy je Błękitniakami z Raxter.

Kiedyś pan Harker pomógł nam złapać parę z nich. Zabrałyśmy je ze sobą do klasy i na zmianę sięgałyśmy po skalpel. W powietrzu czuło się zapach soli, a dwie dziewczyny omal nie zemdlały, gdy rozłupywałyśmy im muszle, podważając je niczym pokrywkę. *Widzicie*, powiedział nauczyciel. *Mają jednocześnie płuca i skrzela, żeby oddychać zarówno w wodzie, jak i na lądzie. Właśnie tak ewoluuje ciało, by dać wam największe szanse na przeżycie.*

Przez chwilę obserwujemy przemierzającego dno kraba, a następnie Byatt rusza naprzód i prawie spycha mnie z głazu.

– Uważaj – warczę, lecz nie słucha. Wyciąga rękę, po czym jej palce przełamują powierzchnię oceanu. Coś długiego i patykowatego porusza się nagle pod półką skalną.

– Chcę to znowu zobaczyć – informuje. Wykonuje w wodzie szerokie, okrężne ruchy, tworząc wir, który unosi kraba.

– Nie rób tego – ostrzegam. – To obrzydliwe. Poza tym, jeżeli dalej będziesz trzymać tam dłoń, prędzej czy później dostaniesz odmrożenia.

Nie słucha mnie. Szybko, niczym czaple, które kiedyś tu żyły, ponownie zanurza rękę. Gdy ją wyciąga, fale rozchlapują się o jej łokieć, a ona trzyma kraba za szczypcę dwoma placami. Skorupiak próbuje ją uszczypnąć, ale ona przygwaźdza go do ziemi.

Unieruchamiając stawonoga jedną dłonią, drugą sięga po jeden z luźnych kamieni leżących na brzegu zbiornika. Ustawia się i uderza nim w kraba. Ten się wiję, z kolei kończyny drgają mu gorączkowo.

– Jezu, Byatt.

Przyjaciółka obserwuje strzaskanego zwierza. Jego błękitna skorupa zaczyna ciemnieć, począwszy od końcówek szczypiec. Przybiera czarną barwę, jakby ktoś zamoczył go w atramencie. Ten widok sprawił, że na biologii uczennice chwiały się na nogach, sapaly i dostawały zawrotów głowy.

– Dlaczego to robisz? – Odwracam wzrok. Gdybyśmy byli po śniadaniu, zapewne bym je teraz zwróciła.

– Ponieważ – zaczyna, podnosząc wciąż żyjącego kraba, który z trudem się porusza, i wrzuca go do wody – po tym można rozpoznać, że to prawdziwe Błękitniaki z Raxter.

– Nie możesz po prostu zerwać kwiatka? – marudzę. Irysy też tak reagują, robią się czarne, kiedy usychają. Zaczęło się jeszcze przed epidemią, a później przeszło również na nas. Każdej dziewczynie z Raxter czarnieją palce aż do kostek, gdy zabiera ją Tox.

– To nie to samo – ciągnie Byatt.

Wstaje i mnie zostawia, idąc pewnym krokiem w kierunku ostatniej ze skał. Przy nadejściu fali jej buty się ślizgają. Powiedziała mi kiedyś, że to jej ulubiona rzecz w Raxter – widok tego, jak tutejszy brzeg ulega zmianie. Ziemia się zapada, umykając spod jej stóp, a Byatt kroczy z zamkniętymi oczami i uniesionym czołem.

– Pamiętasz... – odzywam się nagle, zimowa bryza wyrywa mi głos spomiędzy warg – ...jak to było przedtem?

Spogląda na mnie znad ramienia. Zastanawiam się, czy myśli o tym samym co ja. O oglądaniu z ganku, jak ubrane w eleganckie białe suknie dziewczyny z najstarszego rocznika gromadzą się na plaży, nasze trzymanie się za palce w trakcie apelu oraz usilne powstrzymywanie śmiechu. O tym, jak stoimy w jadalni, gdy ostatnie promienie słońca przedostają się przez wyłożone boazerią okna, i – fałszując – śpiewamy hymn przed przystąpieniem do kolacji.

– Tak – mówi. – Pewnie.

– Brakuje ci tego?

Przez chwilę odnoszę wrażenie, że nie planuje odpowiedzieć, ale w końcu z uśmiechem otwiera szeroko usta.

– Czy to ma jakiegokolwiek znaczenie?

– Raczej nie. – Nad nami przemieszczają się chmury, przepuszczając trochę ciepła. – Chodźmy do środka.

W progu kuchni spotykamy Reese. Czeka, aż dwie dziewczyny umyją włosy przy pomocy wiadra deszczówki. Co kilka dni ja i Byatt robimy to wspólnie, dzieląc kolejkę. Moje są krótkie, więc wystarczy im samo szorowanie przy skórce, ale Reese zawsze ma całą umywalkę dla siebie. Krople wody na jej warkoczu mieniają się niczym gwiazdy, co jest piękne, jednak trudno na to patrzeć.

– Zajmuje im to wieczność – rzuca, kiedy do niej podchodzimy. Mocno zaciska srebrną dłoń na warkoczu i dostrzegam zdenerwowanie u dziewczyn, które zerkają w stronę drzwi tak, jak gdyby miały ochotę stąd czmychnąć.

– Przepraszam – odzywa się jedna z nich. – Prawie skończyłyśmy.

– Pospieszcie się.

Patrzę po sobie, po czym wykręcają włosy i mijają nas w pośpiechu. Na skroniach tej drugiej wciąż błyszczą resztki szamponu.

– Dzięki – oznajmia Reese takim tonem, jakby dała im jakiś wybór.

Stoję w drzwiach razem z Byatt, a nasza przyjaciółka rozplątuje warkocz i zanurza kosmyki w wiaderku. Mija parę minut, zanim udaje jej się zmoczyć całość. Kiedy kończy, ma przemoczone rękawy. Wciąż kapie z niej woda, gdy we trójkę usadawiamy się na wolnej sofie w głównym holu. Czekamy. Jeżeli w brygadach nastąpi jakaś zmiana, Welch powie nam o tym rano, jak tylko najmłodsze skończą śniadanie.

Opadam na oparcie, a następnie układam nogi na kolanach Byatt. Po drugiej stronie siedzi pochylona Reese. Zwiesza głowę i rozczesuje włosy.

Nie jest nerwowa. Po prostu drzemie w niej jakieś napięcie. Zawsze się tam znajduje, ale czasem wypływa bliżej powierzchni, tak jak dzisiaj. Nie

zwracamy jej uwagi, kiedy srebrną ręką zaczyna strzępić tapicerkę.

W przeciwieństwie do Reese nigdy nie chciałam należeć do Brygady Łodziowej. Przed oczami wciąż mam obraz tego, jak wysunęła dłoń przez pręty w bramie, by dosięgnąć pana Harkera w dniu, w którym nas opuścił. Cały czas słyszę jej krzyki, gdy Taylor wciągała ją z powrotem. Oczywiście, że chciała wyjść za ogrodzenie. Minać zakręt drogi, aby się przekonać, czy coś z niego zostało.

Nie mogła tego zrobić, przynajmniej nie bez łamania kwarantanny. Poza tym takie samowolne działanie byłoby zbyt niebezpieczne, dlatego ja i Byatt wymyśliłyśmy coś innego. Zabrałyśmy Reese na dach, żeby sprawdziła, czy pomiędzy drzewami można dostrzec zarys jej starego domu. Niestety to jedynie ją zdenerwowało.

– Nie wiem – powiedziała, kiedy wspięłyśmy się na górę. – Po prostu... kurwa.

Później nie odzywała się do nas przez dwa dni.

Drzwi do gabinetu dyrektorki się otwierają, a potem Welch wychodzi na korytarz, trzymając w palcach arkusz papieru. Reese wstaje.

– Dziewczęta – zaczyna kobieta. – Zerknijcie, proszę, na zmieniony harmonogram. Niektóre z was mają nowe obowiązki. – Podchodzi do kominka i przypina kartkę na miejscu starej rozpiski, tuż obok notatki od Marynarki Wojennej. – Dziewczyny z Brygady Łodziowej, odszukajcie mnie, gdy znajdziecie chwilę. Będę w południowym magazynie.

Spodziewałam się, że Reese tam podbiegnie, jak tylko wyjdzie Welch, ale ona tego nie robi. Podchodzi powoli, zatrzymując się co kilka kroków. Jej nogi poruszają się prawie mechanicznie. Rozmowy w holu nadal trwają, lecz nikt nie zmierza w tę stronę, stąd wiem, że nas obserwują.

Reese jest już blisko. Spinam się, czekając na mały uśmiech na jej ustach, oznaczający, że dostała to, czego chciała. Chyba że się nie pojawi...

Naraz się odwraca i w paru susach doskakuje do kanapy, po czym jej srebrna ręka zaciska się wokół mojej kostki. Jezu, jest zimna. Nagłym, mocnym pociągnięciem zwała mnie na podłogę.

– Reese – wyduszam z siebie. Doznaję szoku i zamierzam wstać, ale ona jest szybsza. Siada na mnie okrakiem, ściska mi ramiona kolanami, następnie dolną częścią dłoni chwyta moją szczękę, odsłaniając szyję.

Staram się coś powiedzieć, młóczę stopami i usiłuję przekręcić biodra. Może to pomoże, muszę tylko wziąć oddech, chociaż jeden, niestety ona przyciska mnie coraz bardziej i wymierza srebrną pięść w moją klatkę piersiową.

– Co się stało?! – słyszę, jak Byatt krzyczy głośniejsze i głośniejsze. – Reese, przestań! Co się stało?! Co jest?!

Reese odrobinę odwraca głowę, wówczas udaje mi się wyswobodzić rękę. Łapię za warkocz i szarpnię. Wrzeszczy, a ja czuję cięcie przechodzące przez ślepą część twarzy. Kładzie przedramię na mojej tchawicy. Naciska.

Próbuję ją odepchnąć, ale jest tak silna, jakby kierowało nią coś więcej niż ona sama. Za nią stoi Byatt, wciąż się wydzierając. Wymawiam jej imię, biorąc ostatni nierówny wdech, zanim świat spowija ciemność.

Reese odskakuje, chwiejąc się na nogach.

– O mój Boże! – jęczy pobladła Byatt. Cały kolor odpłynął z jej policzków.

Nie mogę drgnąć, bo ból rozchodzi się z moich piersi. Już wcześniej ze sobą walczyłyśmy, ale wyłącznie o jedzenie. Jedynie wtedy. Taką postawiłyśmy sobie granicę.

Reese mruga i oczyszcza gardło.

– Wszystko z nią w porządku – mówi szorstko. – Będzie dobrze.

Prawdopodobnie wyszła, ponieważ Byatt kuca przy mnie i pomaga mi wstać.

Prawie zapomniałam sprawdzić harmonogram. Niemal uciekłam po prostu na górę, żeby odpocząć. Przechodzimy jednak obok tablicy ogłoszeń, dlatego rzucam okiem. Przeglądam aktualne zestawienie par Brygady Ogniowej oraz zmiany warty i nagle odnajduję swoje imię. No i mam. Oto powód. Jestem nowym członkiem Brygady Łodziowej.

Uśmiecham się. Nie chcę tego, aczkolwiek to robię. Zza moich pleców dochodzą szepty, więc muszę przestać. Teraz. Inaczej Reese o tym usłyszy i znienawidzi mnie jeszcze mocniej.

Byatt kładzie rękę na moim ramieniu.

– Powinnaś ją znaleźć – sugeruje. – Porozmawiać z nią.

– To chyba nie najlepszy pomysł.

– Wiem, że to, co zrobiła, nie było w porządku – nadmienia Byatt, odgarniając moje włosy, aby odsłonić mi twarz. – Ale jest...

– Muszę się zameldować – przerywam jej. – U Welch. – Nic nie mogę poradzić na to, że mój głos zabrzmiał na taki ożywiony. Nie chciałam tego. Zdaję sobie sprawę, iż to miejsce mi się nie należało, natomiast teraz, kiedy je dostałam, rozpiera mnie duma. Jestem dobrym strzelcem. Podołam temu zadaniu. Wiem, dlaczego moje imię trafiło na tę listę.

– Dobrze – mówi Byatt. Odsuwa się i krzyżuje ramiona na piersiach. Widzę, że chciałaby powiedzieć coś jeszcze, lecz zamiast tego rzuca mi ostatecznie spojrzenie, po czym rusza w stronę schodów.

Reszta dziewczyn staje wokół mnie. Jako że trafiłam do Brygady Łódzkiej, przyglądają mi się z większą uwagą. Czekają, aż im powiem i pokażę, co robić. Odczuwam potężniejszy ciężar, niż przypuszczałam. Należy pamiętać, że gdy stare reguły odeszły w zapomnienie, pojawiły się nowe, surowsze i sztywniejsze od poprzednich. Nikt nie wychodzi poza ogrodzenie – to pierwsza zasada, najważniejsza. Tymczasem od dziś jestem jedną z osób upoważnionych do jej łamania.

Kieruję uśmiech do najbliższej z uczennic, a potem, mając nadzieję, że wyglądam dojrzałe i odpowiedzialnie, w pośpiechu opuszczam pomieszczenie, wciąż czując na sobie ich spojrzenia. Welch prosiła, żeby się z nią spotkać, więc idę wzdłuż południowego korytarza do magazynu, gdzie znajduję ją zajętą inwentaryzacją.

– Hetty, wspaniale – oznajmia na mój widok. Wygląda na naprawdę zmęczoną i błyskawicznie czuję wdzięczność. Tox nie uszkodził jej tak bardzo jak nas. Przynajmniej między paroksyzmami możemy się nastawiać na moment czy dwa spokoju. – Chodź, pomóż mi trochę.

Wrzuca mi na rękę stos koców i słyszę, jak liczy je po cichu. Opieram o nie czoło i sprawdzam, czy oddycham powoli. Myślę, że szwy na moim oku się otworzyły.

– Prawdopodobnie jutro albo pojutrze znów wychodzimy – dodaje po chwili i zabiera ode mnie pledy. – Wczorajsza dostawa była niewielka, więc przy odrobinie szczęścia ją uzupełnią.

Najlepsze, czego możemy się spodziewać, to dodatkowe jedzenie i może

koc lub dwa. Początkowo było tego więcej. Przysyłali soczewki kontaktowe, żeby Kara nie musiała nosić okularów. Insulinę dla Olivii oraz tabletki antykoncepcyjne dla Welch, by wyregulować jej poziom hormonów. Jakoś po miesiącu przestały jednak przychodzić i nawet dyrektorka nie mogła nic na to poradzić. Zostawili Karę bez soczewek, Welch bez tabletek, a Oliwię skazali na śmierć.

– Zatem gdzie się spotkamy? – pytam. – I co mam ze sobą zabrać? Czy to...

– Przyjdę po ciebie. – Spogląda na mnie przelotnie. – Upewnij się, że odpowiednio wypoczniesz. Spróbuj też unikać takich pokazów, jaki zaprezentowałaś w głównym holu, jeśli możesz.

– Powiedz to Reese – mamroczę pod nosem.

– Ach, przepraszam – słyszę zza pleców. Odwracam się i dostrzegam Taylor. Stoi w drzwiach, przenosząc ciężar ciała z nogi na nogę. Z początku mam przeczucie, że przyszła tu, aby dać mi popalić za to, że zajęłam jej miejsce w Brygadzie Łódzkiej, mimo że sama z niego zrezygnowała, ale ona skupia się na Welch.

– Nie chciałam wam przerywać – kontynuuje. – Welch, mogę wpaść do ciebie później?

Wymieniają między sobą szybkie, niemal niezauważalne spojrzenie, które znika, zanim jestem w stanie je rozszyfrować.

– Pewnie – rzuca spokojnie Welch.

Taylor odchodzi w dół korytarza. Podążam za nią wzrokiem, próbując przyuważyć, co zmienił w niej Tox. Żadna z nas nie jest pewna, z czym zostawiły ją paroksyzmy, nawet reszta dziewczyn z jej roku. Jakiegokolwiek są to zmiany, muszą być ukryte pod ubraniami.

– Pamiętaj, Hetty – przemawia ponownie Welch, kiedy kończy zliczać koce. Odwracam się do niej. – Odpoczynek i odpowiednie nawodnienie. I bez awantur. A teraz leć.

Opuszczam pokój akurat wtedy, gdy Taylor znika w kuchni. Welch mi nie powiedziała, czego powinnam się spodziewać za ogrodzeniem, ale ona może. Wślizguję się za nią do pomieszczenia i widzę, jak klęczy, wsuwając jedną rękę za starą lodówkę.

– Em – chrząkam. Taylor podskakuje, zaś jej wolna dłoń automatycznie

wędruje do paska, gdzie zwykle trzyma nóż podczas wypraw Brygady Łodziowej.

– Boże, Hetty – syczy. – Mogłabyś przynajmniej dać znać, że tu jesteś, prawda?

– Przepraszam. – Przysuwam się kawałek. – Co robisz?

Taylor zerka mi przez ramię, wciąż skulona i podenerwowana, po czym lekko się uśmiecha. Dostrzegam, jak schodzi z niej całe napięcie. Siada na piętach, a następnie wyciąga zza lodówki plastikowe opakowanie krakersów.

– Coś na ząb?

Chowanie jedzenia jest ściśle zakazane. Na początku kilka uczennic tego próbowało i to nie nauczycielki dały im nauczkę, a reszta z nas. Dziewczyny z Brygady Łodziowej wyprowadziły je na zewnątrz, żeby porozmawiać, i zostawiły je zakrwawione na dziedzińcu. Tymczasem Taylor zyskała trochę swobody, stąd nie mogę sobie wyobrazić, aby ktoś ją ukarał.

– Pewnie. – Siadam obok niej na kafelkach ułożonych w szachownicę. Podaje mi krakersa. Czuję na sobie jej spojrzenie, gdy biorę kęs. – Dzięki.

– Schowałam je tutaj zeszłego lata – wyjaśnia. – Myślałam, że któraś z was już je znalazła.

– Nikt by tam nie szukał – odzywam się. – Zbyt dużo obrzydliwych pajęczyn, myszy i tym podobnych.

– Kiedy ostatnio widziałaś w okolicy jakąś mysz? – kpi Taylor, pochłaniając kolejnego krakersa w dwóch gryzach. Ściera okruszki z warg. – Więc? Pytaj, o co chcesz.

– Co?

– Twoje imię pojawiło się na liście Brygady Łodziowej i rozmawiasz tu ze mną przez przypadek? – ironizuje. – Dalej, Hetty.

– Zastanawiam się, na co powinnam się przygotować. – Biorę następnego krakersa, lecz czuję suchość w gardle, zatem trzymam go tylko w lepkiej dłoni. – To znaczy, po prostu idziemy po rzeczy i je tutaj przynosimy? To nie może być aż takie proste.

Taylor się śmieje. Robi to w taki sposób, iż człowiek od razu ma ochotę

śmiać się razem z nią. Istnieje ryzyko, że jeśli się tego nie zrobi, to ona zacznie płakać.

– Camp Nash używa latarni morskiej, żeby nas poinformować o dostawie. Kod Morse’a czy inne gówno. Nie wiem. Ale Welch przyjdzie i cię obudzi, jeżeli dadzą sygnał. Lubi wychodzić wcześniej, aby móc wrócić przed zmierzchem. Byłoby super, gdyby zostawiali rzeczy tutaj. Oszczędziliby nam wycieczki.

Nigdy bym nie pomyślała, że jest taka możliwość.

– Dlaczego tego nie robią?

Taylor znów nadgryza kruszącego się krakersa.

– Mówią, że groziłoby to skażeniem – odpowiada z pełnymi ustami. – Prawdę mówiąc, sądzę, że po prostu nie potrafią ominąć skał przy cyplu – stwierdza. – Nie żeby byli Marynarką Wojenną czy coś... Bo przecież Marynarka Wojenna wcale nie musi być dobra w tym całym żeglowaniu.

Jestem zaskoczona, słysząc, jak ktoś wyraża się o tym uświęconym procesie w tak gorzkich słowach. Ona jednak zdążyła napatrzeć się na to z bliska, więc z pewnością wie więcej niż ja.

– Czy to jest... – Urywam. Muszę się zastanowić nad odpowiednim wyrażeniem. – Czy to jest takie duże, jakie się stąd wydaje?

– Duże?

Mam na myśli tamte tereny. Z jakiegoś powodu sosny rosną tam wyższe i w ogóle nie przypominają tych, które oglądałam z dachu. W lesie Tox wciąż jest dziki. Nie ma do dyspozycji dziewczyn, dlatego zabiera się za wszystko inne. Tam rozkwita, rozprzestrzeniając się z radością. Nieokiełznany, okrutny i wolny.

– Tak – przytakuję. – Tak mi się wydaje.

Taylor pochyla się do przodu.

– Pamiętasz, jak to było? Pierwszego dnia?

Miało to miejsce półtora roku temu w porannym wiosennym słońcu. Przebywałam wówczas w gaju sosnowym w plątaniu pni i konarów. Reese i Byatt obserwowały, jak balansuję na najniższej gałęzi, przechodząc coraz bliżej jej końca. Spadłam, co wcale mnie nie zdziwiło. Wszystkie byłyśmy pozacinane oraz pokryte strupami od stóp do głów. Niektóre

z nas za szybko wchodziły w zakręt na korytarzu, inne za bardzo skracały swoje spódniczki, a jeszcze inne wbijały sobie ostre przedmioty, aby sprawdzić, jakie to uczucie. Zaczęło się to po Toxie.

Wstałam roześmiana, ale po chwili z mojego oka zaczęła płynąć krew. Z początku powoli, potem coraz szybciej i szybciej ściekała wzdłuż policzków, zbierając się w ustach. Gorąca, jakby miała się zaraz zagotować. Zaczęłam płakać, ponieważ nic nie widziałam.

Byatt zakłęła i złapała mnie pod ramię. Reese chwyciła za drugie, po czym pobiegły ze mną do budynku. Nie otwierałam oczu. Słyszałam, jak inne dziewczyny rozmawiają, chichoczą i nagle milkną, gdy przemykałyśmy obok nich. Byatt szła blisko mnie. Tylko dzięki niej utrzymywałam się na nogach.

W głównym holu Byatt siedziała ze mną na schodach, kiedy Reese pobiegła po pielęgniarkę. Spędziłyśmy tam jakiś czas, nie wiem jak długi. Byatt ścisnęła mnie za dłoń obiema rękami, gdy leżałam na jej ramieniu i zakrwawiałam koszulę. Reese wróciła z Welch. Przyciskały mi gazę do prawego oka, aż krew przestała kapać. Wtedy zobaczyły, że skóra moich powiek łączy się ze sobą.

Pielęgniarka zniknęła. Trzy inne dziewczyny były chore. Wszystko się zaczynało.

Następnego ranka poddali wyspę kwarantannie. Helikoptery przelatywały nad naszymi głowami, sprawę przejęło wojsko. Przez kolejne dni w budynku roiło się od lekarzy w kombinezonach ochronnych. Ciągłe testy i testy, lecz brak odpowiedzi. Jedynie choroba roznosząca się na każdą z nas.

– Tak. – Muszę odkaszląć. – Pamiętam.

– Właśnie to zastaniesz na zewnątrz – mówi Taylor. – Tutaj, w domu, wszystko wydaje się proste, ale tam jest tak, jak w trakcie pierwszych dni. Nikt nie wie, czego się spodziewać.

– To dlatego zrezygnowałaś? – pytam. Może powie mi prawdę. Może teraz, skoro należę do Brygady Łodziowej, uda mi się to z niej wyciągnąć.

Zadałam złe pytanie. Twarz Taylor zmienia się w chwili, gdy je wypowiadam. Spojrzenie staje się lodowate, usta zaciskają się w płaską linię. Wstaje.

– Nie musisz dziękować za krakersy. Odłóż je na miejsce, jak już skończysz.

Reese nie towarzyszy nam podczas kolacji. Naruszyła godzinę policyjną, to wszystko, czego się dowiadujemy od Welch. Jednak nie spotykamy jej, kiedy odbieramy nasze racje z kuchni, ani gdy Lauren z Ali przychodzą klócić się o świeże opakowanie gumek do włosów i Julia musi rozdać je pojedynczo. *Teraz to także moja praca*, przypominam sobie. *Należę do Brygady Łodziowej, jestem jedną z tych dziewczyn.*

Kiedy wracamy do pokoju, łóżko Reese jest puste i wydaje mi się, że przelotnie zauważam błysk jej srebrnej ręki znikający w głębi korytarza. Zmuszam się, by spojrzeć w przeciwnym kierunku.

– To ja powinnam być wkurzona – narzekam, gdy razem z Byatt kładziemy się na materacu. – To ona mnie dusiła, nie odwrotnie.

– Coś jej zabrałaś – informuje Byatt. – Przynajmniej ona tak to widzi.

Wstrzymuję oddech i unoszę podbródek, aby powstrzymać łzawienie oka od kłującego bólu. Przecież nie może na poważnie myśleć o tym, że zrobiłam to specjalnie, żeby ją zranić. Mimo wszystko to Reese – zawsze broni się przed jakimś zagrożeniem, którego nie potrafię dostrzec.

– Nie prosiłam o to.

– Myślę, że jej to nie obchodzi.

Nastaje ten moment, kiedy układamy się do snu. Ja przywieram do ściany, a Byatt kładzie się płasko na plecach, tym samym zajmując większość miejsca. Śpimy w taki sposób, odkąd zaczął się Tox. Najpierw po to, aby się rozgrzać, a potem tylko dlatego, że się przyzwyczailiśmy.

– Mogłaś po prostu odmówić – ciągnie dalej, gdy już zajmujemy wygodne pozycje.

– Mogłabym – odpowiadam szorstko. – Gdyby poprosiła. – Gniew jednak mija. Wzdycham, przymykając powiekę. – Normalnie nie wiem, co się z nią dzieje.

Byatt wydaje cichy dźwięk.

– Całe szczęście, że ja tu jestem, co?

– Nawet nie masz pojęcia. – Niektóre dni są fajne. Inne prawie mnie załamują. Pustka na horyzoncie i głód w ciele. Jak mamy to wytrzymać, skoro nie potrafimy znieść samych siebie? – Poradzimy sobie. Powiedz, że sobie poradzimy.

– Lekarstwo jest w drodze – przypomina Byatt. – Poradzimy sobie. Obiecuję.

ROZDZIAŁ 4

Taylor miała rację. Następnego ranka Welch budzi mnie przed wschodem słońca. Oczy kleją mi się od snu, sprawiając, że nic nie widzę. Mija trochę czasu, zanim dostrzegam całą sylwetkę kobiety.

– Co się dzieje? – mamroczę.

Znów mną potrząsa.

– Na dół, tak szybko, jak potrafisz – nakazuje. – Wyruszamy.

Drzwi zamykają się za nią z piskiem. Reese wciąż śpi na górnym łóżku, ale Byatt się odwraca i opiera na łokciach.

– Wychodzisz? – pyta ciężkim, ochryplym głosem.

– Tak.

– Dobrze – szepcze. – Bądź ostrożna.

To rozkaz, na którego dźwięk lekko się uśmiecham na wypadek, gdyby mogła to zobaczyć w ciemnościach.

– Spróbuję.

Gdy podchodzę do magazynu przy kuchni, Welch czeka już z Carson i Julią. Carson straciła trzy paznokcie w trakcie swojego paroksyzmu, natomiast ciemnobrązową skórę Julii pokrywają blizny, które powiększają się z każdym dniem. Nikt nie wie, skąd się wzięły, wiadomo jedynie, że ich barwa nigdy się nie zmienia.

Julia i Carson nie są pierwszymi członkiniami Brygady Łodziowej. Taylor, której miejsce zajęłam, była ostatnia z pierwotnie utworzonej grupy. Została wybrana razem z Emily oraz Christine – bliźniaczkami z jakiejś szkoły w okolicy Waszyngtonu. Dziewczyny przyjechały tu na wymianę i miały zostać tylko na jeden semestr. Źle wybrały. Pewnego razu, po trzech miesiącach epidemii, wróciły z lasu, nie pamiętając swoich imion. Tox odebrał im osobowość. Zabrał wszystko, oprócz umiejętności trzymania noża. Zademonstrowały ją w głównym holu podczas kolacji, kiedy coś je zmusiło, by wzajemnie się zadźgały i patrzyły na siebie, jak się wykrwawiają.

Carson posyła mi uśmiech, gdy do niej podchodzę. Ma na sobie drugą kurtkę, tę grubszą, podszytą flanelą, za to włosy związała z tyłu, ukrywając je pod kapturem. Stojąca obok nas Julia pochyła się przed magazynem. Wyciąga z niego rzeczy dla siebie i chyba też dla mnie.

– Proszę. – Wsuwa mi w ręce paczkę ubrań, po czym siada i zrzuca buty, aby wciągnąć dodatkową parę skarpet. – Załóż to.

Zarzucam na siebie płaszcz w kolorze czegoś pomiędzy czernią a granatem. Okrycie posiada również duże, mosiężne zapięcia, przypominające te montowane w kufrach. Pasuje całkiem nieźle, dodatkowo podniesiony kołnierz ochroni moją szyję przed wiatrem. Do kompletu dostaję również czerwoną czapkę, taką z klapkami na uszy. Nie jestem pewna, czy będzie pasować, więc patrzę na Welch, wówczas zauważam, że ma na sobie czerwony szalik. Carson zresztą też. Tymczasem marszcząca brwi ze zniecierpliwienia Julia założyła na kurtkę bufiastą, czerwoną kamizelkę.

– Barwy łatwe do wypatrzenia – wyjaśnia Welch. Bawi się zaczepioną o pasek krótkofalówką, przez którą zapewne utrzymuje kontakt z dyrektorką. – W razie kłopotów jedna z łatwością znajdzie drugą.

Julia prycha.

– Nie tylko my, wszystko inne także. Dalej, Hetty, ubieraj się. Musimy iść.

Zaskakuje mnie, choć nie powinno, że Welch wręcza mi nóż myśliwski, a następnie pokazuje, w jaki sposób wsunąć go przez szlufki dzinsów tak, jak robią to Julia z Carson. Nóż to jedyne, co na razie dostaję, zaś Julia i Welch mają broń. Nie są to strzelby, jakich używałam na dachu w trakcie warty, lecz małe, wygodne pistolety, z którymi obie wydają się dość obeznane.

– Gotowa? – Welch kiwa na mnie głową. – Za Julią. Trzymaj się blisko.

Wychodzimy przez frontowe drzwi i kierujemy się na ścieżkę. Zerkam za siebie, by zobaczyć budynek szkoły. Chcę go zapamiętać. Niespodziewanie czuję się tak samo jak wtedy, gdy miałam trzynaście lat, wysiadłam z vana, po czym ruszyłam drogą razem z idącą pół kroku za mną Byatt.

Wielkie drzwi, ganek oraz wszystko inne robi wrażenie, jakby było

czymś niesamowitym. Zatrzymujemy się i czekamy, aż Welch otworzy bramę. Wykonano ją z kutego żelaza, z prętami ułożonymi na tyle ciasno, że nie da się prześlizgnąć pomiędzy nimi, nawet jeżeli użyje się do tego całej siły. Kiedy jakieś sto lat temu wybudowano szkołę, umieszczono ją tu po to, żeby oddzielić wygospodarowany teren od dzikiej puszczy i trzymać zwierzęta z dala od ludzi. Sądzę jednak, że to nie jedyny powód. Wydaje mi się, iż istnieje tutaj także dlatego, aby dziewczyny nie mogły opuszczać tych rejonów. Zupełnie, jak gdyby na tej wyspie było jakieś inne miejsce, do którego mogłybyśmy pójść...

Od czasu, gdy pojawił się Tox, drzewa podpełzły bliżej, rosą nowe sadzonki i wyciągają się przez płot, jakby chciały nas dosięgnąć. Sosny, a przynajmniej niektóre z nich, zasypały zamarznąłą ziemię martwymi igłami, z kolei inne złuszczyły się i zdeformowały, niepodobne do czegokolwiek. Rosną tuż przy płocie, natomiast ich gałęzie sięgają ponad nim, a potem opadają, przygniecione ciężarem owoców w kolorze krwi. Niestety są niejadalne. Ich wnętrze jest czarne i po rozkrojeniu coś zaczyna się z nich sączyć.

Drzewa trzymają się z daleka od ogrodzenia tylko w jednym miejscu. Po północnej stronie wyspy, gdzie brzeg opada klifem wysokości dwudziestu stóp. Wszędzie indziej porąbałyśmy, ile byłyśmy w stanie, i obwarowałyśmy siatkę, używając wszystkiego, co wpadło nam w ręce. Wszystkiego, co mogło się nadać.

Lasy są wystarczająco nieprzyjemne – przysięgłabym, że chcą nas dla siebie – ale zwierzęta przychodzą niespodziewanie. Kojoty rosą większe od wilków. Lisy polują w niebezpiecznych watahach. Czasami były za szybkie dla dziewczyn z Brygady Ogniowej, więc nabiłyśmy płot szklanymi odłamkami i wieczkami zużytych puszek po zupie. Luki zabezpieczyłyśmy tablicami zerwanymi ze ścian w klasach.

Nie umieszczamy patroli przy ogrodzeniu. Będąc zbyt blisko lasu, stanowimy za dużą pokusę dla zwierząt, a i tak nikogo tam nie potrzebujemy. Jeśli któraś z nas opuści teren szkoły, żelazny klucz, wiszący u paska Welch, jest jedyną drogą powrotu.

Furtka się otwiera i przechodzimy przez wąską szczelinę. Kiedy Welch ponownie ją zamyka, słyhać, jak zamek wraca na swoje miejsce. Brzmi naprawdę krucho, aż odnoszę wrażenie, że mogłabym zniszczyć go samą

myślą. Czy faktycznie tylko to zapewnia nam bezpieczeństwo?

– Gotowe? – pyta Welch. Nie czeka na moją odpowiedź. Ruszamy.

Droga jest błotnista. Po bokach wdzierają się korzenie i trawa, a dziury zostały wypełnione kamieniami przez tatę Reese, pana Harkera. Spędziłam pół roku, wpatrując się w nią z dachu, ale zapomniałam, jak to jest mieć ją pod stopami. Zamrożona ziemia trzeszczy niczym nitki karmelu. Mój oddech zamienia się w wiszącą w powietrzu chmurę. Jeszcze tydzień temu była jesień, dziś już niezaprzeczalnie nadeszła zima.

Sosny nad nami pną się w górę. Wysokie, z potężnymi pniami z tysiącem rozgałęzień. Ich korony filtrują słońce, mącąc światło. Całość wydaje się zapomniana, jakbyśmy byli tu pierwszymi ludźmi od stu lat. Na drodze nie ma śladów opon ani żadnego znaku, że kiedyś wszystko wyglądało inaczej.

Nie powinnyśmy tutaj przychodzić. To miejsce już nie należy do nas. Zresztą nie wiem, czy kiedykolwiek należało. Nie zdawałam sobie sprawy z tego, jak dużo hałasu robimy w domu, lecz uświadomiłam to sobie po paru minutach drogi. Jest tu tak cicho, że można usłyszeć drzewa. Wychwycić, jak rosną i się poruszają oraz jak hałasują organizmy znajdujące się w nich. Zwierzyna płowa, nieliczna przed początkiem epidemii, rozmnożyła się do tego stopnia, że mogłaby nas wyżywić na wiele tygodni, gdyby nie to, że ich mięso gnije i obumiera. Są kojoty oraz wilki, których nigdy nie widziałam, ale sporo o nich słyszałam, a także inne istoty, które dotąd się nie pokazały. Tox nie przydarzył się wyłącznie nam. Przydarzył się wszystkiemu.

Mech pokrywa ziemię grubym dywanem, a winorośl pnie się wysoko. Tu i tam rosną połacie kwiatów, nawet zimą. Irysy w żywym kolorze indygo oblepia szron. Ciasno utkana pośrodku kępa otoczona jest wianuszkami z opadłych płatków. Kwitną na całej wyspie przez okrągły rok. Przyzwyczaiłyśmy się do rozstawiania ich w wazonach praktycznie w każdym pokoju w domu. Irysy z Raxter są wyjątkowe z tego powodu, że ich płatki ciemnieją po zerwaniu. Tak jak Błękitniaki z Raxter po śmierci. A teraz także my.

Przed kwarantanną było inaczej. Zwierzęta wydawały się oswojone, chociaż otrzymywałyśmy pouczenia, aby trzymać jedzenie z daleka od

nich. Las też wyglądał inaczej, zdawał się przynależeć do nas. Sosny rosły w szeregach, a przez nieurodzajną glebę ich pnie były niczym igły. Jeśli stanęło się w odpowiednim miejscu, można było zobaczyć spory kawałek drugiego brzegu wyspy. Nie dało się również zapomnieć o oceanie, ponieważ powietrze zawsze przygotowane było solą. Teraz w gęstwinie została zaledwie namiastka tego, co kiedyś miałyśmy.

Pierwszy zachorował las. Tak mi się przynajmniej wydaje. Zanim dzikość dotarła do nas, najpierw wsączyła się w ziemię. Drzewa stawały się wyższe, z kolei nowe sadzonki wyrastały szybciej niż miały prawo. Nie zwracałam na to uwagi do czasu, aż pewnego dnia wyrzałam przez okno i nie zobaczyłam już Raxter, jakie znałam. Tego samego ranka na śniadaniu dwie dziewczyny zaczęły ze zwierzęcą zaciekłością wyrywać sobie nawzajem włosy, a wieczorem uderzył w nas Tox.

W tej części gąszczu droga biegnie prosto. Przez półtora roku wędrowek dziewczyny z Brygady Łódzkiej zostawiły wzdłuż niej odciski stóp. Po obu jej stronach niczego nie ma. Nic nie zostało po małych ścieżkach, które uciekały pomiędzy drzewa. Żadnych śladów kogokolwiek innego. Widzę jedynie długie pasy kory zwisające z porozrywanych pni drzew. Pazury, może zęby.

Spodziewałam się, że będzie tu inaczej. Obserwuję atakujące ogrodzenie drzewa, wyciągający się ku nam mrok panujący w gęstwinie pomiędzy nimi. Wiem, co robi Tox. Myślałam jednak, że przetrwało tu coś z mojego dawnego życia.

– Chodź – oznajmia Welch i zdaje sobie sprawę, że zwolniłam. Reszta jest kilka kroków przede mną. – Nie możemy się zatrzymywać.

Zastanawiam się, co zostało z domu Reese. Powinien stać tu gdzieś na prawo, schowany pośród trzcin. Nigdy nie pamiętałam do niego drogi, dlatego zawsze pozwalałam Reese prowadzić. Sporo czasu minęło, zanim nas zaprosiła, a gdy już to zrobiła, czułam, że to nie miejsce dla mnie. Reese oraz jej tata śmiali się i rozmawiali, Byatt była zajęta jedzeniem, natomiast ja, nie wiedząc, co mam robić, na okrągło tylko się uśmiechałam.

Gdzieś za nami słychać trzask, a następnie coś na podobieństwo beczenia, wysokie i szybkie. Nie mogę powstrzymać wymykającego się

z moich ust przekleństwa. Welch rzuca się za najbliższe drzewo, ciągnąc mnie za sobą. Kładziemy się płasko pomiędzy korzeniami. Po przeciwnej stronie drogi Carson i Julia wciskają się w gąszcz, kucają nisko i pochylają głowy.

– Co...

– Ciii – szepcze Welch. – Nie ruszaj się.

Na dachu było inaczej. Wyłącznie gałęzie i celownik mojej strzelby. Tutaj czuję, jak ziemia drży. Ciężkie, dudniące kroki. Zasycha mi w ustach, strach przechodzi dreszczem przez ciało, więc przygryzam wargę, by siedzieć cicho.

Obserwuję las, leżąc przyciśnięta do ziemi tuż obok Welch. Wokół nas wiją się korzenie sosny. Wpierw widzę potężny, masywny cień, na którego miejsce wchodzi to. Falujące niczym wysoka trawa futro. Za duży na kojota, za ciemny na rysia amerykańskiego. Czarny niedźwiedź.

Wiem, co powinnam zrobić, jeżeli nas zobaczy. Z grizzly jest inaczej, ale w przypadku czarnego niedźwiedzia trzeba hałasować i na niego patrzeć. Nie wolno uciekać. Trzeba walczyć. Powiedział nam to pan Harker po tym, jak zobaczył jednego grzebiącego w jego śmieciach. Są szybsze, niż wyglądają, powiedział, i potrafią dostrzec przeblysk koloru w krzakach.

Ściągam czerwoną czapkę, po czym chowam ją pod płaszczem. Pot zamarza mi na skórze głowy. Liczę uderzenia rozszalałego serca, starając się nie oddychać zbyt głośno. Stoimy tak przez pewien czas.

Welch się uśmiecha, delikatnie, jak gdyby nie mogła się powstrzymać. Wstaje, ciągnąc mnie ze sobą, dopiero gdy mamy pewność, że kroki ucichły, drzewa zamarły, a hałas się oddalił.

– Odszedł. Możesz nałożyć czapkę z powrotem – informuje, przywołując dziewczyny.

Carson i Julia podbiegają do nas, przedzierając się przez gałęzie. Nie wyglądają, jakby przed chwilą były śmiertelnie przerażone. Raczej jakby często widywały takie rzeczy.

– Dobrze się bawisz? – trajkocze Julia. Obawiam się, że może mówić poważnie.

Wyspa Raxter ma długość jedynie około pięciu mil i kształt łuski naboju skierowanego ostrym końcem na zachód. Idziemy powoli, więc dotarcie na drugi brzeg zajmuje nam trochę czasu. Kiedy jesteśmy już blisko, łatwo to rozpoznać, bo wszystkie drzewa odsuwają się od wybrzeża, jak gdyby się go bały. Gdzieś przed nami, ukryte za ostatnimi drzewami, wznosi się centrum turystyczne. Zbudowano je jeszcze przed szkołą. Zanim zniknęły homary, było używane przez lokalną firmę rybacką. Później zostało zaadaptowane. Przed Toxem zazwyczaj stało puste i zamknięte, nie licząc lata, chociaż nawet wtedy przebywał tam tylko pan Harker. Siedział za kontuarem i słuchał transmisji radiowej z gry Soxów, podczas gdy na promach przepływali turyści, kierując się do innych miast, na innych wyspach.

Drzewa w końcu zaczynają być coraz cieńsze, a przed sobą widzę otwartą przestrzeń, gdzie rozciągają się słone bagna. Daleko, może z pół mili stąd, rozpościera się surowy, szary ocean. Horyzont jest pusty jak zawsze.

– Ach – wymyka mi się, zanim zdążę się powstrzymać.

– Co? – Welch marszczy brwi.

– Po prostu myślałam, że będą na nas czekać.

Nikt mi nie odpowiada, więc przełykam rozczarowanie i dołączam do dziewczyn, ustawiając się pomiędzy Carson a Julią. Welch wyprowadza nas spod osłony drzew. Momentalnie wiatr uderza z taką siłą, że niemal zwała mnie z nóg. Wkładam czapkę do kieszeni płaszcza i przysuwam się do Julii w nadziei, że osłoni mnie przed podmuchami.

Droga jest tu równo wydeptana. Opada po obydwu stronach, gubiąc się w trzcinach i błotnistych kałużach. Po prawej widzę pozostałości promenady, która biegła od pomostu do centrum turystycznego, wijąc się przez bagno i las usiany tablicami informacyjnymi. Chyba już ich tu nie ma. Chcę spytać, co się z nimi stało, ale odpowiedź będzie oczywista: Tox.

Idziemy powoli, trzymając się ścieżki, aż natrafiamy na początek przystani promowej, gdzie, zawieszona na wejściu, trzepocze stara, czerwona taśma. Na początku wszyscy mówili, że są plany, by postawić tam ściankę – taką porządną z metalu i plastiku, aby można było przez nią patrzeć. Jak dotąd mamy wyłącznie trochę taśmy oraz znak głoszący:

„Proszę czekać, aż teren zostanie oczyszczony”.

Przystajemy. Welch zrzuca swoją torbę na ziemię i wyciąga z niej lornetkę, po czym zaczyna się przez nią rozglądać.

– Co teraz mamy robić? – podpytuje, uderzając jedną stopą o drugą, żeby przegonić zimno.

– Zazwyczaj – zaczyna Carson – musimy trochę poczekać. Jednak...

Nagle słychać ćwierkanie ptaka. Odwracam się szybko i sprawdzam drzewa. Kiedy moje oko próbuje się dostosować, pogarsza mi się percepcja.

– Co to, do cholery, było?

Gdy nadeszła choroba, ptaki przestały śpiewać. Ucichły, jakby nigdy tu nie przebywały. Dni mijały, a my obserwowałyśmy, jak czaple, mewy i szpaki na zawsze odlatują na południe. Tak długo ich nie słyszałam, że zapomniałam, jaki to dźwięk.

– Ach, dobrze – oznajmia Welch. – Są niedaleko.

Wciąż się zastanawiam, dlaczego ptak nikomu innemu nie wydał się dziwny, kiedy po chwili od strony wody rozlega się syrena mgłowa. Podskakuję, moje serca przyspiesza, a oddech kłuje mnie w płucach.

– Skąd to? – dociekam.

Jest wystarczająco jasno, słońce wstaje gdzieś na szarym niebie. Można zobaczyć stąd brzeg niczym smugę na oceanie. A pomiędzy nim żadnej łódki, żadnego statku.

– Po prostu czekaj.

– Ale nic nie widzę.

Dźwięczy kolejna syrena. Reszta wydaje się przygotowana, jakby miało to wyglądać właśnie w ten sposób. I wówczas z szarości wyłania się dziób statku, jak gdyby przedzierał się przez gęstą mgłę.

To holownik z tępym dziobem i wyblakłym kadłubem. Zbyt duży, aby zbliżyć się od naszej strony wyspy, lecz przystań promowa, wystająca na głębokie wody, jest w sam raz. Kiedy statek pod pływa bliżej, rozpoznaję znaki identyfikacyjne w postaci białego numeru oraz żółtych i niebieskich pasków. Widziałam je czasami w Norfolk. Znak marynarki. Oznacza Camp Nash.

Statek obraca się i uderza w podporę, a gdy mrużę oko, widzę dwie osoby, większe niż być powinny, w jasnych kombinezonach, poruszające się po płaskim pokładzie statku. Silnik warczy, słychać go coraz bardziej i bardziej, aż Carson zatyka uszy palcami. Z tyłu znajduje się duży, pomarańczowy żuraw – teraz mogę go dostrzec – który się podciąga i wydłuża. Obserwujemy, jak podnosi paletę z pokładu, a potem przesuwa się na koniec pomostu.

Dźwig uwalnia ładunek, który uderza z łoskotem. Pod nami drżą deski przystani. Robię krok do przodu, ale Julia kładzie mi rękę na klatce piersiowej.

– Muszą dać nam sygnał – instruuje.

Odczepiają hak i żuraw zaczyna się cofać. Dwójka ludzi z pokładu po prostu nas obserwuje, a ja czekam, aż któryś do nas pomacha, wtedy syrena odzywa się ponownie. Jest tak blisko oraz tak głośno, że po prostu stoimy z otwartymi ustami.

W końcu cichnie, a wtedy łączywie wciągam powietrze.

– Możemy iść – mówi Julia.

Holownik znów płynie szybko, wzburzając fale, które uderzają w przystań. Dwie mewy lądują z krzykiem na poręczu pomostu. Lustrują nas oraz dostawę. Przybyły na żer.

Teraz, kiedy znajdujemy się bliżej, widzę, że dostawa jest naprawdę spora. To znaczy, jest bardzo duża, większa niż zazwyczaj. Paletę pokrywają zabite gwoździami drewniane pojemniki, a na górze leży pięć bądź sześć toreb, z jakimi Brygada Łodziowa zawsze wraca do domu.

– Co to jest? – Nie dowierzam. Zbyt dobrze znam dotyk żeber Byatt. Ona potrzebuje tego jedzenia. My go potrzebujemy.

– To zostanie między nami – cedzi Welch. – Tak to właśnie wygląda.

– W porządku – nadmienia Carson. Zmuszam się do oderwania wzroku od stosu skrzyń. – Rozumiem, że to trudne.

– To wszystko to jedzenie? Wystarczyłoby nam na tydzień!

– Prawdopodobnie na dłużej – dodaje oschle Julia.

Dziewczyny mnie obserwują, czekają na coś, tylko nie wiem na co.

– Tak jest zawsze? – Może to pierwszy raz, może są tak samo zaskoczone

jak ja, jednak Welch przytakuje spokojnie. – Nie rozumiem. Co się z tym dzieje? Dlaczego nie jest przynoszone do domu?

Welch robi krok w moją stronę, stając pomiędzy mną a pojemnikami, po czym dołączają do niej Julia i Carson. Ich poważne miny uwydatniają zaniepokojenie malujące się na twarzy Welch.

– Posłuchaj mnie bardzo uważnie – ostrzega Welch. – Wybrałam cię z pewnego powodu. Twoim zadaniem jest chronić mieszkające w domu dziewczyny. Nawet jeżeli będzie to trudne. Nawet jeśli wygląda inaczej, niż to sobie wyobrażałaś.

Kręcę głową i robię krok w tył. To nie w porządku. Nic z tego nie rozumiem.

– O czym ty mówisz?

– Część żywności jest zepsuta – wyjaśnia Welch. – Przysyłają bardzo dużo, ale jedynie jakaś połowa z tego nadaje się do spożycia. Reszta jest przeterminowana albo zawiera pestycydy.

– Pestycydy? – piszczę z niedowierzaniem, wtedy Julia i Carson kiwają głowami, naśladując Welch. – Głodujemy z powodu pestycydów?

– Wasz układ odpornościowy jest już tak obciążony, że wątpię, byście mogły sobie pozwolić na ryzyko związane z tym, co jecie.

– Więc zamiast tego niejemy niemal nic?

– Tak – odpowiada kobieta. Jej głos, a nawet spojrzenie, są wyważone i chłodne. – Powiedziałam ci, Hetty, wybrałam cię, ponieważ byłam pewna, że to udźwigniesz. Trzeba przyznać, że czasem myślę się co do ludzi. Jeżeli teraz właśnie tak jest, w porządku, możemy się tym zająć. – Porusza się delikatnie i patrzę, jak kładzie dłoń na uchwycie pistoletu schowanego za paskiem dżinsów.

Potrafię to sobie wyobrazić. Jeden strzał, dokładnie pomiędzy oczy, oraz Welch patrząca, jak spadam do morza. Wystarczająco łatwo jest wytłumaczyć wszystkim w szkole zniknięcie jednej dziewczyny z Brygady Łódzkiej.

– Ale nienawidzę się mylić – ciągnie Welch. – I nie wydaje mi się, abym się myliła. Myślę, że zdołasz sobie z tym poradzić, Hetty. Mam rację?

Z początku nie jestem w stanie odpowiedzieć. Wszystkie walczymy ze

sobą o najmniejszy kawałek pożywienia, a przez cały czas było tego dużo więcej. Co pozwala Welch sądzić, że ma prawo to przed nami ukrywać?

Niestety to moje życie zawisnie na włosku, jeżeli podejmę tę walkę. Welch zabije mnie bez żadnych skrępowań. Nie będzie ją to dręczyło po nocach. Po półtora roku z Toxem wszystkie nauczyłyśmy się robić to, co musimy. Jeśli mam być szczerą, nie potrafię udawać, że bez znaczenia jest to, że wybrały mnie. Mnie, nie Reese.

– Więc, Hetty?

Cokolwiek jest tu nie tak – a jestem pewna, że coś jest – nie mogę tego w tej chwili naprawić. Prostuję się i patrzę Welch prosto w oczy. Nie umiem kłamać tak jak Byatt, ale mogę spróbować.

– Tak – bełkoczę. – Masz rację.

Welch klepie mnie po ramieniu ze szczerym, szerokim uśmiechem.

– Wiedziałam, że dokonałyśmy dobrego wyboru.

– Dobra robota – chwali Julia, z kolei Carson podbiega i całuje mnie w policzek. Zaskoczona odsuwam się do tyłu. Carson jest lodowata w dotyku, a jej usta wydają mi się nawet zimniejsze od powietrza.

– Dobrze, że cię mamy – rzuca. Obydwie uśmiechają się z ulgą, jakby były gotowe wrócić do domu beze mnie.

Oczywiście, że były.

Welch zarzuca mi rękę przez ramię.

– Rzecz jasna nie mówimy o tym dziewczynom – napomina, prowadząc mnie w stronę skrzyń. – Ale wiedz też, że staramy się trzymać to w tajemnicy również przed dyrektorką.

– Przed dyrektorką? – Nie potrafię ukryć zaskoczenia w swoim głosie. Już sama sprawa z jedzeniem jest dziwna, a fakt, że Welch i dyrektorka mają przed sobą sekrety, czyni wszystko jeszcze dziwniejszym.

– Ma wystarczająco dużo na głowie. Nie trzeba dodatkowo kłopotać jej specyfiką dostaw żywności. – Uśmiecha się. – Lepiej, jeśli same się tym zajmiemy. Wiesz, jaka ona jest drobiazgową.

– Pewnie – mruczę. Wydaje się to właściwą odpowiedzią, w końcu dała jasno do zrozumienia, do czego jest zdolna się posunąć, byleby zachować dyskrecję.

– Świetnie. – Puszczaj mnie. – Zaraz zaczynamy. Jest naprawdę dużo do ogarnięcia, więc może tym razem tylko popatrzysz? Zobaczysz, co i jak, i szybko załapiesz.

Carson po kolei podaje worki Julii, która je rozwiązuje i wysypuje zawartość na ziemię.

Warzywa, owoce, a nawet opakowanie bekonu. Wszystko zapakowane, jakby pochodziło prosto ze sklepu. Chociaż kiedy przyglądam się bliżej, niektóre z opakowań zostały już wcześniej otwarte, inne rozcięte i ponownie zamknięte za pomocą taśmy opatrzonej herbem Camp Nash. Kompas, globus oraz baner z tekstem zbyt drobnym, abym mogła go przeczytać.

Gdy Welch łapie siatkę marchewek i unosi ją do nosa, zaczyna mi burczeć w brzuchu.

– Niedobre – mówi, wyrzucając je do morza. Powstrzymuję się, żeby za nimi nie skoczyć.

Dalej jest bekon, potem kiście winogron oraz koszyk z papryką. Już dwa worki są puste, a fale wokół przystani pełne jedzenia.

– No to ruszamy – oznajmia Welch. Bierze się za trzeci worek zawierający zgrzewki wody. Etykiety na butelkach są świeże i mają wytłoczony ten sam znak firmowy co zawsze. Wyłącznie to teraz pijemy. Wcześniej w szkole korzystaliśmy ze studni, ale po Toxie marynarka zabroniła nam jej używać, mówiąc, że może być skażona.

Carson zaczyna liczyć zgrzewki z wodą. Obok niej Julia układa zapalki oraz mydło w stosy. Widzę wystające z jej torby flakoniki szamponu, wszystkie perłowobiałe i zupełnie niepotrzebne. Zajmuje im to chwilę, lecz w końcu opróżniają worki, a następnie pakują to, co chcą zabrać. Produkty w oryginalnych opakowaniach, krakersy i suszone mięso, nawet rękaw obwarzanków, które stały się twarde jak kamień.

Później Julia podważa nożem wieko pierwszej z czterech skrzyń. Wiatr porywa znajdujące się wewnątrz wióry papieru i ozdabia nimi powierzchnię wody. W środku jest pełno zaopatrzenia medycznego, torebek na groźne substancje biologiczne, jak również maseczek chirurgicznych, których lekarze używają, by zasłonić nos oraz usta. Połowę wyrzucamy, zaś resztę bierzemy.

Druga skrzynia wypchana jest po brzegi amunicją, a w trzeciej leży para pistoletów zapakowanych starannie w piankę. Welch wkłada je do torby, po czym przekazuje każdej z nas po kilka paczek amunicji.

Wreszcie otwieramy ostatnią. W środku znajdujemy głównie papier czy słomę, ale pod nimi zagrzebana jest paczka czekolady – prawdziwej, ciemnej, dobrej jakości. Zbieramy się wokół Welch, kiedy wyjmuje ją ze skrzyni.

– Czy to... – Przerywam, gdy Welch zrywa folię. Czuję unoszący się zapach kakao. Zdążyłam zapomnieć, jak pachnie, jak słodki aromat cukru rozplywa się w powietrzu niczym dojrzewająca winorośl, i nie zdając sobie z tego sprawy, wyciągam rękę.

– Spokojnie, dostaniesz trochę. – Carson się śmieje.

– Jadłyście ją już wcześniej? – pytam, a Julia przytakuje. Wiem, że powinnam być zła, mimo to czuję jedynie zazdrość.

Welch odłamuje dwie pierwsze kostki, wtedy rozchodzi się najprzyjemniejszy dźwięk, jaki kiedykolwiek słyszałam. Prawdziwy, jakby to wszystko rzeczywiście się działo.

– Przysyłają jedną za każdym razem.

– Cóż, nie za każdym – odzywa się Welch. Następne dwie kostki lądują w dłoni Julii. – Ale wystarczająco często.

Nadchodzi moja kolej. Czekolada topi się na skórze, więc wpycham ją do ust tak szybko, że chyba mogłabym się zakrztusić, lecz mnie to nie obchodzi. Oblizuję palce, nie chcąc zmarnować ani odrobiny.

Gdy jesteśmy gotowe, podnosimy worki i przenosimy je na drogę. Paleta jest pusta, bo Welch zepchnęła do wody wszystkie skrzynie. Kiedy spytałam, dlaczego to robi, odpowiedziała, że jeżeli coś tu zostawimy, następnym razem wyślą nam mniej. Oczyszczamy paletę, choć zabieramy może z jedną trzecią dostawy.

Wiem, że to ta sama trasa, którą szliśmy w tę stronę, ale im dalej jesteśmy od przystani, tym bardziej obco wygląda. Może to przez światło, które wydaje się teraz bardziej żółte niż rano, a może przez coś innego. Mewy wzleciały ku niebu. Krążą ponad naszymi głowami, krzycząc głośno i przenikliwie. Naciągam klapy swojej czapki mocniej na uszy, gdy Welch zatrzymuje się tak nagle, że Carson na nią wpada.

– Przepraszam – mówi, lecz kobieta nie słucha.

– Co jest? – niepokoje się Julia.

Welch odwraca się, aby na nas spojrzeć. Kącik jej ust drży.

– Coś nadchodzi.

Mewy zniknęły, pozostawiając w powietrzu niezmaconą ciszę.

– Rozdzielamy się – instruuje. – W pary. Trzymajcie się z daleka od drogi, spotkamy się przy bramie. Hetty, idziesz ze mną.

Julia i Carson wymieniają spojrzenia, po czym wchodzą głęboko w krzaki, aż znika mi z oczu czerwień na ich odzieży.

Welch prowadzi mnie do lasu. Maszerujemy w pośpiechu i kiedy lawirujemy pomiędzy sosnami, kora ociera się o nasze ubrania. Gdy zerkam przez ramię, otaczający nas mrok gęstnieje, tymczasem od drzew odbija się każdy odgłos wydawany przez zwierzęta. Idziemy głębiej i głębiej, a worek, który niosę, zaczyna wyślizgiwać mi się z wilgotnych dłoni.

– Welch – wykrztuszam, ale nie odpowiada, tylko sięga do mnie, chwytając za kurtkę i ciągnie.

Po naszej lewej coś trzeszczy w krzakach. Welch zatrzymuje się gwałtownie, nieruchomieje i wyciąga przede mną ramię. Otaczające nas sosny rosną w nierównych szeregach, rozcinając horyzont na kawałki. Nie widzę żadnego ruchu.

Może się przestyszałyśmy. Przez chwilę mi się wydaje, że jesteśmy bezpieczne, jednak to znów się pojawia. Coś mignęło. Ruch, żółte szkliste oczy, które zaraz znikają.

– Co to było? – szepczę. Serce bije nierówno w klatce piersiowej, panika ściska mi płuca.

– Nie jestem pewna. – Grzebie przy pasie, szukając pistoletu. Trzyma go u boku i kładzie palec na spuście. – Nie widziałam...

Naraz coś jej przerywa. Słyszę ciche dudnienie za naszymi plecami, a następnie warknięcie i gruchot gałęzi. Odwracam się. To ryś, o szarym futrze oraz długim ciele, przygotowuje się do skoku. Ma spiczaste, płasko ułożone uszy, natomiast gdy warczy, błyszczą mu zęby. Jest jakieś dziesięć jardów od nas, zbliża się ostrożnie, podchodzi krok po kroku, pod jego

łapami chrzęści śnieg.

Przed Toxem rysie były małe i płochliwe. Można było je wystraszyć strzałem. Widzę, jak pod futrem falują mu mięśnie, a masywne łopatki sięgają mi prawie do pasa.

– Stań za mną – przemawia cicho Welch. – Powoli.

Ledwie jestem w stanie oddychać. Nie mogę spuścić wzroku ze zwierzęcia, mimo to wślizguję się za nią. Muskam butami ziemię, zanim zrobię każdy krok. Kot ponownie warczy, opuszcza klatkę piersiową do podłoża. Jest znacznie bliżej i mogę dostrzec czarne plamki na jego plecach, wyschniętą, zeskorupiałą krew w miejscach, gdzie skóra odpadła płatami. Po wewnętrznej stronie przednich łap bulgoczą mu rany, zaś żółć barwi białe futro na szyi.

Krok do przodu, i jeszcze jeden. Jego ogon porusza się z boku na bok. Welch mnie odpycha, a ja zaczepiam stopą o korzeń. Potykam się, klnąc. Kot syczy, skacząc do przodu. Wydobywa się z niego skrzekliwy pisk, wówczas Welch oddaje strzał w powietrze. Dźwięk eksploduje mi w głowie, za to ryś odskakuje z kolejnym rykiem i okrąża nas, smagając przestrzeń ogonem.

– Na mój znak – oznajmia Welch. – Biegnij w pobliże domu. Dogonię cię, jeśli dam radę.

Odwracam się. Pistolet trzęsie się w dłoni Welch. Nie jestem w stanie stwierdzić, z której strony przyszliśmy, dokąd powinnam iść. Jednak nie ma to znaczenia. Rytm mojego pulsu podpowiada mi: uciekaj, uciekaj, uciekaj!

– Gotowa? – podpytuje Welch. Ryś wciąż warczy, kłapiąc szczękami, podczas gdy kobieta celuje mu między oczy.

Nie, myślę sobie. Niestety jest za późno. Naciska spust, zwierz ryczy, kiedy kula trafia go w bok, a Welch pcha moje plecy.

– Uciekaj! – krzyczy. – Już!

Dzwoni mi w uszach, jej głos dociera do mnie stłumiony, ale moje ciało rozumie. Zarzucam torbę przez ramię i biegnę. Stopy uderzają o ziemię, łykam hausty zimnego powietrza, rzucając się do przodu, prac przed siebie, ile tylko mam sił. Słyszę za sobą kolejny strzał, ale się nie oglądam.

Gdy biegnę, sosny pędzą w przeciwnym kierunku. Strach działa niczym

krzywe zwierciadło, w którym wszystko wygląda inaczej. Jak zagrożenie. Jak coś, co może zranić. Przede mną rozpościera się droga. Podążam nią, czując gęsią skórkę na ramionach. Jestem tutaj zbyt wystawiona, zbyt widoczna, lecz wydaje mi się, że to jedna ze ścieżek pana Harkera, w południowej części wyspy. Przynajmniej wiem, że zmierzam w dobrą stronę.

Moje płuca płoną, dostaję skurczu w nodze, a torba boleśnie obija mi się o biodro. Przed sobą widzę świerki, których gałęzie pochylają się nisko nad ziemią. Mogę ukryć się pod nimi przed wszystkim, co mnie śledzi, i tam poczekać na Welch.

Przeskakuję przez gęszcz gałęzi i znajduję się w małej osłoniętej przestrzeni. Uderza mnie świeży, intensywny zapach zieleni. Cały świat jest postrzępiony przez ostre igły, zza których las wygląda na statyczny, nic się w nim nie porusza. Nigdzie nie dostrzegam czerwieni ubrań Welch. Zawieszam swoją czerwoną czapkę na jednej z gałęzi tak, żeby kobieta ją zauważyła, kiedy będzie przechodzić obok.

Powtarzam sobie, że jeżeli nie nadejdzie w ciągu kilku minut, pójdę dalej sama. Myśl o opuszczeniu kryjówki wywraca mi żołądek. Przed Toxem nigdy nie wychodziłam na zewnątrz w pojedynkę. Zawsze byłam w towarzystwie całej klasy, na przechadzce podczas zajęć z biologii albo z Byatt i Reese, gdy szliśmy przez las na obiad do domu Harkerów. Wtedy wszystko wyglądało inaczej. Drzewa nie rosły tak blisko siebie. Było więcej powietrza do oddychania.

Przykucam u podstawy jednego ze świerków i zgarniam część martwych igieł w stos. Chcę na nim usiąść, aby trzymał mnie jak najdalej od zmrożonej ziemi, ale wyczuwam coś pod krzakiem. Coś twardego oraz pustego w środku. Zrywam martwe liście, ignorując pierzchające chrząszcze, które rozsypują się dookoła niczym czarne korale. Im bardziej je rozgrzebuję, tym bardziej coś kwaskowatego i gnijącego łaskocze mnie w nosie. Gmeram dalej, aż w końcu odkopuję plastikową, jaskrawoniebieską lodówkę turystyczną z wygiętym uchwytem, jakby ktoś zostawił ją po pikniku.

Zanim podważę wieko umorusanymi paznokciami, oglądam się jeszcze przez ramię. Prawdopodobnie to tylko stara skrzynka na narzędzia pana Harkera, ale warto ją sprawdzić.

Spodziewam się spleśniałej przynęty, pęku haczyków czy żyłki wędkarskiej, lecz tak nie jest. Zewnętrzna część lodówki pokrywa brud, jednak w środku pozostaje czysta, jak gdyby została umyta. Na dnie, w foliowym woreczku zapieczętowanym jasną, czerwoną taśmą, leży fiolka z krwią, podpisana „POTENCJALNY RAX009”, pismem, które niemal znam.

– Hetty? – Nagłący i wyniosły głos Welch wyłania się spomiędzy drzew.

Zatraskuję lodówkę i na powrót przysypuję ją liśćmi. Cokolwiek to jest, sądzę, że nie powinnam nigdy tego zobaczyć.

– Jesteś tu?! – woła ponownie, a ja wstaję, prostuję się i przewieszam torbę przez ramię.

– Tutaj. – Wystawiam czapkę przez gałęzie i wychodzę ze świerkowej kryjówki.

Kobieta przechodzi między drzewami, poruszając się głośno i nerwowo. Na policzku ma krew, kurtkę rozdarta, włosy wychodzą jej z warkocza. Po chwili staje naprzeciwko, chwyta mnie za rękę i mną potrząsa.

– Co, do diabła, Hetty? – syczy. W tym momencie nie jest panną Welch, besztającą mnie za nieprzestrzeżenie godziny policyjnej. Jest po prostu kolejną dziewczyną wymęczoną przez Tox, zmartwioną i wyczerpaną. – Miałaś się nie zatrzymywać.

– Przepraszam – mamrocze. – Po prostu... martwiłam się o ciebie. – Przeraza mnie myśl o poleganiu na samej sobie. Taka jest prawda, choć trudno mi się do niej przyznać. – Co z rysiem?

– Nie żyje – odpowiada. – Ale Hetty. Wydałam ci rozkaz. Następnym razem masz się zastosować, dobrze?

– Dobrze – przytakuję szybko.

Zerka przez moje ramię i zawiesza wzrok na świerkach, a ja delikatnie się przesuwam. Chcę zapytać, czy wie o lodówce, czy wie, co oznacza RAX009, lecz przypomina mi się jej spojrzenie z przystani oraz to, że zdajemy sobie sprawę z rzeczy, o których nie powinniśmy rozmawiać. Może to kolejny test? Utrzymywanie tego w tajemnicy też jest częścią mojej pracy?

– Wszystko w porządku? – Welch marszczy brwi.

Lepiej dmuchać na zimne.

– Tak – mówię, zmuszając się do uśmiechu. – Chodźmy do domu.

Wracamy na drogę i idziemy szybko w kierunku szkoły. Tu zaczyna się ścieżka, a tam widzę pustą plamę trawy oraz porozrzucany niczym nagrobki gruz. Mrugam energicznie, gdy pogarsza mi się wzrok. Pot potęguje chłód późnojesiennego powietrza i kiedy po południu docieramy do bramy, dygoczę z zimna. Już zapomniałam, jak to jest widzieć biały wierzchołek tarasu, na którym majaczą sylwetki dziewczyn z Brygady Ogniowej. Ciekawe, jak wyglądam z ich perspektywy.

Obok płotu leży martwy kojot, a przy jego zakrwawionej głowie gromadzą się muchy. Julia i Carson czekają za nim, oparte o ogrodzenie. Gdy podchodzimy bliżej, wstają, machając nam znad padliny.

– Pamiętaj – przypomina ściszym głosem Welch zaraz przy moim uchu. – Uśmiechaj się szeroko. To nasza praca, żeby pokazać dziewczynom w środku, że wszystko jest w porządku.

Płuca wciąż mam spięte od biegu, natomiast ręce obciążone jedzeniem, które wyrzuciłyśmy do morza, jednak prostuję plecy i robię, co mogę, by to od siebie odpędzić.

Welch otwiera furtkę. Przeciskamy się wąskim przejściem, a potem wchodzimy frontowymi drzwiami. Kładę torbę na podłodze i odwracam wzrok od dziewczyn, które krzyczą, by zobaczyć, co przyniosłyśmy. U dołu schodów czeka na mnie Byatt. Przechyla głowę, nic nie mówiąc.

– Gdzie Reese? – pytam, kiedy jestem już wystarczająco blisko.

– Nie widziałam jej cały dzień. – Wyciąga do mnie ręce. Chcę się o nią oprzeć, żeby mnie podtrzymała, ale nie mogę. Nie mogę tego po sobie pokazać. – Wszystko gra?

– Padam ze zmęczenia.

Za mną słychać miarkowane kroki i gdy się odwracam, dostrzegam dyrektorkę. Troska sprawia, że jej twarz przybiera niemal matczyny wygląd.

– Jak się czujesz?

– Okej. – Kiwam głową, ignorując rosnący ucisk w piersiach. – Po prostu bardzo tego dużo.

– Może pójdziesz na górę? – Kładzie rękę na moim ramieniu. Palce trzęsą jej się tak, jakby Tox w nich był żywy. – Trochę odpoczynku dobrze ci zrobi.

– Ma rację – podłapuje Byatt. – Chodź.

– Ale jedzenie... – Odpoczynek to jedyne, o czym teraz marzę, lecz muszę poczekać, aż dziewczyny wezmą swój przydział, a później pomóc zanieść to, co zostało, do spiżarni.

Welch podchodzi i odciąga mnie od tłumu.

– Zajmiemy się tym – uspokaja. – Idź spać.

– Dziękuję. – Nie mam siły się kłócić.

Sięgam po nóż myśliwski, aby jej go oddać, ale kręci głową.

– Zasłużyłaś na niego – oznajmia.

Będę nosiła nóż przy pasku tak samo, jak Julia i Carson. Sądzę, że to już oficjalne.

Pozwoliłam Byatt zaprowadzić się po schodach. Po kroku czy dwóch zamknęłam oko. Za nami słyszę, że dziewczyny szarpią się i drapią o pożywienie. Rozpamiętuję ocean przy przystani, wszystko, co wyrzuciłyśmy. Czekoladę, którą zjadłam, nie myśląc o uwięzionych tu dziewczynach.

Wreszcie docieramy do naszego pokoju. Wspinam się na łóżko i kładę po swojej stronie. Byatt siada na rogu materaca, a moje ciało owija się wokół niej.

– Chcesz trochę wody? – pyta.

– Czuję się dobrze, naprawdę.

– Co tam się stało, Hetty?

Chcę – ach, tak bardzo chcę – wyznać jej prawdę, ponieważ jeżeli ktokolwiek wie, co powiedzieć, to właśnie Byatt. Przetykam jednak ciężko, zapadam się trochę bardziej w siebie i słyszę Welch, mówiącą: *Wszystko jest w porządku.*

– Nic.

Przez moment siedzi cicho, po czym się o mnie opiera i guzki jej

drugiego kręgosłupa wbijają mi się mocno w biodro.

Ostatnie promienie słońca oświetlają rysy jej twarzy. Tak dobrze znam ten opadający nos i długą szyję, że mogłabym je odtworzyć we śnie. Gęste, kasztanowe włosy zwisają wokół ramion. Moje kiedyś też były takie długie, dopóki nie obcięła mi ich wiosną na pierwszym roku. Obydwie siedziałyśmy na werandzie. Byatt milcząca i metodyczna, skróciła je tak, że muskały mi szczękę. Wciąż to robi co kilka miesięcy, a końcówki rozdwiają się i niszczą od tępego ostrza byle jakiego noża, jaki udało jej się pożyczyć od dziewczyn z Brygady Łodziowej.

Szturcham ją lekko, żeby na mnie spojrzała.

– Wszystko dobrze? – podpytuję. Czasami zapominam. Zapominam, że jest taka sama jak reszta z nas. W odpowiedzi czule się uśmiecha.

– Zdrzemnij się. Będę zaraz obok.

Zrobiłam, co zrobiłam, i widziałam, co widziałam, ale Byatt jest przy mnie, więc zasypiam, jakby to była najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

ROZDZIAŁ 5

Następnego ranka Reese nie pojawia się na śniadaniu. Mijają prawie dwa dni, odkąd ostatni raz ją widziałam i od kiedy dołączyłam do Brygady Łodziowej. Natomiast Byatt mówiła, że widziała ją na błoniach, a potem zauważyła, jak zaszła się na noc w dawnym pokoju nauczycielskim.

Dzisiaj siedzimy przy kominku, dzieląc kanapę z Cat oraz Lindsay. Są z tego samego roku co my, jednak nigdy nie rozmawialiśmy za wiele poza lekcjami. Po Toxie zbliżyliśmy się do siebie, wymieniając się żywnością czy kocami. Teraz każdy potrzebuje więcej pomocy niż kiedyś.

Zazwyczaj ja jestem tą, która chodzi po posiłki, ale wciąż czuję się chora, gdy myślę o wczorajszym jedzeniu wyrzuconym do wody. Dziś zastąpiła mnie Byatt i udało jej się przynieść paczkę grzanek. Bierze garść i podsuwa mi opakowanie.

– Musisz coś jeść – nalega.

– Później. – Nie potrafię. Wiem, że miałyśmy powód, by wyrzucić to jedzenie, lecz nie jest mi przez to ani trochę łatwiej patrzeć, jak Byatt liczy każdy kęs, który bierze.

– Hetty, mogę na słówko?

To Welch. Przekręcam się na sofie, aby ją zobaczyć. Usta ma zaciśnięte w wąską kreskę, ale wydaje się niemal nerwowa, jak przed Toxem, kiedy złapała kogoś na nieprzestrzeganiu godziny policyjnej.

– Pewnie – odpowiadam, wstając i idąc w jej kierunku.

– Zostawię ci trochę! – woła Byatt. – Czy tego chcesz, czy nie.

Macham jej przez ramię.

– Dziękuję, mamo.

Welch prowadzi mnie do wylotu korytarza. Z bliska widzę zmarszczki na jej czole i oczy błyszczące, jak gdyby miała gorączkę.

– Co się dzieje? – pytam.

– Byatt ma rację. Powinnaś coś jeść.

– Nie jestem głodna. – Nie mogę. Już więcej nie mogę.

Welch wzdycha.

– Hetty. – Brzmi poważnie. – Chcę, żebyś postarała się trochę bardziej, proszę.

– Co? – Sam fakt, że siedzę teraz w głównym holu, to więcej, niż jestem w stanie znieść.

– Mówiłam ci, że twoją pracą jest pokazywanie innym, że wszystko jest w porządku, a zamiast tego siedzisz tam i, szczerze mówiąc, wyglądasz, jakbyś miała zaraz zwymiotować.

– Staram się, okej? – oznajmiam, a w moim głosie pobrzmiwa frustracja.

– Niewystarczająco. – Patrzy ponad moim ramieniem tam, gdzie siedzi Byatt. – Zazwyczaj jesteście we trójkę. Gdzie jest Reese?

– To nie ma z tym nic wspólnego.

– Wszystko ma – mówi Welch. – Od czasu jej popisu po tym, jak dostałaś się do Brygady Łodziowej, obie jesteście pod lupą. – Pochyliła się. – Dziewczyny was obserwują, Hetty. Więc czegokolwiek dotyczyła wasza mała sprzeczka, musisz to naprostować. Dajcie sobie buzi na zgodę i zakończcie spór. Zrób cokolwiek, co przywróci waszą trójkę do normalności. Normalności, Hetty.

– To Reese. Strojenie fochów jest dla niej normalne.

– Ja nie proszę. – Jej szczęka się zaciska, a oczy błyszczą.

– Dobrze. – Unoszę ręce w geście poddania. – Dobrze, porozmawiam z nią.

– Nie mów jej nic, czego nie powinnaś.

Ledwo się do niej odzywam, kiedy ma dobry dzień.

– Nie powiem.

Welch uśmiecha się, a raczej blisko jej do tego, i kładzie mi dłoń na plecach.

– Dziękuję ci – mówi. – Zajmij się tym jeszcze dzisiaj.

Zdażyła już zrobić kilka kroków, gdy nie wytrzymuję.

– Nie męczy cię to? Okłamywanie wszystkich?

Przez chwilę milczy, po czym się odwraca. Widzę po jej twarzy, że próbuje dobrze wypaść, powiedzieć coś dorosłego.

– Tak, męczy. – Wzrusza ramionami. – I co z tego?

Czy to nic nie znaczy? Chcę wykrzyknąć. Nie ma znaczenia?!

– Myślę, że nic.

Kiwa głową.

– Dzisiaj, Hetty.

Kiedy wracam do Byatt, dostrzegam po niej, że nas obserwowała. Ma świeżo obgryzione paznokcie, marszczy brwi.

– Muszę pogadać z Reese – wyjaśniam. – Jeśli nie wrócę za jakieś pięć minut, lepiej zacznij nas szukać na wypadek, gdyby znowu próbowała mnie zabić.

– Raptem cię podduśła – stwierdza, ale przytakuje. Zaczepia palce o mój pasek, gdy odchodzę. – Bądź ostrożna, dobrze?

Uśmiecham się do niej. Zawsze jestem ostrożna w stosunku do Reese, chociaż ona rzadko robi to samo w stosunku do mnie.

Gdyby jej tata wciąż z nami mieszkał, byłoby łatwiej. Jak tylko ogłoszono kwarantannę, pana Harkera przeniesiono na naszą stronę ogrodzenia i umieszczono go w jednym skrzydle z nauczycielkami. Wszystkie udawałyśmy, że mężczyzna w domu to wcale nie jest najdziwniejsza rzecz, jaka nam się przytrafiła.

Przebywał z nami może przez miesiąc. Wtedy śledziłyśmy takie rzeczy, ale teraz wydaje mi się, jakby to miało miejsce tak dawno temu, że ledwie cokolwiek pamiętam. Zostały jedynie przebłyski. Reese oraz jej ojciec jedzący śniadanie w jadalni, jeszcze zanim połamałyśmy meble na opał. Reese z tatą z powrotem montujący generator na zewnątrz. Obydwoje siedzący na ganku i wyszukujący konstelacji na niebie. Reese śmiejąca się tak, jak nigdy ze mną i Byatt.

Inne rzeczy też pamiętam. Jak zaczął się zmieniać – powoli, z początku w jego dłoniach pojawiło się pragnienie, aby coś rozdrapać i rozedrzeć. Tox. Chociaż wówczas jeszcze tak tego nie nazywałyśmy. Wiedziałyśmy

zaledwie, że jednego dnia pan Harker nie stanowił zagrożenia, a kolejnego już owszem. Jednego dnia był sobą, natomiast kolejnego wymiotował ciemną mazią, ziarnistą niczym piasek, i patrzył na nas pustym wzrokiem.

Reese to ignorowała, udawała, że nic się nie dzieje. Wdała się też w pełną wrzasków kłótnię z Byatt, a następnego dnia pan Harker odszedł. Kiedy Reese spała, w kieszeni jej kurtki zostawił notatkę mówiącą, że musi iść, że tak jest najbezpieczniej dla wszystkich.

Tego samego ranka pobiegła do ogrodzenia, pamiętam to. Dotkliwie pocięła sobie dłonie, szarpiąc płot i próbując przejść na drugą stronę. Taylor ją powstrzymała. Reese się wte dy załamała, widziałyśmy to razem z Byatt. Gdy na powrót pozbierała się do kupy, wciąż czegoś jej brakowało.

U mnie nigdy tak nie było. Żegnaliśmy się na lotnisku i śledziłam wiadomości, jednak mój tata zawsze wracał.

Znajduję Reese w gaju sosnowym nad wodą, w tym samym miejscu, w którym siedziałyśmy pierwszego dnia Toxu. Zajmuje tę samą gałąź tego samego drzewa, jedyną różnicę stanowi błysk jej srebrnej dłoni, kiedy drży w cienkiej kurtce.

Podchodzę powoli, od przodu, tak, żeby mnie widziała, co zawsze jest najbezpieczniejsze. W ciągu tych dwóch dni, gdy się nie widziałyśmy, pod jej oczami pojawiły się cienie. Wygląda na głodną. I zziębniętą. Tymczasem to nie ona nas potrzebowała. Zawsze było na odwrót.

– Cześć – zagaduję. Nawet na mnie nie patrzy. Muszę ugryźć się w język, by nie powiedzieć czegoś, czego nie powinnam. *Pamiętaj, co powiedziała Welch*, przypominam sobie. *Pamiętaj, to ważne*. – Co do Brygady Łódzkiej. – Opieram się o pień, zostawiając między nami sporą przestrzeń. – Nie wiedziałam, że mnie wybierają. Myślałam, że to będziesz ty.

– Ja też – przyznaje zdartym, ochryplym głosem tak, jakby to jej gardło zostało zmiażdżone, a nie moje. Mam ochotę krzyknąć, wydusić z niej przeprosiny. Wtedy jednak patrzy na mnie, marszcząc brwi.

– Wszystko dobrze?

To już coś. Prawdopodobnie nie mogę liczyć na nic więcej.

– Dobrze, naprawdę nieźle.

– Jesteś pewna? – Próbuje się uśmiechnąć. – Ponieważ wyglądasz okropnie. Masz twarz jak Beth z filmu *Małe kobiety*.

– O nie – mówię beznamiętnie. – Myślisz, że mogę być chora?

– W Raxter? – Unosi brew, a na jej twarzy wykwita udawane zaskoczenie. – Nigdy.

Zapada cisza. Chyba obydwie jesteśmy zaskoczone, że dałyśmy radę choć trochę zażartować. Byatt musi tu przyjść i to szybko, zanim to zniszczymy.

Odwracam się, aby spojrzeć przez drzewa, i kiedy wracam wzrokiem, Reese macha nogami. Wygląda prawie na nieśmiałą. Lecz Reese nigdy się nie wstydzi. Nawet wówczas, gdy się przede mną otworzyła, to było jak atak. *Ciota*, powiedziała wtedy tak, jakby chciała, żebym zaprzeczyła.

– Byłaś wczoraj z Brygadą Łodziową – odzywa się nagle i czeka.

– Tak.

– Jak to jest?

– Inaczej. – Słowa ledwie się ze mnie wydobywają.

– Jak inaczej?

– Em. – Pamiętaj o Welch, pamiętaj o swojej pracy. Wszystko jest w porządku. – Jest więcej drzew – dodaję głupio.

– Posłuchaj, Hetty. Muszę wiedzieć. Muszę. Widziałas go? Mojego tatę? Mój dom? – wymienia. – Cokolwiek.

– Przepraszam, Reese. – Kręcę głową. Odwraca wzrok, jednak zanim to robi, widzę, jak mrugając, próbuje pozbyć się łez. Niezgrabnie odchrząkuję i marzę wyłącznie o tym, by się ulotnić.

– Gdzie jest Byatt? – Rozglądam się. – Miała przyjść nas poszukać.

Reese nic nie mówi, więc ruszam w kierunku domu, ale oddalam się tylko kilka jardów od gaju, kiedy podbiega Cat, ciężko dysząc. Próbuję nie patrzeć na pęcherze rozprzestrzeniające się na linii włosów, każdy rozdarty i krwawiący.

– Hej – wydusza z siebie. – Lepiej wracaj do środka.

Strach, przejmujący i narastający. Przelykam ślinę.

– Dlaczego?

– Twoja przyjaciółka. Dostała paroksyzmu.

Z początku czuję pustkę. Jedynie mrowienie w palcach, tępy ból z tyłu ślepego oka. Następnie zawroty głowy, kołyszę się, gdyż kolana się podę mną uginają.

– Nie – zaprzeczam. – Nie, właśnie ją widziałam.

– Przepraszam – odpowiada Cat. – Przyszłam tak szybko, jak tylko mogłam.

To niemożliwe. Widziałam się z Byatt jakieś dziesięć minut temu i czuła się dobrze. Musi być z nią dobrze.

Odwracam się, szukając wzrokiem Reese, która zeskoczyła z gałęzi, po czym wyszła za mną z gaju. Stoi z tyłu z ustami zaciśniętymi w poziomą linię. Bez słowa biegniemy do domu. Szybciej i szybciej, aż wpadam do głównego holu. Jest niemal pusty o tej porze dnia, jedynie parę dziewczyn zgromadziło się wokół kominka. Nigdzie nie ma Byatt. Powinnam była spytać o to Cat. Powinnam, powinnam...

– Spokojnie – szepcze Reese, a ja wyciągam rękę, sięgam po jej dłoń i mocno ją ściskam. Byłam obecna przy każdym paroksyzmie przyjaciółki. Przy tym, który odebrał Byatt głos prawie na tydzień, przy tym, który rozorał jej plecy i zostawił ją z drugim kręgosłupem. Przy tym też muszę być.

Przez powietrze przedziera się drżący skowyt. Ogarnia mnie strach, świeży i zimny. Odrywam się od Reese. Dźwięk dochodzi z tyłu budynku, z południowego skrzydła od strony kuchni.

Przedzieram się przez grupę siedzących przy kominku dziewczyn. Biegnę wzdłuż korytarza, sal lekcyjnych i biur pędzących w przeciwnym kierunku. Każde z nich jest puste, bez Byatt, Byatt, Byatt. Aż wreszcie ją znajduję. Leży rozwalona w kuchni na podłodze, a ciemne włosy przykrywają jej twarz. Proszę. To nie może się dziać naprawdę.

Padam przy niej na kolana. Dwie strużki krwi ciekną jej z nosa i przeciekają między zębami, kiedy łapie powietrze. Płacze, tak myślę, ale ciężko to stwierdzić. Jedną dłonią trzyma paczkę krakersów, a drugą rozdrapuje sobie gardło.

– Co się stało? – pytam. Słowa wydobywają się tak szybko, że uderzają

jedne o drugie. – Co cię boli? W którym miejscu?

Porusza ustami, próbując chyba wymówić moje imię, lecz potem jej oczy wywracają się do tyłu. Dostaje konwulsji, jej mięśnie mocno się zaciskają, gdy przez ciało przechodzi fala wstrząsów.

Wydaje mi się, że krzyczę, jednak niczego nie słyszę. Czyjeś dłonie zaciskają się na moich ramionach, ciągną mnie w tył. Odpycham je i sprawdzam puls na szyi Byatt.

– Hej – wykrztuszam, kiedy otwiera oczy, obydwa przekrwione. – To ja. Już wszystko dobrze.

– Posłałam jedną dziewczynę, aby znalazła Welch – dodaje Reese. Wydaje się spokojna i opanowana, ale ją znam. Wiem, że w ten sposób okazuje panikę. Podchodzi, by stanąć po drugiej stronie ciała Byatt, lecz nie patrzy na nią, tylko na mnie. – Trzymaj się, dobrze?

Ostatnim razem pojawiło się naprawdę dużo krwi. Wypływała, gromadząc się pod nią w pęknięciach pomiędzy deskami podłogowymi. Tym razem dostała jedynie krwotoku z nosa, zaś rozsmarowana na ustach krew kapie na ziemię. Podciągam jej rękawy, szukając śladów ran, czegokolwiek.

– Potrzebuję twojej pomocy – informuję, klęcząc nad Byatt. Oglądanie przyjaciółki w takim stanie mnie wykańcza. – Musisz mi powiedzieć, co jest nie tak.

Wyciąga drżącą dłoń i zawiesza palce na kołnierzyku mojej koszuli. Pochyliłam się tak blisko, że czuję, jak jej ślina przywiera do mojego policzka.

– Hetty – mówi. – Hetty, proszę.

To najgorsza rzecz, jaką kiedykolwiek słyszałam. Głos Byatt brzmi niczym uderzanie metalu o metal. Jakby milion ludzi naraz wydawało dźwięki od szeptu do krzyku. Sprawia mi to ból, prawdziwy, sięgający do samych kości. Jak gdyby pękały, były ze szkła.

Zwijam się, przyciskając ręce do uszu. Odnoszę wrażenie, jakby to trwało wiecznie, ale w końcu drzenie mija i znowu mogę myśleć.

– Cholera – cedzi Reese przytępią i osłabiona, jak gdyby też to poczuła. – Co to było?

Ignoruję ją i wracam do Byatt, która niemal się zapowietrza, próbując usiąść. Wygląda na przerażoną. Tox panuje od półtora roku. Nigdy dotąd nie widziałam, żeby się bała.

– Wszystko dobrze – uspokajam ją, wyciągając rękę, ale ona kręci głową i przyciska dłoń do mojego policzka. Jakby chciała zapytać, co mi jest.

Z korytarza słyszę zbliżające się głosy. Welch i kilka innych – prawdopodobnie Carson oraz Julii. To właśnie robi Brygada Łodziowa. Sprząta bałagan, odkłada wszystko na miejsce. Tylko że teraz bałagan to Byatt, a ja nie pozwolę im zabrać mi jej sprzed oczu.

– Czuję się dobrze – zapewniam, gdy Byatt ponownie próbuje zwrócić na siebie moją uwagę, szarpiąc mnie za płatek ucha. – Welch już idzie, dobrze? Zajmie się tobą.

Byatt bierze oddech, gotowa coś powiedzieć, lecz Reese mocno zakrywa dłonią jej usta.

– Nic nie mów – ostrzega. – To boli.

Welch wbiega do pokoju, Julia i Carson są parę kroków za nią. Wpatrują się w Byatt, a Julia trzyma rękę trochę za blisko noża na pasku. Welch się do mnie odwraca.

– Czy ona może chodzić?

Wiem, co powiedziałyby Byatt – że jest tutaj i może mówić sama za siebie – ale nie chcę już nigdy poczuć się tak, jak wtedy, kiedy się odezwała.

– Tak myślę.

Welch kiwa głową na Carson i Julię.

– Podnieście ją.

– Pomogę. – Wstaję, lekko się chwiejąc.

– Absolutnie nie – zabrania Welch.

– To praca dla Brygady Łodziowej – przypominam. – Jestem w Brygadzie Łodziowej.

– Nie w tym przypadku.

Julia i Carson podchodzą bliżej, z piskiem szurając butami po kafelkach. Nie patrzą na mnie, kiedy kucają po obu stronach Byatt, łapią ją za łokcie, a następnie pomagają jej wstać.

Nie wzbrania się. Myślę, że zdaje sobie sprawę z tego, że i tak nie

miałoby to sensu. Po prostu patrzy na mnie, gdy ją odprowadzają. W ostatnim momencie wyciąga rękę i wtyka mi coś w dłoń.

Opakowanie krakersów. Teraz połamanych w drobny mak. Musiała znaleźć kryjówkę Taylor. Przyciskam je do piersi, próbując się nie rozplakać. Chciała, żebym coś zjadła. Mówiła, że nie powinnam głodować.

– Powinnaś odłożyć to na miejsce – nakazuje Welch. Odwracam się, by na nią spojrzeć. Chyba nie mówi poważnie.

– Przepraszam?

Wskazuje głową na krakersy.

– Jedzenie to jedzenie.

Nie wiem, co odpowiedzieć, lecz nie muszę.

– Nie, dzięki – prycha Reese. – Myślę, że je zatrzymamy. – Patrzy na mnie i czuję, że serce nie mieści mi się w klatce piersiowej. Więc tak to jest mieć ją po swojej stronie.

Welch na nas spogląda, po czym wzrusza ramionami. Nie ma tutaj nikogo, kto zobaczyłby, że daje za wygraną. W dodatku wciąż ma do nas słabość, jeśli tylko może sobie na nią pozwolić.

– Z Byatt wszystko będzie dobrze? – wyrzucam z siebie, kiedy ta jest już prawie na korytarzu. Mój głos brzmi, jakby miał się zaraz załamać, ale głupio byłoby się tym teraz przejmować. – Wróci niedługo na dół?

Welch przystaje. Nie odwraca się. Widać jedynie jej odcinającą się w ciemności sylwetkę. W końcu odchodzi bez słowa. Zostawia mnie w kuchni z rozmywającym się przed okiem obrazem. Pragnę teraz wyłącznie Reese, mimo że wciąż czuję wokół szyi jej dłonie.

– Założę się, że to nic takiego – oznajmiam, jak gdyby wypowiedzenie tego na głos nadało całej sytuacji więcej sensu.

– Prawda – mówi Reese.

Obserwuje mnie z górnego łóżka. Ja leżę płasko na plecach na swoim dolnym, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Myślałam, że będzie trzymać się z dala, tak jak to było od czasu, gdy dostałam się do Brygady Łodziowej, lecz podążyła za mną na piętro, jakby nigdy nic się nie stało.

Próbowałam zasnąć – obydwie próbowałyśmy – ale w połowie nocy westchnęłam, a Reese wychyliła się znad pryczy i na mnie spojrzała.

– Jestem pewna, że wszystko będzie dobrze.

Wiemy jednak, iż do ambulatorium zabierane są tylko dziewczyny w najgorszym stanie. Większość z nich już nie wraca.

Szczelniej owijam się kurtką.

– Martwię się.

– Wiem.

– Jest wszystkim, co mam.

Przez jedno uderzenie serca trwa cisza i zdaję sobie sprawę, jak to musi brzmieć dla Reese. Reese, która tutaj jest.

– Przepraszam – szepczę.

– W porządku.

Wiem, że powinnam jej teraz powiedzieć, że nie miałam tego na myśli. Prawda jest natomiast taka, że nie potrafię myśleć o Reese w ten sposób, bo ktoś taki jak ona, nigdy nie mógłby należeć do kogoś takiego jak ja, do kogokolwiek.

– Naprawdę – odzywa się Reese. – Z Byatt wszystko będzie dobrze.

– Nie możesz tego obiecać.

Marszczy brwi, po czym odwraca się z powrotem na swoje łóżko i już jej więcej nie widzę.

– Nie obiecuję.

– Okej – mruczę. Słyszę, jak się wierci, by znaleźć wygodną pozycję.

– Pamiętasz, kiedy poszliśmy do muzeum? – zaczyna powoli. – Tego w Portland.

Byatt i ja przywykłyśmy do wymieniania się historiami z przeszłości. Zaczęłyśmy to robić chwilę po Toxie. Reese zawsze siedziała na górze, nigdy nic nie mówiąc, tylko słuchając. To znaczy, teraz mam pewność, że słuchała.

– Ach, tak – potwierdzam. – Pamiętam.

– Nigdy wcześniej nie byłam w Portland.

– Ty nigdy nigdzie nie byłaś. – Śmieję się.

– Poszliśmy na lunch do tej jadłodajni z nalewakiem z napojami gazowanymi – opowiada dalej. – Mieszałyśmy je wszystkie w jednym kubku.

– To była zabawna wycieczka – przyznaję.

– Najbardziej podobało mi się, gdy zasłabłaś w planetarium.

Niemal to samo powiedziałyby Byatt. Reese próbuje, lecz nie potrafi dobrze tego oddać, ponieważ nikt nie jest Byatt poza Byatt, nawet dziewczyna z tych wspomnień. Jest w niej coś, po co nikt nie jest w stanie sięgnąć, ani ja, ani Reese, ani ktokolwiek inny. Wyłącznie ona. Nie jestem do końca pewna, co to jest, ale wiem, że się tam znajduje, i że odchodząc, zabiera to ze sobą.

ROZDZIAŁ 6

Nie chcę, żeby nastął poranek, ale przybywa mimo wszystko. Surowy i jasny. Słońce wychodzi zza chmur. Wbijam głowę w poduszkę, bojąc się widoku pustego miejsca, gdzie powinna leżeć Byatt.

Górne łóżko skrzypi, po czym słyszę, jak Reese szepcze moje imię. Przewracam się na bok i powoli otwieram oko, podczas gdy drugie, ślepe, pulsuje boleśnie, jak zwykle, kiedy wstaję. Widzę ją, spogląda na mnie znad krawędzi swojego łóżka. Włosy wychodzą jej z warkocza, cienkie, złociste kosmyki wpadają do oczu. Dostrzegam też mały, okrągły nosek oraz niskie, rozpromienione kości policzkowe.

– Hej – zagaduje. Czuję suchość w gardle. Obserwowała mnie? – Wiesz, że chrapiesz?

Ach. Przełykam ślinę, niemal czując gorzki smak rozczarowania.

– Nie chrapię.

– A właśnie, że tak. Gwiżdżesz cicho. – Przechyla głowę. – Jak ptak albo czajnik.

Czuję, że gorąco mi w policzki i szczelnie zamykam oczy.

– To naprawdę miłe. Lubię, kiedy ktoś znęca się nade mną od samego rana.

Śmieje się i podnoszę wzrok w samą porę, by to zobaczyć. Jej włosy są pełne blasku, głowę odrzuca do tyłu, za to gardło wystawia na światło słoneczne. Jest dzisiaj w dobrym humorze. Nie potrafię zrozumieć dlaczego. Nie pamięta, co przytrafiło się Byatt? Nie obchodzi jej to?

Może jej nie, lecz mnie tak. Nie zamierzam odpuścić, dopóki się nie upewnię, że z Byatt wszystko w porządku.

– Gdzie idziesz? – pyta Reese, gdy wstaję.

– Do ambulatorium. – Pochylam się, żeby zawiązać buty. Śpimy w nich, aby chronić stopy przed przejmującym zimnem, jednak zawsze luzuję sznurówki przed zaśnięciem.

– Chcę odwiedzić Byatt. Idziesz ze mną?

– Nie – odpowiada Reese, opierając podbródek na krawędzi łóżka. – Zwłaszcza że dyrektorka nigdy cię tam nie wpuści.

Możliwe, ale należę teraz do Brygady Łodziowej i na dowód tego noszę nóż przy pasie. Jeżeli da się zrobić wyjątek, to dyrektorka go dla mnie uczyni.

– Jest moją najlepszą przyjaciółką – oznajmiam. – Warto spróbować.

Reese milczy przez chwilę. Kiedy spoglądam w górę, widzę, że mnie obserwuje z wyrazem twarzy, którego nie potrafię rozszyfrować. To nie gniew – jestem z nim już zbyt dobrze zaznajomiona. To coś złejszego.

– Nie wiem, Hetty – dodaje. – To między tobą a Byatt, to na pewno jest przyjaźń?

Zastanawiałam się nad tym. Pewnie, że się zastanawiałam. Kocham Byatt bardziej niż kogokolwiek, bardziej niż życie, które prowadziłam przed Raxter. Natomiast znam ciepło w swoim sercu, które się pojawia, gdy na nią patrzę. Płonie gładko i miarowo, bez żadnych iskier.

– Tak – mówię. – Ona jest dla mnie jak siostra. Jest częścią mnie.

Reese marszczy brwi i siada, spuszczać nogi z łóżka.

– Słuchaj, wiem, że to nie moja sprawa, ale...

– Najwyraźniej mimo wszystko czujesz potrzebę skomentowania tego.

– Ponieważ tu chodzi także o mnie – informuje, zaskakując mnie swoim kąśliwym tonem i warknięciem. – Lubię Byatt, okej? Jednak nie chcę, abyś była ze mną w taki sam sposób, w jaki jesteś z nią.

– Nie chcesz, byśmy były przyjaciółkami?

Reese wzdycha, jakbym powiedziała coś nie tak, jakby było coś więcej, co powinnam była zrozumieć.

– Nie – zaznacza wyraźnie. – Nie chcę.

Nie potrafię udawać, że nie wprawia mnie to w zakłopotanie.

– Cóż, to... – zaczynam, lecz nie wiem, co dalej powiedzieć, bo nie jestem aż tak zaskoczona, jakbym chciała. – Okej – kończę, kierując się do drzwi. Słyszę Reese, mówiącą moje imię, ale nie słucham, tylko szarpnięciem za klamkę i wychodzę pośpiesznie na korytarz.

Nie powinno mnie to obchodzić. Mam Byatt na głowie, a poza tym

spisałam Reese na straty lata temu. Jest zbyt zamknięta w sobie, zbyt zimna. Trzyma się ze mną wyłącznie dlatego, że nie ma nikogo innego.

Korytarz wychodzi na mezanino na drugim piętrze, gdzie docierają mnie zaspane jeszcze głosy dziewczyn zebranych w głównym holu. Kilka z nich po śniadaniu wróci do łóżek. Czasami to wszystko, co mają do roboty.

Po drugiej stronie półpiętra znajduje się wejście na schody do ambulatorium. Właśnie gdzieś tam jest Byatt. Zastanawiam się, czy uda mi się odblokować zamek końcówką noża, kiedy nagle drzwi się otwierają i staje w nich dyrektorka, po czym schodzi po ostatnich skrzypiących stopniach.

– Przepraszam! – wołam w pośpiechu.

Kobieta zerka znad podkładki, którą niesie. Gdy tylko mnie zauważy, zamyka za sobą drzwi.

– Czy z Byatt wszystko w porządku? Dobrze się czuje?

– Myślę, że mogłabyś zacząć tę rozmowę w inny sposób – informuje dyrektorka. Jest ubrana tak samo jak zwykle, w luźne spodnie i koszulę. Jej solidne buty trekkingowe są jedynym znakiem tego, co stało się w szkole. Z kieszeni spodni wystaje końcówka zakrwawionej chusteczki do nosa, tej, której używa, kiedy wrzody pękają jej na języku. – Na przykład słowami „dzień dobry”.

Zatrzymuję się i biorę głęboki wdech, powstrzymując chęć, by przepchnąć się obok niej.

– Dzień dobry, pani dyrektor.

– I dzień dobry, Hetty. – Uśmiecha się promiennie. – Jak się dziś miewasz?

Tortury, dokładnie tak to można opisać.

– Nieźle – cedzę przez zaciśnięte zęby, na co dyrektorka unosi brew. – Dobrze. Przepraszam. Dobrze, dziękuję.

– Bardzo mnie to cieszy. – Spogląda na swoją podkładkę i gdy zdaje sobie sprawę z tego, że nie odchodzę, odchrząkuje. – Mogę ci w czymś pomóc?

– Byatt jest na górze – mówię tak, jakby nie wiedziała. – Mogę pójść się

z nią zobaczyć?

– Obawiam się, że nie, panno Chapin.

– Nie wejdę nawet do pokoju – błagam ją. – Porozmawiam z nią przez drzwi czy coś. – Nie przeszkadza mi to, że jej nie zobaczę. Muszę tylko wiedzieć, czy wszystko z nią w porządku, czy wciąż tam jest.

Dyrektorka jednak kręci głową, obdarzając mnie tym specyficznym uśmiechem, który dorośli zawsze trzymają w zanadrzu, kiedy chcą przekazać, że im przykro w sposób, jakiego jeszcze nie rozumiesz.

– Może zejdziesz na śniadanie?

To niesprawiedliwe. To mój dom tak samo jak jej. Powinnam móc chodzić tam, gdzie chcę.

– To zajmie raptem chwilę – nalegam.

– Znasz zasady. – Zamyka drzwi na schody do ambulatorium jednym z kluczy, które zawsze zwisają u jej pasa. Zaciskam pięści, żeby powstrzymać się przed wyrwaniem jej go z ręki. Dlaczego ma to jakieś znaczenie? Wszystkie jesteśmy chore. Odwiedzenie Byatt nie sprawi, że stan któregoś z nas się pogorszy.

– Przykro mi, wiem, że martwisz się o przyjaciółkę.

Przyjaciółkę. Moją siostrę, jak powiedziałam Reese. Powinnam nazwać ją sensem mojego życia.

– Tak – potwierdzam. – Tak właśnie jest.

To jasne, że dyrektorka nie zmieni zdania. Chcę się już odwrócić i odejść, by zastanowić się nad jakimś innym planem, wtedy przykładła tył dłoni do mojego czoła tak, jak to robiła moja mama, aby sprawdzić, czy nie mam gorączki. Chwieję się, zaskoczona. Kobieta wydaje pomruk niezadowolenia i znów kładzie mi dłoń na czole.

– Jak się czujesz? – pyta. – Nie wydaje się, żebyś miała podwyższoną temperaturę.

Mija jakaś minuta, zanim sobie przypominam. Nawiązuje do mojego powrotu z wyprawy Brygady Łódzkiej. To było zaledwie przedwczoraj, ale odnoszę wrażenie, jakby miało miejsce wieki temu.

– Czuję się dobrze – tłumaczę nieco skrępowana, lekko się odsuwając. Dyrektorka zwykle nie lubi po sobie pokazywać, że się martwi.

Przed Toxem wyglądało to inaczej. Pamiętam, gdy pierwszy raz ją spotkałam. Byłam bardzo zestresowana samotną podróżą z Norfolk. Miałam trzynaście lat i tęskniłam za mamą, a kiedy dyrektorka zobaczyła, jak zaczynam płakać podczas oprowadzania po szkole, powiedziała mi, że jej drzwi są zawsze otwarte, jeżeli kiedykolwiek będę potrzebowała z kimś porozmawiać albo chociaż trochę odpocząć od innych dziewczyn.

– Cóż... – Dyrektorka ciągnie za nitkę wystającą z kołnierzyka mojej kurtki. – Cieszę się, słysząc, że czujesz się lepiej. Jestem pewna, że twoja przyjaciółka, panienska Winsor, podąży za twoim przykładem. Tymczasem ma szczęście, że jej szukasz.

Przeszyło mnie to niczym strzała.

– Szukam jej? – To zabrzmiało tak, jakby jej tu nie było, jakby zniknęła. Dobrze słyszałam, co powiedziała. Na moment jej twarz zamiera, po czym uśmiecha się, próbując to ukryć.

– Że się o nią troszczysz – poprawia się. – A teraz może zejdziesz na śniadanie? Musisz być głodna.

Zostaję tam na tyle długo, aby zobaczyć, że jej knykcie robią się białe w miejscach, gdzie trzyma podkładkę. Cofam się, uśmiechając do niej najlepiej, jak potrafię, a następnie ruszam do głównego holu. Stoją tam pozostałe dziewczyny, zbite w grupki. Biorą małe gryzy spleśniałego chleba i odrywają kawałki zwietrzałych krakersów.

Nagle to do mnie dociera. Wszystko, co się stało, wszystko, co widziałam, oraz tajemnice, których nie zdradzam. Reszta racjonuje jedzenie i głodzi się podczas śniadania, z kolei ja mam w dłoniach to, czego potrzebują.

Nie mogę tego zrobić. Nie teraz.

Toruję sobie drogę pomiędzy nimi do podwójnych frontowych drzwi, a potem wychodzę na zewnątrz. Moja kurtka jest zbyt cienka, żeby ochronić mnie przed zimnem, ale jest tutaj lepiej niż w głównym holu. Tu przynajmniej nikt nie przypomina mi o tym, co zrobiłam.

Resztę dnia spędzam na zewnątrz, nad wodą, gdzie leżą wyblakłe oraz

wygładzone kamienie. Liczę palce, w których powoli tracę czucie, i pozwalam słabemu słońcu rozlać się po mojej zdrętwiałej skórze. Gdy wracam na noc do mojego pokoju, Reese już tam jest, rozłożona na swoim łóżku. Śpi albo udaje. Dystans między nami robi się zbyt znajomy, lecz przynajmniej tym razem mnie nie unika. Przynajmniej tym razem tutaj jest.

Nie mam pewności, czy Byatt kiedykolwiek wróci. I nie mogę tego dłużej znieść.

Czekam, aż księżyc zalśni wysoko na niebie. Mój materac trzeszczy, kiedy wstaję z łóżka. Wstrzymuję oddech i zwlekam, aby się upewnić, że Reese nic nie słyszała, ale ona nie daje znaku życia. Zmierzam w kierunku drzwi. Gdy wychodzę na korytarz, dziewczyna dalej leży nieruchomo, a jej włosy jarzą się w ciemnościach.

Jest pusto. Ciszę zakłócają jedynie docierające z innych pokoi urywki rozmów. Najmłodsze dziewczyny szepczą między sobą, skądś słychać śmiech, natomiast gdzieś indziej panuje spokój. Żadna nic nie słyszy, kiedy krok po kroczeniu przemieszczam się, by przykucnąć w miejscu, w którym korytarz wychodzi na mezanino.

Widzę drzwi prowadzące na schody do ambulatorium, jak zawsze szczelnie zamknięte. Nie przejdę przez nie bez klucza. Zatem najlepsza dla mnie droga do niego prowadzi przez dach. Mieści się on pomiędzy drugim piętrem a tarasem i z każdej jego strony wychodzą okna z lukarnami. Jeśli się tam dostanę, mogę zakraść się od drugiej strony, po czym wspiąć się do okna, w którym nie spotkam Brygady Ogniowej ani dyrektorki. Liczę do dziesięciu. Uważnie stawiam kroki tak, żeby nie skrzypiały deski. Przed Raxter nie miałam nic przeciwko ciemności. Tak naprawdę jej nie znałam, nie w bazie nieustannie omiatanej blaskiem reflektorów. Tutaj wydaje się inna, w pewnym sensie żywa.

Ciaśniej owijam się kurtką. Ruszam przez otwarte półpiętro prosto w paszczę północnego skrzydła. Gdy przemierzam korytarz, nikogo nie spotykam. Są tu tylko puste pomieszczenia. Dokumenty już dawno zostały spalone. Puste ramy łóżek stoją w sypialniach nauczycieli. Krzesła rozbite na podpałkę. Na końcu znajdują się drzwi do pokoju Brygady Ogniowej, na których wciąż wisi protokół przyjęć. Przez otwarte okno wlewa się zimny powiew. To moja droga wyjścia.

Podciągam się z łatwością, w Brygadzie Ogniowej robiłam to codziennie. Jest dziwnie bez Byatt, która zawsze deptała mi po piętach, ale już po chwili jestem na krawędzi dachu i czuję pod rękami mokre od stopniałego śniegu dachówki. Nad sobą widzę sylwetki dwóch dziewczyn z wycelowaną bronią. Patrzą daleko przed siebie, na las, rozmawiając ze sobą szeptem. Dobrze. Nie zauważą mnie tak długo, jak będę cicho.

Czołgam się przed siebie w kierunku najbliższej lukarny. Widzę przez nie jeden z pokoi w ambulatorium, a w nim stojące w cieniu proste łóżko, goły materac oraz zamknięte drzwi na korytarz. Nie ma Byatt ani dyrektorki. Wsuwam rękę pod ramę okienną i zaczynam ją podważać. Po półtora roku bez konserwacji drewno jest wypaczone. Co kilka prób muszę robić przerwę, aby się upewnić, że dziewczyny z Brygady Ogniowej mnie nie słyszały. Stopy ślizgają się po poszarpanych dachówkach, a pode mną noc pożera ziemię. Nie spoglądam w dół. Jeden, dwa, trzy, okno drga, otwierając się może na stopę. Nie wchodzę do środka. Czekam, przycupnięta na parapecie, i patrzę, jak świeca dyrektorki wypełnia światłem wąską przerwę pod drzwiami, po czym znika. Słysząc jej kroki na schodach, kiedy idzie na drugie piętro. Później nastaje cisza.

Wsuwam głowę, potem resztę ciała, prostuję się i staję na nogach. Na trzecim piętrze mieści się sześć pokoi – trzy z przodu oraz trzy z tyłu. Znajduję się w tym najbliższej schodów. Do sprawdzenia mam jeszcze pięć, zanim ktoś mnie przyłapie. Podchodzę do drzwi i sprawdzam klamkę. Są otwarte. Od zewnętrznej strony umieszczono rygle, pamiętające pierwsze dni powstania tego budynku. Używamy ich znowu, odkąd zachorowałyśmy. Nikogo tutaj nie ma, więc dyrektorka prawdopodobnie nie zawracała sobie głowy zamykaniem ich na klucz. Pcham je obiema rękami.

Wychodzę na wąski korytarz, zatrzymuję się i nasłuchuję. Tak stare mury nigdy nie są całkiem ciche, zwłaszcza po tym, jak wszystko się pozmieniało, ale nie słyszę ani dyrektorki, ani Welch. Nie słyszę też Byatt, jednak tłumaczę to sobie tym, że po prostu śpi.

Wypróbuję drzwi naprzeciwko. Również otwarte, a pokój pusty tak samo, jak poprzedni.

W porządku. Zostały mi cztery pomieszczenia. Może być jeszcze w czterech miejscach.

Niestety trzeci i czwarty także okazuje się wolny. Gdy docieram do ostatniego, ciężko oddycham. Słyszę w uszach dudnienie własnego serca. Nie ma jej, nie ma jej...

Szóste drzwi. Otwieram je na oścież. Puste łóżko, materac leży krzywo, zanurzony w blasku księżyca. Na porysowanej podłodze dostrzegam igłę i nić. Należały do Byatt. Zawsze nosiła je w kieszeni, używała ich, by mnie zszywać.

Nie ma jej.

Ogarnia mnie przerażenie oraz przenikliwy chłód, lecz odpycham je od siebie. Coś się wydarzyło, ale cokolwiek to było, przeszła przez to tak, jak przez wszystko. Na pewno gdzieś jest, żywa. Powinnam sprawdzić gabinety na drugim piętrze, każdą klasę i, cholera, może też spizarnię, tak dla...

Słysząc coś ze schodów. Ktoś nadchodzi.

Nieruchomieję, a następnie podnoszę igłę i nitkę, i biegnę do pierwszego pokoju. Otwarte okno wciąż czeka, wpada przez nie chłodne powietrze. Nie mam czasu, nie dam rady się wspiąć, nie robiąc hałasu. Widać światło świeczki dyrektorki, jest już coraz bliżej, tutaj. Zatrzymuje się przed drzwiami do tego pomieszczenia.

Nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Jeżeli kobieta tu wejdzie, jeżeli mnie złapie, to nie wiem, co zrobi.

I wtedy dociera do mnie coś, czego nie słyszałam od półtora roku, od kiedy odszedł pan Harker. Wylapuję trzeszczenie, które po chwili się klaruje, zmienia w znajomy syk krótkofalówki, a potem pojawia się głos. Męski głos. To tak, jakby przez żyły przepłynęła mi lodowata woda, wywołując dreszcz na całym ciele.

– Wzywam Raxter, odbiór.

Słysząc sygnał dźwiękowy i coś nagle przerywa.

– Tu Raxter, odbiór.

Podskakuję zaskoczona, ledwo unikając uderzenia głową o framugę okna. To Welch, a nie dyrektorka, jak pierwotnie zakładałam. Nie przychodzi tu za często, jeśli w ogóle.

– Proszę o raport na temat stanu – przemawia mężczyzna. – Odbiór.

To musi być ktoś z bazy na plaży – marynarka albo CDC. Są jedynymi ludźmi na świecie, którzy wiedzą, co tu się dzieje. Nawet nasi rodzice nie znają całej prawdy. Powiedziano im, że powodem kwarantanny jest, jak to nazwali, influenza⁴. Ciekawi mnie, czy się domyślają, że to kłamstwo.

– Wszystko dobrze – relacjonuje Welch. – Czy zastępstwo dotarło bezpiecznie? Odbiór.

Cisza, po czym znów słycać mężczyznę:

– Potwierdzam. Odbiór.

Zastępstwo? Za co? Nic nie opuszcza wyspy, nawet nasze ciała. Gdy któraś z nas umiera, palimy ją na popiół, tak daleko od domu oraz ogrodu, jak tylko damy radę. Wypalony kwadrat ziemi, zapach nie do zniesienia, kości i uczucia zakopane pod kamiennymi kopcami.

– Jest coś jeszcze – dodaje niechętnie Welch. – Musimy umówić się na transakcję. Odbiór.

Pierwsze, co przychodzi mi na myśl, to dostawa, ale przecież była niedawno. Musi mieć na myśli coś innego.

Przez długi czas nie pada żadna odpowiedź. Welch zaczyna krążyć, a ja śledzę jej ruchy, obserwując przesuwające się pod drzwiami światło. Wmawiam sobie, że tutaj nie wejdzie. Jestem bezpieczna, jestem bezpieczna, jestem bezpieczna.

Wreszcie jej krótkofalówka wraca do życia.

– Jutro, o tej porze – informuje mężczyzna. – Zostaw ją w domu Harkera. Odbiór.

Ją. Nie jej ciało, lecz ją – Byatt. To musi być ona. Rozmawiają o niej, jakby wciąż żyła. Czuję promieniującą od serca falę ulgi. Ale skoro nie ma jej tutaj, to gdzie Welch ją przetrzymuje i dlaczego?

Kobieta przestaje krążyć.

– Potwierdzam. Odbiór.

– Bez odbioru.

Robi się cicho. Chwilę później światło pod drzwiami zanika i słyszę kroki idącej dalej wzdłuż korytarza Welch. Z łatwością przechodzę przez okno, a potem zamykam je za sobą. Powoli, cal za cal, przesuwam się na czworakach po dachu. Dziewczyny z Brygady Ogniowej wciąż mają

utkwiony wzrok w lesie, więc nie widzą, kiedy opuszczam się i wślizguję przez okno na drugim piętrze.

Przekradam się korytarzem przez mezanino. Sprawdzam, jak wysoko jest księżyc, i notuję to sobie w myślach. *Jutro, o tej porze*, tak powiedział mężczyzna przez krótkofalówkę. Wracam do swojego pokoju. Do Reese, która siedzi i na mnie czeka, bo oczywiście słyszała, gdy wychodziłam.

– Coś się stało – szepczę. – Nie ma jej w ambulatorium.

Reese marszczy brwi i dostrzegam malujące się na jej twarzy niedowierzenie.

– O czym ty mówisz?

– Słyszałam mężczyznę przez krótkofalówkę – wyjaśniam, nie mogąc złapać powietrza. Spieszę się, aby to z siebie wyrzucić.

– Zwolnij. Zaczynaj od początku.

Opowiadam jej wszystko. O pustych pokojach oraz igle i nitce. O Welch, krótkofalówce, a także wydobywającym się z niej męskim głosem. O ich planie, by zaprowadzić Byatt do domu pana Harkera.

– Nie wiem, gdzie jeszcze Welch mogła ją ukryć – kończę, opierając się o drabinę. Czuję, jak drżą mi mięśnie. – Musi ją gdzieś trzymać, skoro wychodzą dopiero jutro.

Sale lekcyjne na parterze nie są wystarczająco odosobnione, zaś na terenie szkoły nie ma żadnych budynków poza stodołą. Była stara szopa, ale rozebrałyśmy ją na opał.

– Co o tym sądzisz? – pytam, spoglądając na Reese.

Z początku nic nie mówi, a światło jej włosów ukazuje mi jej szeroko otwarte oczy. Jednak po chwili wydobywa się z niej drżący szepc.

– Mój dom – przemawia. Ma dziwacznie wykrzywioną minę, jakby powstrzymywała się od śmiechu. Albo od płaczu. – Jesteś pewna, że powiedział o moim domu?

Oczywiście, że to najbardziej przykuło uwagę Reese. Chyba nie mogę jej całkiem za to winić.

– Jestem pewna – ciągnę. – Na pewno, Reese, musimy odnaleźć Byatt. Wciąż gdzieś tu jest.

– Z pewnością – odpowiada. Jej słowa są lekkie i łagodne, towarzyszy im

rozważny, pusty wyraz twarzy. To znaczy, że coś ukrywa.

– Ale? – naciskam. – Byatt jest gdzieś tutaj, ale? – Powinnam się tego spodziewać, lecz mimo to zaskakuje mnie jej odpowiedź.

– Jest żywa czy martwa?

Ogarnia mnie nagły gniew, intensywny i wstrząsający, ponieważ odgarniam od siebie tę myśl, odkąd opuściłam ambulatorium. Nie mogła mi tego darować?

– Co to w ogóle za pytanie?

– Bardzo ważne – syczy. – Nie jesteś idiotką, Hetty. Wiesz, co zazwyczaj spotyka dziewczyny takie jak my.

– Nic takiego na ogół się nie zdarza. – Biorę głęboki oddech. Zaciskam pięści. Nie mogę pozwolić, żeby ta myśl do mnie dotarła. Ona żyje, ona żyje, ona żyje. – Dziewczyny z reguły nie znikają w ten sposób. To musi coś znaczyć.

– Tak. – Wzdycha Reese. – Myślę, że to znaczy, że ona już nie żyje.

Odsuwam się od łóżka, ignorując narastający atak paniki. Reese się myli, natomiast z Byatt jest wszystko dobrze.

– Więc dlaczego jej nie spaliliśmy? Ona żyje. Muszę ją znaleźć. I tak właśnie zrobię.

– I co potem? Nie możemy jej pomóc.

Oczywiście ma rację. Jednak to bez znaczenia.

– Możemy przejść przez to razem z nią – kontynuuję. – Tylko to nam pozostało. Nie odpuszczę. Fakt, nie wiem, gdzie w tej chwili jest, ale wiem, gdzie będzie jutro w nocy. Pójdę tam po nią.

– Nie możesz tego zrobić. – Głos Reese staje się cichy i natarczywy. Pochyla się bliżej. – Wiesz, że nie możesz. To złamanie kwarantanny.

– I co z tego? – odpowiadam. – Jestem w Brygadzie Łodziowej, mogę wychodzić poza ogrodzenie.

Wywraca oczami.

– Sądzę, że mieli na myśli wychodzenie po dostawę, a nie przekradanie się po przyjaciółkę.

Lekceważę to. Zawsze nam mówili, że kwarantanna jest najważniejsza, lecz jeżeli mam wybierać pomiędzy tym a Byatt, to nie jest to żaden wybór.

– Nawet jeśli tam pójdziesz – mówi dalej Reese – jak pokonasz ogrodzenie? – Chwyta srebrnymi palcami za koniec swojego warkocza. Jej rozdwojone końcówki zaczęły się strzępić. – Brama jest zamykana na klucz i...

– Przejdę przez płot – przerywam stanowczo. – Jakoś sobie z tym poradzę. Nie martwi mnie to.

– Jestem... – zaczyna, ale patrzy na mnie niepewnie z otwartymi ustami i wtedy pojawia się to. Coś, co zapiera mi dech w piersiach, co próbowałam ignorować od czasu naszego pierwszego spotkania.

– Chodź ze mną – rzucam. – Pójdziemy razem.

To magia. W jednej sekundzie jesteśmy w tym razem. Jej głowa pochyla się blisko mojej, po czym wraca do tej postawy, którą tak dobrze znam. Skrzyżowane ramiona, zaciśnięta szczęka, oczy pozbawione emocji.

– Nie – odpowiada. – Ty rób, co chcesz, ale ja z tobą nie idę.

Już wiem, że nie odpuszczę. To zbyt ważne.

– Dlaczego?

Wydaje pełen rozdrażnienia dźwięk.

– Hetty...

Wyczerpuje mi się cała cierpliwość. Zaciskam dłonie na krawędzi łóżka tak mocno, że czuję wbijającą mi się głęboko w dłoń drzazgę.

– Co jest z tobą nie tak? – warczę. – Byatt to nasza przyjaciółka. Nie chcesz jej dobra?

– Chcenie nie ma tu nic do rzeczy – stwierdza, lecz powoduje tym tylko tyle, że słowa zaczynają się ze mnie wylewać głośniejsze, niż powinny, i z większą złością, niż się spodziewałam.

– Wiem, że nic cię to nie obchodzi – wtrącam, doprawiając każdą sylabę goryczą. – Wiem, że czyni cię to lepszą ode mnie, ale nie potrafię po prostu skreślić całego świata tak, jak ty to robisz.

– Nie obchodzi mnie to? Czy ty... – Nagle przerywa, jakby to ją zabolalo. Przez chwilę widzę wszystko wypisane na jej twarzy. Tęsknotę, rezygnację, zdradę i ból obserwowania, jak wyspa, którą kocha, zabiera ludzi, którzy na pozór są jej obojętni.

– Ach – mruczę. Mój głos jest tak ciężki, że utyka mi w gardle. Od kiedy

ją spotkałam, każdego dnia wmawiałam sobie nieprawdę, powtarzając w kółko i w kółko, że jest zimna, podczas gdy ona płonie.

– Przepraszam, Jezu, Reese, przepraszam.

Stała się taka po stracie obojga rodziców. Jest wrakiem, jaki za sobą zostawili. Powinnam to dostrzec. Powinnam zauważyć, że kocha tak samo jak ja. Wydaje mi się, że po prostu dobija ją to, co mnie motywuje.

– Chciałabym – mówi, nie patrząc mi w oczy. – Chciałabym być taka jak ty. Ale nie mogę po nią wyjść, jeżeli nie potrafiłam wyjść po niego. Myślałam, że Brygada Łódziowa to jedyny sposób, żeby wyjść za ogrodzenie, tymczasem ty jesteś gotowa rozerwać je własnymi rękami. – Wypuszcza drżący oddech, po czym dodaje cicho: – Dlaczego nie byłam w stanie zrobić tego samego dla swojego taty?

Ten jeden raz wydaje mi się, że wiem, co powiedzieć. To samo, co ludzie mówili mnie, kiedy wysyłali gdzieś moją tatę, a ja byłam jeszcze mała.

– Jesteś jego córką – oznajmiam. – To nie ty powinnaś go chronić.

Nic nie mówi. Wciąż jednak słucha.

– Byatt to jedna z nas. – Obserwuję twarz Reese i tu ją mam. Wiem, że tak. – Naszą powinnością jest jej pomóc. Ona by to zrobiła, gdyby role były odwrotne. – Biorę głęboki wdech. – Tak jak ja zrobiłabym to dla ciebie.

Na jej twarzy pojawia się przeblysłask zaskoczenia, który budzi we mnie iskierkę wstydu. Naprawdę nie zdawała sobie z tego sprawy?

Wtedy wyciąga rękę i czuję, że coś łapie mnie za serce, gdy jej dłoń muska moją.

– Dobrze – przytakuje. – Okej.

Dziś nie zostało już nic do zrobienia, więc adrenalina zaczyna wyciekać, pozostawiając mnie w takim stanie, że mogłabym w każdym momencie paść na kolana. Uśmiecham się do niej i nurkuję do łóżka.

Leżę na plecach i, jak zwykle, zostawiam obok siebie miejsce dla Byatt. Nad sobą słyszę, że Reese ściąga kurtkę, aby użyć jej zamiast koca. Jest zbyt cicho oraz tak samo spokojnie, jak było z nią. Nagle bardziej niż czegokolwiek chcę zapaść się pod ziemię, byśmy nie musiały nasłuchiwać jedna drugiej, udając, że śpimy.

– Hej – odzywa się niespodziewanie Reese. – To nie był mój tata,

prawda? Przez krótkofalówkę?

– Em. – Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Nieważne. – W jej opryskliwym głosie pobrzmiewa wstyd i wyobrażam sobie, jak kręci głową. – Po prostu... myślałam, że jeżeli któreś z moich rodziców wróci, będzie to on.

Słyszę szelest i skrzypienie drewnianych żeber naszego łóżka, gdy układa się wygodnie, kończąc rozmowę. Zaskoczyło mnie to, że w ogóle ją zaczęła.

Zmieniła się, od kiedy nie ma z nami Byatt. A może obie się zmieniłyśmy. Zaciskam pięści, próbując dodać sobie odwagi. Zastanawiałam się nad tym, odkąd ją poznałam. Wiem jednak, że jeśli Reese nie chce rozmawiać, to nic jej do tego nie przekona.

– Nie musisz mi mówić – zaczynam. Mój głos drży, lecz kontynuuję. – Reese, gdzie jest twoja mama?

Nie widzę jej, więc zamiast tego obserwuję smugi światła, jakie jej warkocz rzuca na sufit, śledzę ich delikatny, rozmazany blask.

– To skomplikowane – odpowiada w końcu. – Albo przynajmniej chciałabym, aby takie było.

– Nie rozumiem.

– Ostatnio słyszałam, że nadal jest w Maine. Chyba w Portland.

– Co? – To zaledwie dwieście mil stąd. Zawsze myślałam, że wysłano ją daleko, a nawet, że Reese nie wie dokąd.

– Tak – potwierdza. Nie wydaje się smutna czy zdenerwowana. Ani nic z tych rzeczy. – Nie chciała zostawiać Maine. Woląla zostawić mnie.

Nie wiem, co mogłoby złagodzić taki ból. Chociaż ze mną rozmawia. A to już coś.

– Przykro mi – szepczę. – Wiesz, że mogłaś mi powiedzieć o tym wcześniej.

– Niektóre myśli nie należą do innych – oświadcza zmęczona, jakby zasypiała. – Niektóre są po prostu moje.

Kolejny dowód na to, że jesteśmy ulepione z innej gliny. Reese jest zamknięta w sobie, a ja zawsze pragnęłam być częścią czegoś większego. Dopiero w Raxter znalazłam swoje miejsce. Zupełnie jakbym nie

wiedziała, kim jestem, dopóki Byatt mi tego nie uświadomiła.

Wiem, co powiedziałyby mi Reese. Stwierdziłyby, że to niezdrowe, że nie tak to powinno działać. Jednak każdego dnia rozpada się świat wokół nas, zatem czy naprawdę nie mamy poważniejszych problemów?

Nie. Reese to nie Byatt, ale ją lubię. Lubię w niej to, jak potrafi mówić, nie używając słów. Lubię w niej nawet to, że ona nie zawsze lubi mnie.

BYATT

ROZDZIAŁ 7

Staram się mrugać.

Mój język jest ocieężały, suchy i gorący... Pod powieki wkrada się srebrzysty obraz świata. Jestem... jestem, jestem...

Przytomna.

Ciepło przepływa przez moje ciało niczym prąd. Światło kłuje w oczy, mimo to dociera do mnie, że leżę w łóżku w jakimś pokoju. Nic mnie nie boli, ale od razu czuję każdy mięsień.

Pomieszczenie jest duże. Pierwotnie przeznaczone do innych celów. Linoleum na podłodze się łuszczy, wokół mnie wiszą częściowo zaciągnięte zasłony, a przez szparę dostrzegam umieszczoną pod kątem tablicę ogłoszeń oraz trzy inne łóżka, wszystkie puste. Sięgam, żeby odsunąć resztę kotary.

Nie mogę się ruszyć. Ręce mam przywiązane do dołu za nadgarstki. Przez skórę wbija się igła kroplówki.

Gdzieś otwierają się drzwi... Słyszę stłumione kroki... W miarę, jak się zbliżają, widzę także senny błękit kombinezonu. Ktoś się przeciska i porusza dłonią, aby nie przywarła do niej zasłona.

– Dobrze się czujesz? – pyta.

Mówi, że jest chłopakiem.

Ma na imię Dietrich.

Taki żart. Nie wie, dlaczego to powiedział.

Naprawdę nazywa się Teddy i ma dziewiętnaście lat. Jest tylko marynarzem, a to dopiero jego pierwszy dzień pracy. Przebywał w Camp Nash zaledwie tydzień, zanim go tu przysłali, i wciąż nie wie, dlaczego to zrobili, bo jego jedyna robota to przenoszenie sprzętu oraz wyglądanie przez okno. Przykro mu, że mówi chaotycznie, ale to dlatego, że nie wie,

o czym lekarze CDC opowiadają przez większość czasu. Medycyna jest dla niego pogmatwana i bardzo się denerwuje.

Patrzę uważnie, staram się zapamiętać, jak jest zbudowany. Ponad maseczką chirurgiczną widzę wyłącznie jego oczy, ponieważ resztę ciała skrywa kombinezon. Włosy ma brązowe, tak jak ja, skórę złocistą, lecz wypłowiałą, jakby z braku słońca.

Teddy zadaje mi pytania. Interesuje go, jaki mamy dziś dzień, pyta o datę moich urodzin, nazwisko i cenę mleka. Nie odpowiadam. Chcę, niestety mój język odmawia układania się w słowa.

– Włazł kotek na płótek i mruga – zaczyna. – Ładna to piosenka... No dalej, znasz to.

– Niedługa – szepczę. Nie jestem w stanie wydusić z siebie nic więcej... Nie mogę i, o Boże, zapomniałam... Zapomniałam, jaki to ból, jaki wstrząs! Żółć piecze mnie w gardle, czuję dreszcz w kościach... Trzęsę się i krzyczę, a jeśli nie przestanę, po prostu się rozpadnę i... Mokre oczy... Mój brzuch...

– Ciszej – uspokaja Teddy. – Proszę, bądź ciszej... To rani nas oboje.

Powtarza mi, że wszystko będzie dobrze. Przystawia mi kubek do warg. Przełykam, kropla za kroplą. Kiedy chłopak wychodzi, zamyka za sobą drzwi.

Jestem zupełnie sama, przytomna, w swoim własnym ciele. Nikogo nie ma w pobliżu, jedynie wentylator furkocze gdzieś za zasłoną. Szarpie się i zmagam, ale pasy na moich nadgarstkach nie puszczaają.

Myślę sobie, że przez całe życie byłam tylko problemem. Tymczasem właśnie tak pozbywa się problemów. Najpierw Raxter, a teraz tu. Od początku miałam tutaj trafić, bo jakżeby inaczej, no jak? Zbyt zdolna, zbyt znudzona. Czegoś mi brakuje albo może czegoś jest zbyt wiele.

To był pomysł mojej mamy. Tata jedynie skinął głową i wyszedł do innego pokoju. Reszta lata upłynęła w milczeniu, aż w końcu wsadzili mnie do samochodu w podróż do Raxter. *Tam nikt nie będzie wiedział, powtarzałam sobie. Nikt się nie domyśli, co robisz, gdy ci się nudzi. Co robisz wyłącznie dlatego, że możesz.*

Teddy wraca z początkiem dnia i obiecuje, że znajdzie rozwiązanie. Na razie bądź spokojna, prosi, lecz ja się tym nie przejmuję. Pamiętam ten ból. Wyciąga plik formularzy, uwalnia moje nadgarstki, przesuwa stojak na kroplówkę i pomaga mi zapisać odpowiedzi.

Byatt

Byatt Winsor

16, prawie 17 lat

14 stycznia

Brak alergii

Elizabeth i Christopher Winsor

Beacon Hill

Jaka ulica?

West Cedar

Numer domu?

6

– Robisz się niespokojna – stwierdza Teddy. – Nie denerwuj się.

Niemal zapomniałam, piszę.

– Ale pamiętasz.

Budzę się wcześniej, niż powinnam... Kroplówka wciąż jest pełna... Nie potrafię pozbyć się zamroczenia... Kiedy zamykam oczy, znów jestem w lesie... tamtej nocy... gdy tu przyjechałam.

Zmarznięte, zmoknięte irysy chrzęściły mi pod butami, a Welch mocno mnie trzymała.

– Tak będzie najlepiej – przekonywała. – Pomyśl o przyjaciółkach.

Jakbym dokonywała jakiegoś wyboru... Jednak tak nie było... Ja niczego

nie wybierałam i... Wyciągnęła mnie z ambulatorium, zmusiła do zejścia po schodach... Żadnej straży, nic... Gdzieś tam spała Hetty, zupełnie sama...

– Ona mnie potrzebuje – powiedziałam.

– Nie, musisz to zrobić właśnie dla niej – oznajmiła Welch.

Przez bramę między drzewa... Odgłosy z zarośli, oczy zwierząt płonące niczym pochodnie... Ciepły oddech Welch na moim uchu, a potem... Ludzie... Czekali...

Chwycili mnie, chociaż walczyłam... Uciekałam... Ukłucie w udo, mgła zasnuwająca mój umysł. Pochylająca się nade mną Welch.

– Tak mi przykro – powiedziała. Najgorsze było to, że w jej głosie pobrzmiwało szczere współczucie.

W pokoju pojawia się coś niebieskiego, dostrzegam to. Wyraźnie widzę twardą rzeczywistość oraz prawdziwy świat wokół mnie. Ledwie mam czas to zarejestrować, ledwie zdążam zauważyć, że moja kroplówka jest pusta, zanim zasłona się odsuwa i wciska się za nią coś niebieskiego. To osoba, kobieta, odziana w taki sam kombinezon, jaki nosi Teddy. Stoi w nogach mojego łóżka, trzymając wzorzystą szpitalną koszulę.

– Cześć – przemawia. Jej głos brzmi tak, jakby się uśmiechała. – Pora się przebrać.

Rozpina każdy krępujący mnie pas, a następnie podtrzymuje, gdy staję na nogach. Moje kończyny są słabe i drżące, dlatego pomaga mi się rozebrać. Jej silne paznokcie powoli radzą sobie z guzikami mojej bluzki oraz sznurówkami w butach. Przez moment dygoczę, stojąc w samej bieliźnie. Widzę, jak ona spogląda na moje plecy tam, gdzie spod skóry wyłania się dodatkowy fragment kości. Po chwili przez głowę opada mi koszula. Jestem zbyt słaba, by podnieść rękę i wsunąć je w rękawy. Ona musi zrobić to za mnie.

Jej kombinezon jest tak samo gruby jak Teddy’ego. Gumowy i sztywny. Muszą się obawiać tego, co mi dolega. Okrycie sięga jej jednak tylko do szyi, więc mam przed oczami pulsujące tętno kobiety. Liczę kolejne

uderzenia – jedno, drugie – to sprawia, że jest mi lepiej.

– Dobrze się w tym czujesz? – pyta, przypinając mnie z powrotem pasami. – Wygodnie?

Otwieram usta, ale zanim zdążę wypowiedzieć choćby słowo, czuję na wargach jej osłonięty rękawiczką palec.

– Na razie poprzestańmy na ruchach głowy. Teddy powiedział mi o twoich trudnościach z mówieniem. – Odchyła zasłonę nieco bardziej, ukazując zlew wpuszczony w blat przy ścianie. To nie wygląda do końca na szpital. Jest w tym coś smutnego i zwyczajnego. Jak kuchnia w pokoju na tyłach kościoła lub pokój wypoczynkowy w biurówcu.

Kobieta napełnia wodą plastikowy kubek i trzyma go przy moich ustach, aż biorę łyk.

– Dostarczymy ci coś do pisania – dodaje. – W międzyczasie najlepiej, żebyś odpoczywała. Dużo przeszłaś.

Piję, aż kubek jest pusty. Kobieta wyrzuca go do stojącego obok łóżka kosza na śmieci i przysuwa się bliżej.

– Jestem doktor Paretta – informuje, pochylając się nad moją prawą ręką. – Mogę nazywać cię Byatt? Czy wolałabyś inaczej? Może jakaś ksywka?

Potrząsam głową.

– A zatem Byatt. Dobrze, możesz teraz poczuć szczypanie.

Nie widzę dokładnie, co robi. Jej skafander jest zbyt pofałdowany. Natomiast kiedy odchodzi, w jej ręce dostrzegam fiolkę z krwią. Podnosi ją do światła. Mruży oczy, jakby mogła stwierdzić, co się dzieje w środku, a potem wyciąga spod łóżka małą, czerwona chłodziarkę i stawia naczynie w środku, obok innego. Wydaje mi się, że na etykietce napisano „Możliwy RAX”, lecz zamyka drzwiczki, nim zdążam dokładnie przeczytać.

– Jeszcze jedno, zanim zapomnę, później będziesz mogła iść spać. – Bierze moją dłoń między swoje, zgina mi palce i nadgarstek tak, że wyczuwam boczną ramę łóżka. Znajduje się tam okrągły wystający przycisk.

– To jest twój guzik alarmowy. W razie gdyby ból stał się nie do zniesienia albo jeśli byś czegoś potrzebowała. Wyczuwasz go?

Kiwam głową. Patrzy na mnie, po czym ponownie się prostuje. Czeka jeszcze sekundę lub dwie.

– Pamiętasz, jak mam na imię?

Otwieram usta.

– Paretta.

Chcę to powiedzieć, cokolwiek, byle tylko odzyskać swój głos. Nie sądziłam, że to będzie boleć. Jedno słowo nie może przysporzyć takiego cierpienia. Ale jednak. Jakby coś próbowało mi wyrwać kręgosłup przez gardło.

– Dobrze – mówi Paretta. Wygląda, jakby brakło jej tchu. – Nie będziemy tego powtarzać.

ROZDZIAŁ 8

Budzę się, dotąd byłam nieprzytomna. Leżę płasko na plecach, świat kręci się dookoła, kiedy cztery postacie w kombinezonach wiozą mnie na wózku szpitalnym do jakiegoś ciemnego pomieszczenia. Poruszam nadgarstkami, sprawdzając pasy bezpieczeństwa, ale trzymają mocno. Nylon boleśnie ociera mi skórę.

– Dzień dobry – odzywa się jedna z nich. Prawie jej nie poznaję, lecz te oczy oraz brązowe, kręcone włosy spięte w kucyk. Paretta.

Wysokie sklepienie, brak okien. Sala operacyjna wydaje się jednak prowizoryczna. Stół pośrodku przykryty jest papierem. Światło ostre i mocne. Ustawiają mój wózek obok, a następnie zaczynają odpinać pasy. Mogłabym walczyć, zdaję sobie z tego sprawę, ale drzwi się zatrzaszczają, wówczas słyszę szczęk zamka. Tak naprawdę nawet nie wiem, o co miałabym walczyć.

Po otwarciu klamer mija ledwie sekunda, zanim chwytają mnie mocno i unoszą. Kładą na stół, odciągają ramiona, po czym na powrót przywiązują. Krzywię się z bólu, gdy od leżenia na niewygodnym blacie wpija mi się grzbiet kości, która biegnie niczym drugi kręgosłup.

Jeden z doktorów zakłada na moje lewe ramię opaskę do pomiaru ciśnienia, a kiedy ta się zaciska, drugi umieszcza mi pod nosem rurkę tlenową i ją reguluje. Później pojawiają się różne czujniki, przyklejane do czoła oraz klatki piersiowej. Obserwuję, jak ekrany zaczynają pokazywać części mojego ciała, a także rejestrują bicie i częstotliwość serca.

– Wszystko w porządku. – Paretta pochyla się nade mną. Odgarnia mi włosy z twarzy. – Jesteś tu, by pomóc nam zrozumieć, co się stało i w jaki sposób to naprawić.

Pozostali trzej lekarze powoli się odsuwają, aż całkiem znikają z mojego pola widzenia. Zostają tylko ja i Paretta.

– Pracowaliśmy już z paroma twoimi koleżankami – informuje. – Uważamy, że jesteśmy blisko przełomu, ale potrzebuję twojej pomocy.

Możesz to dla mnie zrobić, Byatt?

Moje koleżanki? Były też inne? Otwieram usta, by zadać to pytanie, lecz Paretta mi je zakrywa.

– Cichutko – prosi. – Pamiętasz? Ani się obejrzyysz, będzie po wszystkim.

Po chwili się odsuwa, sięga po stojącą niedaleko tacę i przysuwa ją bliżej. Srebro na srebrze. Zestaw skalpeli, zawinięty w plastik. Zaczynam się szamotać, widok ostrzy wywołuje instynktowny strach. Coś wije mi się w żołądku. Z całej siły staram się nie krzyczeć.

Ona jednak nie sięga po skalpel. To coś innego, małego i nieszkodliwego, leżącego obok butelki z wodą. Okrągła, żółta pigułka w przezroczystej powłoce.

– Tylko tyle – mówi, kładąc tabletkę na dłoni. – Nie ma się czego bać.

RAX009, widzę wyraźny napis na odrzuconej osłonce, zanim Paretta ściska moją szczękę i ją rozwiera. Pastylka o gorzkim smaku ląduje na moim języku, powoli się rozpuszczając.

009. Dziewiąta wersja lekarstwa. Chyba. Albo dziewiąta dziewczyna przykuta do tego stołu.

Przełykam, krztusząc się, gdy gorycz uderza w tylną część gardła. Paretta uważnie mi się przygląda, dopiero potem sięga po butelkę z wodą, tej samej firmy, którą dostajemy w Raxter. Odkręca nakrętkę i podpira moją głowę, wlewając odrobinę do ust. Na moim języku pozostało nieco proszku, zatem potrzeba kilku prób, żeby go splukać. Sądziłam, że natychmiast coś się zadzieje – kość na moich plecach się rozpuści lub mój głos wróci do normy. Tymczasem upływa jedna minuta, druga i kolejna. Paretta gdzieś znika, więc wykręcam szyję, aby zobaczyć, jak dołącza do pozostałych lekarzy opierających się o ścianę. Czekają.

Tak samo jak ja.

Mija więcej czasu, a ja odpływam, to tracąc, to odzyskując świadomość. Czuję ogromne zmęczenie. Boli mnie całe ciało, dodatkowy kręgosłup jest poobijany i posiniaczony. Może to wcale nie będzie takie złe, jeśli mam szansę odpocząć.

I wtedy. Jakby iskrzenie. Znam to uczucie.

Ten moment tuż przed paroksyzmem. Trudny do opisanego, ciężki do

zdefiniowania, ale jak dla mnie jest niemal wart tego wszystkiego. Cierpienie oraz strata to godziwa cena. Ta siła, ta moc, ta chęć, by wyszczerzyć zęby.

Wyczekuję, aż zniknie, po czym jak zwykle zamieni się w oślepiające katusze. Zamiast tego narasta, odbijając się w moim ciele i strzępiąc wnętrzności. Czuję, że moje dłonie zaciskają się w pięści, paznokcie wznajają się głęboko w skórę. Monitor serca zaczyna wariować, a pokój wypełnia pikanie oraz wycie alarmów.

– Co się dzieje?

– Weźcie odczyt z ekranu.

Doktorzy uwijają się, zapisując dane, natomiast ich sylwetki przypominają rozmazane plamy. Zamykam oczy. To jest moje ciało. Zrobi to, do czego je zmuszę.

Uspokój się, myślę, wytrzymaj to.

Ale jakaś część mnie tego nie chce. Słyszę, jak warczy niskim głosem, każąc mi odpuścić. Mówi, że to zawsze było we mnie, a ci ludzie próbują to zabrać.

Moje plecy wyginają się z łuk, oczy szeroko się otwierają. Rzucam się na boki. Szamoczę się w przyszpilających mnie pasach. U stóp stołu staje Paretta, powtarza moje imię, jednak to ona mi to zrobiła. Krzyczę.

Z nosa tryska mi krew, agonia rozcina plecy. Paretta przyciska dłonie do uszu i się cofa. Znów wrzeszczę, szarpiąc więzy ze wszystkich sił. W moim ciele nadal dudni siła, dar, który dał mi Tox. Jeden z pasów pęka.

Walczę z drugą klamrą, a potem zeskakuję z blatu, ale są tam również inni lekarze. Łapią mnie za ramiona. Ciągną z powrotem. Kopię, drapię, moje łzy skapują na ich kombinezony ochronne.

– Byatt! – huczy Paretta. – Byatt, uspokój się!

I nagle nie chcę już uciekać, nie chcę się uwolnić, pragnę sprawić jej ból.

Niestety zdążam wykonać tylko krok. Wbijają mi strzykawkę w szyję i świat rozplywa się w ciemności.

HETTY

ROZDZIAŁ 9

Budzę się z bólem głowy, pulsującym w skroniach i kłującym z tyłu czaszki. Ściskam krawędź łóżka. Ciało mam spięte jak gdyby od nadciągającego paroksyzmu. Wszystkie zaczynają się dokładnie takim samym cierpieniem, szybko zastępowanym przez coś znacznie gorszego. Ostatnim razem były to wilgotne macki tkanek, tak skłębione w moim gardle, że nie mogłam oddychać – każda zakrwawiona, jakby została wyrwana z wnętrza żołądka.

To może oznaczać, że zbliża się mój kolejny paroksyzm albo, jak powiedziałyby Byatt, jest to zwyczajny ból głowy.

Nade mną skrzypi łóżko Reese, wtedy nagle sobie przypominam, co działo się poprzedniej nocy: głos Welch oraz plany, które snuła przez krótkofalówkę z jakimś mężczyzną, a także igłę i nić, które teraz spoczywały bezpiecznie w mojej kieszeni.

Byatt przebywa gdzieś w tym budynku. Jeśli nie odszukam jej w dzień, to znajdę ją jeszcze dziś w nocy, a następnie miniemy ogrodzenie pod osłoną mroku. Razem z Reese podążymy za Welch do domu Harkerów i będzie tam Byatt. Żywa.

– Takie leżenie w ciszy jest spoko – odzywa się Reese nad moją głową. – Ale czy możemy już pójść coś zjeść?

W te dni, gdy nie ma dostawy, posiłki spożywamy w niemal dyscyplinarnej ciszy. Wszystko, co dobre, znika szybko tuż po powrocie Brygady Łodziowej. Zostaje tylko to, czego nikt tak naprawdę nie chce. Większość dziewcząt czeka w głównym holu, lecz w każdej naszej małej konstelacji jest jedna gwiazda, gotowa przynieść coś swoim koleżankom. Kieruje się ona południowym korytarzem do kuchni, gdzie Welch wydziela jedzenie oraz butelkowaną wodę.

Od samego początku to właśnie moja rola. Byatt stwierdziła, że rozpalę

w ludziach najwięcej współczucia i w rezultacie pozwolą mi wziąć najlepsze kąski. Reese wzbudza strach, a to z kolei się przydaje, kiedy wraca Brygada Łodziowa. Jednak w tej grze chodzi o litość, dlatego tutaj największe szanse mam ja.

Zostawiam Reese w głównym holu i ruszam za Cat do południowego skrzydła. Za rogiem, gdzie korytarz zakręca w lewo, znajduje się gabinet dyrektorki. To jedno z niewielu miejsc, do których wciąż nie wolno nam wchodzić. Byłam tam zaledwie dwa razy: pierwszego dnia po przyjeździe do Raxter i w drugim semestrze, gdy dostałam reprimendę za rozmawianie w trakcie apelu.

Może to tam trzymają Byatt, myślę. Łapię już za klamkę, kiedy sobie przypominam, że jest biały dzień, a poza tym czeka na mnie Cat.

Przyspieszam, by się z nią zrównać. Posyła mi uśmiech, nie pytając, czy dobrze się czuję albo co ja, do cholery, wyprawiam, i jestem jej za to wdzięczna. Po szybkim śniadaniu okrążę budynek i zajrzę przez okna do biura dyrektorki. Jeżeli nie znajdę tego, czego szukam, będę kontynuować gdzieś indziej.

Cat i ja skręcamy za róg, po czym idziemy dalej, aż docieramy do kuchni ze świetlikami oraz ułożonymi w szachownicę kafelkami. Ostatnim razem, gdy tu byłam, Byatt leżała na podłodze, rozpadając się na kawałki. Ostatnim razem, gdy tu byłam, świat się skończył.

Wystarczy, myślę sobie. Zrobię, co tylko będę mogła. Niedługo ją odzyskam.

Kilka innych dziewczyn jest już na miejscu. Czekają, aż przyjdzie Welch i otworzy spiżarnię, w której trzymamy pożywienie. Chociaż dobrze wiem, że to niemożliwe, aby wiedziała, co słyszałam zeszłej nocy, i tak obawiam się swojej reakcji na jej widok.

– Hej – zagaduje sięgająca mi ledwie do ramienia Emmy. Włosy wciąż ma cienkie niczym u dziecka. Tego dnia, kiedy przeszła swój pierwszy paroksyzm, skakała z radości, że jest taka sama jak reszta z nas, mimo że wykasływała zęby gdzieś z głębi gardła. Dziś jednak towarzyszy jej nienaturalna powaga. No przecież – w końcu jest tutaj dla Landry, prawdopodobnie dumna jak paw, że przyszło jej reprezentować dziewczynę ze szczytu drabiny socjalnej dawnego Raxter. – Chciałam tylko powiedzieć... – kontynuuje. – Mam nadzieję, że jakoś sobie radzisz po tym,

co stało się z Byatt.

– Dzięki – odpowiadam, licząc, że to wystarczy, ale ona mówi dalej.

– Modlimy się za nią – dodaje dokładnie w taki sposób, jak powiedziałyby to Landry. Ten sam wyrafinowany ton i zaokrąglone kąciuki ust.

– Jestem pewna, że ona to docenia – oznajmiam, wywracając okiem. To wszystko jedynie wzmacnia mój ból głowy, który teraz przemienił się w nieustanny i bolesny szum. Niby do niego przywykłam, lecz i tak wolałabym stać w ciszy, niż wysłuchiwać Emmy udającej Landry.

Odgłos kroków przyciąga naszą uwagę do drzwi, aż w końcu do pomieszczenia pośpiesznie wchodzi Welch, podzwaniając przypiętym do pasa pękiem kluczy. Skąd wraca? Czy była u Byatt? Wygląda tak samo, jak poprzedniego dnia. Nie wydaje się niczego ukrywać. Ale po tym, co wydarzyło się na molo, wiem, że jest w tym lepsza, niż mogłabym podejrzewać.

– Wybaczcie – przemawia, gdy zbieramy się wokół niej. Na jej wardze dostrzegam strup, coś żółknącego o kwaskowatym zapachu. Prawdopodobnie to jest jedno z tych owrzodzeń, na które cierpi wraz z dyrektorką. – Drobne komplikacje. W porządku, od kogo zaczynamy?

Wcześniej pierwszeństwo przy wydawaniu jedzenia miały najstarsze uczennice, tak jak w każdej innej szkole. Potem jednak uświadomiłyśmy sobie, że najstarsze ciągle nimi będą. Teraz się wymieniamy, rok po roku, dzień po dniu, natomiast dzisiaj jest kolej najmłodszych, właśnie dlatego Landry wysłała Emmy. Zawsze wybiera je starannie, żeby zjeść pierwsza.

Cat i ja sytuujemy się gdzieś pośrodku, a za nami jest jeszcze Julia oraz parę dziewczyn z rocznika Carson.

Kiedy nadchodzi moja kolejka, schylam się, mijam nadproże i wchodzę do spiżarni. Odsuwam się, by zrobić miejsce dla Cat, która do mnie dołącza. Dziś wydaje się czuć dobrze, jej skóra jest w większości zagojona. Z początku myślałyśmy, że to oznacza poprawę. Ale pęcherze powracały, za każdym razem większe i sięgające głębiej, aż można było dostrzec pod nimi fragmenty kości.

Spiżarnia została zbudowana na zapleczu kuchni. Brygada Łodziowa po każdej wyprawie przynosi tutaj artykuły spożywcze, które nie zostają od

razu zabrane. Całość jest wypakowywana i wyładowywana do przechowania w koszach na śmieci. Welch codziennie wyciąga jeden z nich na środek wąskiego pomieszczenia, abyśmy mogły go przeszukać. Sprawdza, kto ile bierze, a następnie wszystko skrupulatnie zapisuje.

Cat zgarnia z kurtki kilka pajęczyn i wzdycha, patrząc na kostki cukru rozsypane na posadzce, skąd część pewnie zabrała Emmy.

– Będziemy mieć mrówki.

– Bywało gorzej. – Pochylam się nad pojemnikiem i przekopuję się aż do samego dołu, gdzie niektóre dziewczyny próbują zachomikować coś dla siebie. Znajduję paczkę suszonego mięsa, czyli dokładnie to, czego potrzebujemy, ale się waham. Widziałam, jak pozostali z Brygady Łódzkiej wyrzucają produkty, których starczyłyby dla nas wszystkich. Nie powinnam niczego brać. Nie zasługuję na to.

Jednak tu nie chodzi tylko o mnie. Jest też Reese. I obie musimy coś zjeść, jeśli dziś w nocy chcemy zakraść się do domu Harkera.

– Wezmę suszone mięso i to coś miodowo-musztardowego, czego nikt nie chce.

Cat podnosi suchary oraz opakowanie ryżu. Odczekuje jeszcze chwilę, po czym przemyca do kieszeni małą paczuszkę rodzynek.

– Lindsay ma dziś urodziny – szepcze. – Proszę, nie mów nikomu.

Zerkam przez ramię. Welch opiera się o framugę, pobrzękując kluczami. Zdaje się, że niczego nie widziała.

– Jasne. – Chociaż tyle mogę zrobić po tym, co stało się na pomoście.

Przy wyjściu ze spiżarni pokazuję Welch to, co wzięłam, i staram się, żeby nie zadrżały mi ręce. Jak ona może tak stać, jak gdyby nic się nie wydarzyło? Jakby wcale nie trzymała gdzieś w zamknięciu mojej najlepszej przyjaciółki? Uśmiecham się, próbując nie rozmyślać o tym, co dzieje się z Byatt, kiedy ja jestem tutaj. Po podłodze jeszcze wciąż rozsiane są drobinki jej krwi.

– W porządku – stwierdza Welch z roztargnieniem. – Wszystko się zgadza.

Zwalczam pragnienie, aby siłą wydobyć z niej odpowiedzi, i pośpiesznie wychodzę z kuchni. Zmierzam z powrotem do głównego holu, gdzie

zaskakuje mnie widok siedzącej z Carson Reese. Wpatruje się we własne buty, a Carson obserwuje ją bezradnym wzrokiem, który dobrze znam. To wzrok kogoś wyczerpanego prawie doszczętnie obojętnym milczeniem Reese.

– Hej – mówię, podchodząc. – Carson, co za niespodzianka.

– Niespodzianka to dobre słowo – stwierdza Reese.

Marszczę brwi, rzucając jej krótkie spojrzenie. To nie fair naskakiwać na Carson, która nie potrafi tego rozpoznać. Ona na ten gest jedynie wzrusza ramionami.

– Cześć – słyszę za sobą głos Julii.

– Och, cudownie, kolejna – marudzi Reese, ale tym razem przybiera nieco łagodniejszy ton. Sprawia wrażenie niemal smutnej, gdy się do mnie uśmiecha.

Siadam obok niej. Staram się nie podnosić wzroku, kiedy Julia zajmuje miejsce naprzeciwko mnie. Zwykle trzymamy się w naszych własnych kręgach, lecz teraz, skoro jestem w Brygadzie Łódzkiej, czy Julia i Carson należą do mojego? A może są tu, by się upewnić, że trzymam Reese z dala od naszych sekretów?

Gdy jemy, panuje krępujące milczenie. Nie mam nic do powiedzenia i wiem, że Reese też nie zamierza się odzywać. Każda spędzona tutaj minuta jest stratą czasu, który mogłabym poświęcić na szukanie Byatt.

Carson prostuje plecy, a następnie otwiera usta, żeby rozpocząć nową pogawędkę, ale Reese szybko ucisza ją spojrzeniem.

– Wiesz, nie zawsze musimy o czymś dyskutować.

– Wybacz. – Zerkam na Reese z ukosa. Ma chociaż na tyle przyzwoitości, aby wyglądać na trochę skruszoną. – Jesteśmy po prostu zmęczone.

– Nie szkodzi – zapewnia Julia. Wydaje mi się, że odczuwa pewną ulgę z tego powodu, że nie musi już więcej rozmawiać. Pod rąbkiem jej koszuli dostrzegam świeże limo, a ona sama sprawia wrażenie wyczerpanej, jakby rosnący siniak wysysał z niej życie. Patrząc, jak wypluwa krew, po czym zostawia ją na posadzce, nie zadając sobie nawet trudu sprzątnięciem.

Nie jestem w stanie dokończyć swojej części suszonego mięsa. Już sam zapach przyprawia mnie o mdłości. Kiedy się skupię i intensywnie o tym

pomyśle, czuję początki mrowienia w ślepych oku, przebijające się przez dręczący mnie ból. Reese bez słowa sięga po moją porcję i wsuwa ją sobie do kieszeni na później.

W tym świetle przypomina swojego ojca. Wygląda zupełnie tak, jak on kiedyś wyglądał. Ten sam mocny podbródek, te same oczy, a wszystko to obmyte złotą poświatą.

Zastanawiam się, o czym myśli, gdy na mnie patrzy. Na pewno nie o moich rodzicach – nigdy nie przypinałam ich zdjęć do ściany, jak to czynią inne dziewczyny.

Nie wspominam ich za często, moich rodziców. Wiem, że powinnam. Robiłam to może przez pierwszy miesiąc lub dwa. Ustawiałam się w kolejce, by zadzwonić przez radio. Odbyliśmy w ten sposób parę krótkich, sztywnych rozmów. Potem jednak odcięli nam dostęp i sytuacja zaczęła się pogarszać, a później nie miało to już znaczenia. Jeśli ponownie zobaczę mamę i tatę, będą chcieli usłyszeć, jak za nimi tęskniłam, oraz że to było najgorsze, co mi się kiedykolwiek przytrafiło. Będę kłamać, jeżeli w ogóle dam radę to z siebie wydusić.

Jakaś część mnie sądziła, że to naprawdę będzie takie proste. Zamknięte drzwi, gdzieś w głębi budynku, a za nimi Byatt.

Ta część mnie była idiotką.

Po śniadaniu Reese wyszła za mną na zewnątrz i obserwowała moje próby zajrzenia przez okno do gabinetu dyrektorki. Nic, tylko jej stare masywne biurko oraz stos poukładanych w kącie kartonowych pudeł.

– Byatt tu nie ma – oznajmiłam Reese, a następnie powtarzałam jej to za każdym razem, gdy zajrzałam do kolejnej klasy, biura, składziku czy łazienki. Cała szkoła stała otworem, jakby na mnie czekała, jakby miała coś do udowodnienia.

W końcu nie byłam w stanie już dłużej tego znieść. Przez pulsowanie w głowie nie mogłam myśleć i jedynie czułam się winna, że zawiodłam Byatt.

Reese wzięła mnie za rękę, tak samo jak wczoraj, po czym poprowadziła

na dwór. Orzeźwiający powiew szybko pobudził krew w żyłach i przerzedził ból, aż stał się ledwie odczuwalny.

– Spróbujemy dziś w nocy – powiedziała cicho. – To jeszcze nie koniec.

Wędrujemy bez celu w kierunku cypla, idąc od północnej strony budynku. Po lewej zwięża się urwisko, przed nami wyrasta słup do gry w tetherball⁵ oraz stojące obok siebie zardzewiałe huštawki. Martwa trawa wokół nich pokryta jest szronem. Zdrętwiał mi nos i czuję chłód, wbijający się w płuca niczym ostrza noży, ale nie przeszkadza mi to. Tutaj mogę oddychać. Tutaj czuję się rozbudzona. Te tereny są otwarte, w przeciwieństwie do napierającego skupiska drzew, o którym teraz myślę.

– Powinniśmy wziąć broń – wypalam tak niespodziewanie, że Reese prawie się potyka.

– Po co?

Moje ciało doskonale pamięta drżenie oraz strach, jaki poczułam po tym, gdy pierwszy raz przekroczyłam ogrodzenie. Musiałam biec, walcząc o życie.

– Zaufaj mi, lepiej ją mieć.

– Jasne – przytakuje Reese, marszcząc brwi. – Ale nie możemy sobie jej przecież tak zwyczajnie ukraść z magazynu bez wiedzy Welch.

Obok nas przemyka grupka dziewczyn. Śpieszą się, by umyć włosy, ukraść jakieś koce lub po prostu nudzić się w nowym miejscu. Kiwamy do nich głowami i posyłamy lekkie uśmiechy. Dwie z nich są z roku niżej, a pozostałe dwie, Lauren i Sara, z naszego. Lauren lubię, jednak za Sarą nie przepadam. Kiedy przebywałam tutaj od zaledwie trzech tygodni, przywłaszczyła sobie moją ostatnią spódniczkę od mundurku i przez nią dostałam naganę za naruszenie etykiety. Nie mogę też znieść sposobu, w jaki przechwala się swoim paroksyzmem. Jedno serce, dwa tętna – fantastycznie. Wydaje jej się, że będzie dzięki temu żyła dłużej, ale dla mnie znaczy to wyłącznie tyle, że jest jeszcze bardziej popierdolona.

– Hej, Hetty – wita mnie Lauren, zwalnając. – Wiesz może, czy dziś mamy trening strzelecki?

Welch powiedziała o tym przy śniadaniu i cząstka mnie chce im o tym przypomnieć, lecz teraz należę do Brygady Łódzkiej. Jestem tą, do której przychodzą z pytaniami.

– Nie dzisiaj – odpowiadam. – Miłego dnia.

– „Miłego dnia”? – powtarza pod nosem Reese. Wiem, że jeśli na nią spojrzę, zobaczę, jak powstrzymuje uśmiech.

Lauren wygląda na nieco rozczarowaną, ale wzrusza ramionami.

– Dzięki, do zobaczenia, Hetty.

– Spójrz tylko na siebie – rzuca Reese, gdy się oddalamy. – Jesteś jak polityk. Albo pani z punktu informacyjnego.

W identyczny sposób drażniła się ze mną, kiedy była z nami Byatt – te same słowa, ten sam rozbawiony wyraz twarzy. Teraz jednak wydaje się delikatniejszy. A przynajmniej na tyle, że mi nie przeszkadza.

Mam zamiar zasugerować, żebyśmy wracały do środka i może poobserwowały magazyn w nadziei, że Welch nie pilnuje go w ciągu dnia, gdy nagle Reese szarpie mnie za rękaw. Skinieniem głowy wskazuje na coś za mną, na stodołę, która stoi pusta i ciemna.

– Trening strzelecki – oznajmia. – Tam możemy zdobyć broń.

– Jak? – pytam, ale ona już tam idzie, zostawiając ślady na szronie.

O tej porze stodoła jest pusta. Zastajemy jedynie wolne stanowiska i dryfujący w powietrzu kurz. Rozsuwane drzwi otwierają się na morze, a wiatr wdziera się do środka, przynosząc chłód. Podążam za Reese. Przechodzimy na tyły, za służące za cel bele siana ułożone w stos, aż docieramy do podłużnej skrzyni przeznaczonej na składowanie siodła i strzemion. Właśnie tam Welch trzyma dubeltówkę, której używamy na lekcjach.

– Tutaj – informuje Reese, kucając przed kufrem. Ma tylko jedną kłódkę, taką na kod, i wygląda na zardzewiałą, łatwą do złamania. Welch zauważyłaby, gdybyśmy ją rozbiły. Już chcę powiedzieć, że niektóre rzeczy nie są warte ryzyka, kiedy Reese zaczyna obracać pokrętko, ustawiając trzy liczby: 03-17-03. Data jej urodzin.

Zamek otwiera się z kliknięciem, a Reese podnosi ku mnie głowę, szeroko się uśmiechając.

– Mój tata ułożył tę kombinację – wyjaśnia. – Tak myślałam, że Welch jej nie zmieni. – Unosi wieko i wyciąga broń ze sterty starego żelastwa, wyławiając luźną amunicję. – I co teraz?

– Musimy ją gdzieś schować – stwierdzam, wciąż nie mogąc uwierzyć w nasze szczęście, podczas gdy ona wsuwa do kieszeni kilka zabłąkanych łusek; chłodny metal przywiera jej do skóry. Na nas dwie przypadną wyłącznie dwa strzały. – Może pod płotem, żeby było łatwiej ją zgarnąć po drodze?

Po lewej stronie bramy znajduje się zagajnik świerkowy, do którego niektóre ze starszych dziewcząt przyprowadzały swoich chłopaków z kontynentu w dniach odwiedzin. Moja twarz płonie na samą myśl o udaniu się do niego razem z Reese, ale powinniśmy dać radę bezpiecznie ukryć tam broń do zmroku.

– W porządku – zgadza się i wyciąga dubeltówkę w moim kierunku. Biorę ją niepewnie, tymczasem Reese odwraca się i zrzuca kurtkę. Na jej miejscu drżałabym z zimna, natomiast u niej widać raptem lekką gęsią skórkę na ramionach. – Przymocuj ją do paska, przewiesimy mi ją przez plecy.

To się uda, mimo wszystko nie mogę powstrzymać nerwowego chichotu. Spogląda na mnie przez ramię.

– No co? Masz jakiś lepszy pomysł?

Może to jej chęć, by mi pomóc, zaryzykować życie dla Byatt tylko dlatego, że ją o to poprosiłam. A może to linia jej szczęki lub powab włosów. Ale czuję, że przez to, co dla mnie robi, jestem jej coś winna.

– Hej – mruczę. – Chcesz nauczyć się strzelać?

Spodziewam się, że na mnie warknie. Zamiast tego w jej głosie pobrzmiwa ostrożna uprzejmość.

– Ale ja umiem.

– Mam na myśli drugą ręką. – Milczymy przez jedno uderzenie serca, na jej twarzy pojawia się cień zawahania, lecz to nie zwątpienie, więc próbuję ponownie. – Ja strzelam prawą. Mogę cię tego nauczyć.

– Okej – mamrocze. Jest spięta. Zdeterminowana. Dokładnie tak jak ja.

Podaję jej strzelbę, prowadzę na przód stodoły i wskazuję na zawalony

trocinami kawałek podłogi. Reese zajmuje pozycję, ponownie ściąga kurtkę, a ja staję obok niej.

– Pokaż mi, jak się zazwyczaj ustawiasz. – Najeża się. Jeszcze tydzień temu powiedziałabym, że to dlatego, że nie lubi, gdy jej się mówi, co ma robić. I faktycznie tak jest, ale wydaje mi się, że znacznie bardziej nie znosi, kiedy ktoś dostrzega jej słabości. – Po prostu mi pokaż – powtarzam łagodnie.

Niechętnie przyciska kolbę dubeltówki do lewego ramienia, trzymając lufę w prawej ręce. Próbuje położyć palce srebrnej dłoni na spuście, lecz są zbyt drobne. Nie jest w stanie za niego chwycić i pociągnąć.

– Widzisz? – dopytuje.

– Widzę – odpowiadam. – Ale to nic nie szkodzi. Teraz wysuń lewą stopę do przodu i pochyl biodra.

Uczono nas strzelać w pozycji, którą Welch nazywa wyjściową: z jednym ramieniem skierowanym w stronę celu, z kolei drugim do tyłu. Mówiła, że dzięki temu trafimy za pierwszym razem na wypadek, gdyby skończyły się dostawy amunicji, a każda kula była na wagę złota.

Reese dostosowuje się, ustawia z uniesioną w srebrnej dłoni strzelbą, zaś drugą rękę trzyma przy spuście. Ramiona układa we właściwy sposób, ale po prostym ułożeniu jej bioder wnioskuje, że wcale jej się to nie podoba.

– Musisz się zaangażować – doradzam. – No dalej.

– W tym ułożeniu mało widzę, naprawdę.

Śmieję się.

– Skoro ja widzę jednym okiem, to ty dwoma też możesz.

Grymasi, próbując nakierować broń, lecz nigdy jej się nie uda, jeżeli będzie stać w tej pozycji. Podchodzę i zatrzymuję się tuż za nią, a następnie wyciągam rękę, aż moja dłoń unosi się nad jej biodrem.

– Mogę?

Odwraca głowę, odsłaniając delikatną skórę na karku. Chwytam powietrze. Przed chwilą to było nic, zupełnie nic, tylko ja i ona tak, jak setki razy wcześniej. Jednak tym razem jest inaczej. Byatt odeszła, nikt nie stał między nami.

– Tak – szepcze. – Jasne.

Opieram jedną dłoń na jej biodrze, drugą przysuwam do talii. Przez kurtkę czuję jej ciepło. Żyje i jest przy mnie. Drży i nie uwierzyłabym w to, gdybym sama tego nie poczuła. Reese, stoicka, czujna i twarda niczym stal, dygocze od mojego dotyku.

– W ten sposób – podpowiadam, ustawiając ją równolegle do siebie. Jej ciało przylega do mojego i z trudem przetykam ślinę. – Utrzymaj tę postawę.

Znów podnosi strzelbę i razem umieszczamy ją pod odpowiednim kątem. Dotykam utrzymuję biodra Reese w prawidłowej pozycji, pochylam głowę. Jej ciemne rzęsy wyróżniają się na jasnej skórze, gdy przymyka jedno oko, skupiając się na celu.

– Proszę – podsumowuję niepewnie. – Idealnie.

Ciało Reese przylega do mojego. Trwamy tak, aż w końcu się rozluźnia. Tylko odrobinę i nie cała od razu, ale wciąż dotyka plecami mojej klatki piersiowej. Czuję dudnienie własnego serca, uderzenie za uderzeniem ryczy mi w uszach. Nigdy wcześniej nie byłam tak blisko niej, nigdy nie widziałam blizny na jej nosie ani miejsca za uchem, gdzie zaczyna się linia włosów.

Wygląda na miękką, cienką jak papier, i nie mam niczego konkretnego na myśli. Nie zdaję sobie sprawy, że się poruszam, kiedy sięgam w górę, po czym koniuszkiem palca przesuwam po niebieskiej żyłce, która właśnie pokazała się pod jej skórą.

Jej głowa się obraca. Odrywam rękę. Mam otwarte usta, czuję rosnącą panikę. Nie mogę uwierzyć, że to zepsułam. Posunęłam się za daleko i podeszłam zbyt blisko, a przecież dopiero zaczęłyśmy się uczyć, jak być przyjaciółkami.

– Przepraszam – wykrztuszam cokolwiek, byle tylko wrócić na bezpieczne wody. – Nie powinnam była.

Reese jedynie się we mnie wpatruje. Ma płytki oddech, który zamienia się w obłok pary, gdy styka się z zimnym powietrzem wokół nas. Dubeltówka zwisa z jej srebrnych palców.

– Co to miało być? – pyta w końcu.

Przeżyłam trzy lata bez nadawania temu określenia. Ale oto ona, Reese

z jej gwiazdnymi włosami oraz dzikim sercem, i już wczoraj wieczorem w naszym pokoju wiedziałam, jak to nazwać. Jej twarz w ciemności była piękna i obca. Wiedziałam o tym też w dniu, w którym ją poznałam, kiedy na mnie spojrzała, jakbym była czymś, czego nie rozumie. Przez cały ten czas po prostu wiedziałam.

– Nic – mówię stanowczo. Nic, zupełnie nic. Mogę zamknąć te drzwi. Mam w tym wprawę. – Nie przejmuj się tym.

– Nie, Hetty, musisz mi powiedzieć, co to miało być. – Nie odrywając wzroku od mojej twarzy, odkłada broń na prowizoryczny stolik. – Musisz, bo wydaje mi się, kurwa, że tracę rozum.

– Co masz na myśli? – dociekam, utrzymując ton głosu tak spokojny, jak tylko potrafię. Mogę to zrobić, mogę udawać, wszystko wytłumaczyć.

Ona się jednak nie poddaje.

– Chodzi mi o to, że traktujesz mnie inaczej – stwierdza, a ja mogłabym przysiąc, że się rumieni, ale uparcie wypycha szczękę w mocnym postanowieniu, które tak dobrze znam. – To znaczy, patrzysz na mnie tak, jakbyś w końcu zauważyła, że tu jestem.

Jakbym w końcu ją zauważyła? Boże, ona nie ma pojęcia. Naprawdę nie ma pojęcia.

– To nie...

– Dobrze – naciska, ignorując mnie. – Chcę, żebyś powiedziała mi teraz, co to miało być. – Podchodzi bliżej, a chłodny blask bijący z jej warkocza obmywa moją skórę. – Muszę wiedzieć, czy stoimy na tym samym.

Wstrzymuję oddech. Nie może mieć tego na myśli, prawda? Nie jestem na to przygotowana, moje serce rozkwita. Minęło już zbyt wiele czasu, odkąd żywiłam jakiejkolwiek nadzieje.

– Czyli na czym?

– Na tym. – Wyciąga rękę i splata nasze palce. Baczenie mi się przygląda, a jej głos brzmi tak stanowczo, tak pewnie, mimo że czuć, że drży, tak samo jak ja. Jakby czekała na ten moment tak samo długo.

Możliwe, że dokładnie tak było. Że za każdym razem, gdy mnie odpychała, za każdym razem, kiedy nie mogłam do niej dotrzeć, to wyłącznie dlatego, że mnie pragnęła, ale myślała, że nigdy nie

odwzajemnie jej uczuć. A jeśli Reese jest w czymś dobra, to właśnie w samoobronie.

Teraz to dostrzegam i wiem, jakie byliśmy dla siebie nawzajem. Te wszystkie ustępstwa, żale, które puszczałyśmy w niepamięć. Żadna z nas nie potrafiła odpuścić, niezależnie od tego, z jakim bólem to się wiązało.

– Tak – mruczę. – Też tu jestem.

Przez chwilę obie stoimy nieruchomo. Słyszę jedynie bicie własnego serca, odmierzającego kolejne sekundy. Nagle Reese wypuszcza drżący oddech, a potem obie się śmiejemy, oparte jedna o drugą, praktycznie oszołomione nagłą ulgą.

– Okej, dobrze – przytakuje, tymczasem jej srebrna dłoń delikatnie śledzi linię mojej szczęki. Robi to tak subtelnie, że doznanie jest znikome, ale czuję, czuję to i rozpala mnie, niczym zapalka kartkę papieru. Nasz śmiech milknie, gdy jej ciało wpasowuje się w moje.

Wciąż się uśmiecha, kiedy mnie całuje.

Tak samo jak ja.

ROZDZIAŁ 10

Wieczorem wracamy do naszego pokoju. Po wyjściu ze stodoły zakopałyśmy dubeltówkę pod warstwą gnijących liści przy płocie w zagajniku świerkowym. Reese znajduje się przy mnie, jak zawsze. Jedyne, co się zmieniło między nami, to spojrzenie w jej oczach i ogień w moich żyłach.

Teraz leży na moim łóżku, obserwując mnie, gdy przechodzę z jednego końca pomieszczenia na drugi. Z każdą kolejną minutą, kiedy zachodzi słońce, mój strach narasta, niczym wijąca się we wnętrzu sprężyna. Coraz bliżej i bliżej do momentu, aż brama się otworzy i Welch zabierze Byatt do lasu.

Na korytarzu pozostałe dziewczyny wchodzą po schodach. Idą do swoich pokoi, żeby zdążyć przed obchodem. Porę obiadową spędziłyśmy w zagajniku, żadna z nas nie powiedziała ani słowa, żelazne pręty ogrodzenia majaczyły coraz większe i większe.

Nie jestem głodna, samo myślenie o jedzeniu wciąż sprawia, że dławi mnie poczucie winy, ale żołądek Reese zaczyna burczeć tak głośno, że słyszę go z drugiego końca pomieszczenia. Przystaję krążyć po podłodze i obserwuję, jak Reese siada, wydobywa z kieszeni porcję suszonego mięsa ze śniadania, po czym wpakuje sobie większość do ust.

Tego wszystkiego powinno być więcej, myślę, starając się nie wzdrygać. I byłoby, gdybym nie pomogła wtedy Welch na pomoście.

Gdy Reese zauważyła, że jej się przyglądam, przetyka z trudem i wyciąga w moją stronę to, co zostało, zaledwie kęs.

– Wybacz – przemawia. – Chcesz trochę?

Śmieję się ochryplym głosem. To niedorzeczne. Welch odebrała mi najlepszą przyjaciółkę, tymczasem ja wciąż dotrzymuję jej sekretów.

– Muszę ci o czymś powiedzieć – oznajmiam, a potem opisuję wszystko tak zwięźle, jak tylko potrafię. Worki przepelnione jedzeniem, dziwne opakowania oraz to, kiedy Welch mnie zapytała, czy dokonała właściwego

wyboru, niby przypadkowo kładąc dłoń na rewolwerze. Gdy mówię, Reese otwiera usta. Szeroko otwarte ciemne oczy patrzą na mnie z łóżka, pełne niedowierzania.

– Ty mówisz poważnie – stwierdza, kiedy kończę.

Kiwam głową. Nie powiedziałam jej o czekoladzie, jednak nie sądzę, aby to było potrzebne. Jakaś część mnie woli zachować tę tajemnicę dla siebie.

– Taa – bąkam. – Wyrzuciłyśmy to, tak po prostu. – Nie odpowiada, wygląda jedynie przez okno, zaciskając dłonie w pięści, wówczas czuję ścisk w żołądku. Nie mogłam zrujnować tego, co nas łączy. Nie teraz, gdy dopiero co się zaczęło. – Jesteś zła?

Prycha.

– Oczywiście, że jestem.

– Ale czy na mnie jesteś zła?

Przygląda mi się i niepewnie zahacza palcami o jedną z moich szlufek. Jak mogłam to przegapić? Ciepło w jej oczach, przeznaczone dla mnie i nikogo innego.

– Nie miałaś wielkiego wyboru, prawda?

Choć nie powinien, ten fakt sprawia, że czuję się lepiej.

Słyszę, że na zewnątrz Julia idzie korytarzem. Robi obchód, zatrzymując się w każdym z pokoi. Razem z Reese wymieniamy krótkie spojrzenia i zanim Julia wsuwa głowę przez drzwi, leżymy już obok siebie na materacu. Dokładnie tam, gdzie powinny być dwie przestrzegające zasad dziewczyny.

– Trzy – oznajmia Julia, a następnie lekko odkaśluje. – Przepraszam, dwie.

Kiedy wychodzi, wpatruję się w posadzkę. Mój świat zwęża się do czarnego paska widocznego między deskami podłogowymi. Za kilka godzin Welch pójdzie do domu Harkera, a my za nią. Będziemy przedzierać się przez las, złamiemy kwarantannę. Będziemy walczyć o życie – nasze i Byatt.

Mogę to dla niej zrobić. Muszę.

Zimne, pokryte łuską palce Reese zaciskają się dookoła mojego nadgarstka. Ciemność wokół nas gęstnieje, a gdy się odwracam, blask jej

włosów przesuwają się po naszej skórze, natomiast na suficie odbija się kształt jej warkocza.

– Powinnaś odpocząć – mówi tak łagodnie, że ledwie ją poznaję. – Później ci się to przyda.

– Nie mogę.

Za oknem wschodzi księżyc. Mam w pamięci tylko to, jak oświetlał niebo ostatniej nocy, i którą godzinę wskazywał. Zmartwienie ściska mi gardło.

– A co, jeśli to przegapimy?

– Będę czuwać. – Materac ugina się pod jej ciężarem, kiedy przysuwa się bliżej, by okryć mi ramiona własną kurtką. – Spróbuj odpocząć.

Gdy śpię, przynajmniej nie muszę martwić się o to, co zamierzamy zrobić. Uległam jej namowom i kładę się plecami do ściany. Ona wyciąga się obok na swojej połowie. Łóżka w Raxter są wąskie, przeznaczone wyłącznie dla jednej osoby, lecz ja dzieliłam swoje z Byatt od pierwszego dnia Toxu. Przyzwyczyłam się do tego.

Albo tak mi się tylko wydawało. Reese leży u mego boku, jej ramię naciska na moją klatkę piersiową i jest zupełnie inaczej. Zupełnie inaczej niż z Byatt, ponieważ jej organizm wydawał mi się niemal jak mój własny. Czuję każdą część ciała, którą stykam się z Reese. Słyszę każdy jej oddech, jakby to był jedyny dźwięk na świecie.

– W porządku? – pyta.

– Tak.

Próbuję się umościć, wtulam twarz w jej szyję. Zamykam oko i mam nadzieję, że będę śnić o Reese, o naszym popołudniu w stodole.

Zamiast tego czeka na mnie Byatt, biorę ją za rękę, prowadzę do lasu. Nie ma światła, ale nie przeszkadza mi to, kiedy owijam ją w całun.

BYATT

ROZDZIAŁ 11

Gdy miałam dziesięć lat, opowiedziałam bajkę.

To wydarzyło się zaraz po przerwie wakacyjnej. Moją najlepszą przyjaciółką była wówczas Tracy, która nosiła zawsze świeżo wyprasowane ubrania. Kiedy wróciła z wakacji, powiedziała mi, że na koloniach poznała nową koleżankę.

Ja nie pojechałam na obóz i nie spotkałam nikogo nowego, dlatego opowiedziałam Tracy o czymś innym. Opowiedziałam jej o tym, jak spotkałam dziewczynę o imieniu Erin, która cały rok pływa i jeździ konno. Oznajmiłam, że idzie do innej szkoły, ale mieszka przy tej samej ulicy co ja, zaledwie kilka domów dalej.

Napisałam także listy i pokazałam je Tracy, mówiąc, że dostałam je od Erin. Któregoś dnia poinformowałam ją, że Erin nie ma w domu. Wyjawiłam, że dowiedziałam się od jej mamy, iż Erin jest chora. A kolejnego dnia ubrałam się na czarno i wyznałam Tracy, że Erin nie żyje.

Tracy płakała. Płakała przy mamie i przy naszej nauczycielce, która w końcu zabrała mnie do gabinetu psychologa szkolnego. Gdy tam wypytywali, co się stało, opowiedziałam całą historię raz jeszcze. Tylko dlatego, że lubiłam – lubię – widzieć, co potrafię spowodować i co z tego wyniknie.

Mrugam. W oknie zauważam swoją mamę. Jest ubrana w błękit i wygląda niczym poranek.

– Myślałam, że mamy to już za sobą – mówi. Mamy i jednocześnie czasem nie mamy, lecz w moim sercu tkwi ból, którego nie mogę się pozbyć. Okno się zamyka i znika, natomiast moja mama staje się coraz wyższa i wyższa. – Bardzo nas zawiodłaś – kontynuuje, a czubek jej głowy ociera się o sufit. – Zawiodłaś, zawiodłaś, zawiodłaś...

Zazwyczaj to jest wypadek. Kłamstwo, którego nie zamierzałam wypowiadać na głos. Sztuczka, z której nigdy nie umiałam zrezygnować. Otwieram usta i wychodzi z nich coś dziwnego, nowego oraz nienależącego do mnie. Jakby siedział we mnie ktoś inny.

Za każdym razem, kiedy coś, co wymyśliłam, wymykało się spod kontroli, przepraszałam rodziców. Przecież nie chciałam nikogo skrzywdzić. I niekiedy faktycznie było mi przykro.

Ale czasami wręcz przeciwnie. Przepelniała mnie straszliwa złość, mroczna i bezdena, od której nie potrafiłam się odciąć. Rosła coraz bardziej i bardziej, aż nie pozostawiała już miejsca na nic innego.

Jedź do Raxter, zaproponowała mama. Zaczynij od początku.

I spróbowałam. Jednak każdy ma coś, w czym jest naprawdę dobry. Nie brakuje mi zmyślenia. Tak przynajmniej sobie wmawiam, bo dzięki temu jest o wiele łatwiej. Nawet najkrótsze zapisane słowo wystarczy, by stworzyli sobie w umysłach jakiś obraz mnie. Brzmi zawsze w odpowiedni sposób, a jego znaczenie niezmiennie jest prawidłowe. Połowa mojej pracy z głowy.

Gdy wraca Paretta, dostrzegam jej sylwetkę przez otaczającą moje łóżko zasłonę. Widzę, jak się waha i zatrzymuje w drzwiach. Jakby przypomniła sobie to, co zrobiłam.

Ale potem odsuwa kotarę i rozpoznaję ten sam połatany niebieski kombinezon, tę samą lekko wzorzystą maseczkę. Zastanawiam się, czy mają jakieś części zamienne, czy inni lekarze musieli zszyć rozerwane przeze mnie skafandry.

– Dzień dobry – wita się.

Moje ręce są przywiązane. Nie mogę sięgnąć po tabliczkę do pisania, którą Peretta oparła o moje łóżko. Jedyne, co mogę zrobić, to pokazać jej uniesione kciuki, a tego z całą pewnością nie zamierzałam uczynić.

– Wiesz, czym jest częstotliwość rezonansowa?

Marszczę brwi. Nie ma to jak miły początek dnia.

– To częstotliwość, przy której dany obiekt drga – wyjaśnia. Wygląda na lekko zakłopotaną, jakby nie przywykła do tego, by tłumaczyć coś w tak

prosty sposób. – Jeśli dopasujesz częstotliwość rezonansową przedmiotu, może pęknąć. Jak szkło pod wpływem wysokiej nuty.

Zaciskam pięści, pragnąc, aby pozwoliła mi użyć tabliczki. Nie rozumiem, dlaczego mi o tym opowiada.

– Wszystko ma taką częstotliwość. – Patrzy na mnie przez dłuższy czas. – Nawet kość.

Z trudem przełykam ślinę. Pamiętam rozdzierający na strzępy ból. Tylko ja i Paretta, nikt inny nie słyszał moich krzyków.

– Nic – dodaje miękko – nie jest w stanie osiągnąć wystarczającej częstotliwości, żeby pękła kość. Nic, wyłącznie ty i twój głos. – Wyciąga rękę i opiera na moim gardle powleczoney rękawiczką palec. – Co ty na to, kochanie?

Nie wiem, mam ochotę się odezwać, ty mi powiedz.

Zamiast tego cofa się, a z jej oczu wyziera smutek, kiedy odchrząkuje.

– Chciałabym ci coś pokazać – mówi. Czeka na odpowiedź, której nie mogę udzielić. – Myślę jednak, że zrozumiesz, dlaczego potrzebuję twojej obietnicy, że incydent z poprzedniego dnia się nie powtórzy.

Kiwam głową, bo tak naprawdę raptem tyle mogę zrobić. Kobieta pochyla się nade mną, by uwolnić moje nadgarstki. Z bliska czuję słony zapach jej potu. Widzę fragmenty suchej skóry na linii włosów i pieprzyk w kąciku oka.

Nie jestem zdolna ustać o własnych siłach, więc Paretta pomaga mi usadowić się na wózku inwalidzkim. Dygoczę pod kocami, mam posiniaczone nogi i połamane paznokcie. W Raxter nasze ciała nigdy nie wydawały nam się dziwaczne, ale tutaj naciągam rąbek koszuli szpitalnej i siadam prosto, żeby ukryć krzywiznę mojego drugiego kręgosłupa.

Kobieta wsuwa obok mnie tabliczkę i zaciska palce na pisaku, a następnie opuszczamy salę. Staram się zapamiętać wszystko, co mijamy. Małe lobby, blade kwadraty na ścianie, gdzie wcześniej musiało coś wisieć, jak również korytarz, którym podążamy, brudny dywan oraz stęchłe powietrze. Całość wślizguje się i wyślizguje z mojej głowy. Nie mogę... nie mogę... nie mogę... Jakbym już tu kiedyś była.

Myślę, że zaraz zwymiotuję. Zginam się w pół, przyciskam dłonie do czoła i czuję muśnięcie kombinezonu Paretty na ramieniu, lecz to prawie

nic. Zamykam oczy, starając się zniknąć.

Gdy otwieram je ponownie, znajduję się w zupełnie innym miejscu. Z początku nie wiem, na co patrzę. Mrugam, wtedy obraz się rozdziela. Podłoga od sufitu, stopy pudeł od wózków wyładowanych składanymi krzesłami. Wszystko osłaniają grube, plastikowe plandeki. Posadzkę pokrywa takie samo linoleum, jak w pozostałej części budynku. W ścianach wycięto dwie głębokie wnęki. Puste, mimo to oświetlone w taki sposób, jak gdyby kiedyś coś w nich wystawiano.

Sięgam po tabliczkę i trzymam ją przed sobą, by zwrócić na siebie uwagę Paretty, a potem piszę: *Co to jest? Gdzie jesteście?*

– Część z tego to składzik – przemawia Paretta, co tak naprawdę nie jest odpowiedzią na moje pytanie, ale chyba na nic więcej nie mogę liczyć.

Widzę mnie wąską alejką między dwoma regałami, z których każdy pokrywa przezroczysty plastik, tak gruby, że aż sprawia wrażenie zamglonego. W tej części pomieszczenia wygląda prawie jak laboratorium: dwa stoły zastawione sprzętem, którego nie potrafię nazwać. Wydaje mi się, że na blacie jednego z nich dostrzegam fragmenty rozbitej skorupy Błękitniaka z Raxter, lecz odwracamy się i Paretta pcha wózek w kierunku kolejnej wnęki, niewidocznej od strony drzwi. Jest zbudowana na głębokości ponad jednej stopy, cała pokryta ziemią i właśnie tam, w tym pomieszczeniu, w tym budynku, kwitną cztery irysy z Raxter.

Łzy kłują mnie w oczy i mrugam zaskoczona. Tęsknię. Tęsknię za Hetty i Reese, ale przede wszystkim tęsknię za świtem przebłyskującym między drzewami. Tęsknię za północnym urwiskiem oraz falami oceanu. Tęsknię za wiatrem kradnącym oddech tak, jakby nigdy nie należał do ciebie.

Zanim zdaję sobie z tego sprawę, wyciągam rękę, aby dotknąć jednego z kwiatów, lecz Paretta odciąga mnie do tyłu, chwytając rękawiczką za nadgarstek.

– To – zaczyna ostrzegawczym tonem – byłoby głupie.

Dlaczego je tu trzymacie?, piszę.

Paretta obraca mój wózek tak, że znajduję się twarzą do niej. Żałuję, że to zrobiła. Już tęsknię za widokiem irysów, za znajomym kolorem indygo, za satynową strukturą ich płatków.

– Badamy je – tłumaczy, kucając przede mną. – Irysy, a także błękitne

kraby. Wszystko to podchodzi pod coś, co nazwaliśmy Fenomenem Raxter.

Nie choroba, nie zaraza. Fenomen. Słowo wypalone w moim sercu – słowo, na które czekałam. Jednak jest coś w sposobie, w jaki wypowiada je Paretta. Ta nazwa wydaje się dla niej zbyt znajoma, zbyt gładko przechodzi jej przez gardło.

– Uczyli cię o Błękitniakach z Raxter w szkole? – pyta. – O tym, czemu są takie wyjątkowe?

Kiwam głową.

Chodzi o płuca?

– I o skrzela – nadmienia Paretta. – To niesamowite, prawda? Mogą przetrwać w każdych warunkach. Niesamowite jest też to, że teraz wy, dziewczęta, również jesteście tego częścią.

Częścią tego. To, jak zmieniają się i wyginają nasze ciała, a palce stają się czarne tuż przed śmiercią, po czym czerń rozprzestrzenia się aż do knykci. Czasem, gdy Hetty spała u mego boku, obserwowałam w ciemności swoje dłonie i modliłam się, aby zmieniły kolor.

– Wyobraź sobie, co moglibyśmy z tym zrobić. – Głos kobiety staje się nagły, ufny. – Ilu ludziom moglibyśmy pomóc.

Myślę o ciałach, które pochowaliśmy, i o bólu, który wycierpiałysmy.

Nie sądzę, by na razie to mogło komukolwiek pomóc.

– Racja. – Jej okryta rękawiczką dłoń spoczywa na moim kolanie. – Masz absolutną rację. Jeżeli chcemy komukolwiek pomóc, najpierw musimy nauczyć się to leczyć, kontrolować. Dlatego właśnie musimy zrozumieć, dlaczego to się dzieje.

Powodzenia.

Kręci głową i wydaje mi się, że pod maseczką wyłapuję cień jej uśmiechu.

– Wiem. – Wzdycha. – Pracuję już nad tym od lat, Byatt. Najpierw Błękitniaki, potem irysy, a teraz wy, dziewczyny, niestety wciąż nie robię postępów.

Od lat, myślę, natomiast ona wstaje i wiezie mnie do stołu, na którym leżą rozkawałkowane szczątki kraba. To znaczy, że musiała tutaj być,

zanim dopadł nas Tox. Chociaż na biologii mówili, że Błękitniaki są ciekawym obiektem do badań, nigdy nie przyszło mi do głowy, że ktoś rzeczywiście się tym zajmuje.

Kobieta ustawia mnie tuż przed stołem, wciąż o czymś mówiąc, ale już jej nie słucham. Przede mną leży rozcapierzony krab. Kończyny wycięto z jego ciała, skorupę ostrożnie odłożono na bok, by odsłonić wnętrze. Czekam, aż mój żołądek się zbuntuje, lecz zamiast tego czuję jedynie mgiełkę morską z tego dnia na skałach z Hetty, kiedy skorupiak w moich rękach zrobił się czarny. Był jeszcze żywy, gdy się rozpadł.

Zastanawiam się, czy ze mną będzie tak samo.

– Mam dla ciebie coś wyjątkowego – zagaduje Teddy. Godzina na zegarze wskazuje, że jest po południu, ale nie wiem, jaką mamy datę. Widzę ten sam niebieski kombinezon oraz tę samą maseczkę chirurgiczną. Chyba podobają mi się jego oczy. Są podobne do moich.

Najpierw uwalnia mi lewą rękę, a następnie prawą. Podaje tabliczkę do pisania i zaciska na niej moje palce.

Pozytywnie wyjątkowego?

– A czy może być inaczej? – Uśmiecha się. – Wychodzimy na zewnątrz.

Poważnie?

– Poważnie.

Dlaczego na zewnątrz?

– Doktor Paretta chce, żebyś odzyskała nieco koloru.

Teddy odsuwa zasłonę. Sala jest w nieładzie, łóżka zepchnięto na jedną stronę.

– Sugerowała spacer, wyjście na dwór to mój pomysł – chwali się. – Zamknij oczy, chcę, aby to była niespodzianka.

Chłopak jest podekscytowany i gotowy do pomocy, a zarazem niewidoczny dla tutejszych lekarzy, których obchodziły tylko moje wyniki. Łamię zasady, ponieważ nikt mu ich nie przekazał.

Zaczynam wstawać, ale kładzie mi rękę na ramieniu.

– Pomogę ci.

Podnosi moje nogi. Obraca nimi, by zwiesić je z łóżka. Przez kombinezon jego ręce są zimne, włosy na moich łydkach się elektryzują.

Moja kurtka jest upchnięta w szafce pod ścianą. Teddy pomaga mi ją założyć i zapiąć, a potem przykuca, żeby zawiązać mi buty.

– Dobrze – stwierdza, gdy kończy. – Wszystko gotowe. Potrzebujesz pomocy, aby zejść?

Kręcę głową i stawiam stopy na ziemi. Chyba wracają mi siły. A nawet jeśli nie, to i tak wolę nie korzystać z jego asysty.

Wkładam do kieszeni tabliczkę oraz pisak. Teddy łapie mnie za rękę. Wychodzimy z pokoju i trzy razy mijamy załom korytarza. Zapamiętuję to, w głowie układając mapę. Kiedy mi mówi, że mogę otworzyć oczy, stajemy przed wąskimi, powyginanymi drzwiami. Są jedynie przymknięte, więc przez szparę na dole dostrzegam wysychającą trawę.

– Dalej – nalega, pomagając mi wyciągnąć rękę i je otworzyć.

Uderza we mnie wiatr, szarpie brzegi mojej szpitalnej koszuli. Jest tak zimny, że na pewno stracę czucie, ale nie przeszkadza mi to.

– Oddychaj głęboko. Powoli i spokojnie.

Kiwam głową. Staram się nie połykać łąpczywie ostro-słodkiego powietrza. Drzwi zamykają się za nami, gdy razem wychodzimy.

Ogrodzenie, takie z drutem na górze, uniemożliwia ucieczkę. Wciskają się w nie drzewa, gałęziami torując sobie drogę przez szczeliny. Między płotem a mną ziemia jest niespokojna, unosi się i opada, tworząc wzgórze. Zauważam pęknięcia w miejscach, gdzie mróz wdarł się za głęboko. Napotykam kruche, brązowe podłoże.

– Chodź – mówi Teddy. – Przejdziemy się.

Moje gołe nogi pieką z zimna, pokryte gęsią skórką. Pot chłodzi mnie do kości, ale idziemy dalej. Im bliżej podchodzimy, tym płot staje się wyraźniejszy. Krok za krokiem, aż uginają się pode mną kolana i Teddy mnie podtrzymuje, obejmując w talii. Wreszcie zbliżamy się do linii lasu. Owijam palce wokół metalowych prętów.

Camp Nash. To musi być to. Jeżeli zmrużę oczy, może wyglądać jak Raxter, jak dom.

Teddy coś mówi. Wokół jest zbyt głośno. Opieram tabliczkę o ogrodzenie.

Nic nie słyszę, piszę.

Próbuje ponownie.

– Cholera – klnie. – Jest lodowato.

Ja jednak udaję, że wciąż nic nie zrozumiałam. Potrząsam głową. Wyciągam dłoń i pstrykam palcem w maseczkę chirurgiczną na jego twarzy. Chcę, żeby ją zdjął.

– Nie ma mowy.

Możemy wrócić do środka. Jeśli chcesz.

– Hej, nie bądź taka. Mieliśmy miło spędzić czas na zewnątrz, pamiętasz?

Nauczyłam się tego, kiedy jeszcze byłam mała. Milczenie. Tyle wystarczy, bym osiągnęła to, czego pragnę.

– Wiesz, że naprawdę nie powinienem. – Czeka. A potem wzdycha, chyba, i cofa się o kilka kroków. – No dobrze, ale zostań tam, gdzie jesteś.

Robi to, ponieważ ma dziewiętnaście lat, ponieważ się nie zastanawia. Ponieważ ćwiczyłam ten uśmiech wystarczająco wiele razy, aby wiedzieć, co może działać.

Chłopak sięga za głowę, do miejsca, w którym znajduje się wiązanie maseczki. Dłubie przy supełku, aż w końcu osłona opada. I jest tam. Pełne usta. Ostre rysy szczęki. Teddy.

– Byatt.

Macham, wtedy się uśmiecha. Podnoszę tabliczkę i podpieram ją na biodrze, gdy piszę.

Mogę podejść się przywitać?

– Nie – natychmiast zabrania, wyciągając rękę, by mnie powstrzymać. – Obiecałaś.

Właściwie to nie.

Upewniłam się, że wyglądam tak, jak powinnam – na onieśmiałą i odrobinę zaciekawioną.

– Posłuchaj... – szepcze. – Wiem, że musisz czuć się strasznie samotna na tej sali. Spróbuję wpadać częściej, ja...

Unoszę rękę, wówczas jego głos milknie.

To nie tak, piszę. A kiedy jego oczy się rozszerzają, dodaję: Nie możesz się zarazić.

Wybuch krótkim śmiechem, przypominającym szczeknięcie.

– Naprawdę?

Oczywiście, że nie. Ale wiem, czego chcę.

Faceci są bezpieczni.

Zastanawia się, przygryza wargę, marszczy brwi, a następnie obserwuję, jak jego ramiona opadają, jakby wypuścił powietrze. Czy jest tego świadomy, czy nie, właśnie się poddał.

Robię krok, później kolejny. Nie odzywa się ani słowem. Obserwuje mnie i gdy dostrzegam, że zgina palce – przez kombinezon wygląda to komicznie, lecz mu tego nie mówię – wiem, że jest mój.

Usta ma śliskie i ciemne. Zauważam draśnięcie z boku jego szczęki, plamkę krwi, którą zapomniał zmyć. Zmniejszam odległość między nami. Kosmyk moich włosów się uwalnia i wiatr porywa go do przodu. Muska dolną wargę chłopaka. Patrzę, jak przymyka oczy.

To proste. To nic takiego. Jeszcze trochę bliżej, przechylam głowę, po czym dotykam palcami jego podbródka i prowadzę jego usta do swoich.

Całuje mnie tak, jakby się bał. I dokładnie tak jest, ale nie sądzę, aby mi to przeszkadzało.

Odsuwa się, jedynie kawałek, owija sobie wokół palców kosmyk moich włosów, natomiast drugą ręką muska moje biodro. Widzę, że dręczy go pytanie. Widzę to w jego spojrzeniu, w każdym najlżejszym dotyku.

Opieram tabliczkę o jego pierś, a on się śmieje, kiedy próbuję pisać do góry nogami tak, żeby mógł przeczytać, nie puszczając mnie.

No dalej. Zapytaj mnie.

– Ale o co?

Przewracam oczami. Rzucam mu spojrzenie, wtedy nieśmiało się uśmiecha.

– Zastanawiałem się tylko, jak to właściwie na ciebie wpłynęło.

Biorę jego spoczywającą na moim biodrze dłoń i przesunęłam ją po plecach, gdzie krawędź mojego drugiego kręgosłupa jest wyczuwalna

nawet pod kurtką. Otwiera szerzej oczy, gdy czuje krzywiznę oraz kolce dodatkowej kości.

– Cholera – wypala, a ja tłumię chichot. – Czy każda z was ma coś takiego?

Potrząsam głową.

Niektóre po prostu umarły.

– Ale chodzi mi o...

Wiem.

Sporządzam całą listę: skrzela Mony, oko Hetty, próbuję nawet narysować rękę Reese, lecz u pozostałych dziewcząt były także setki innych paroksyzmów, których już nie pamiętam. Jestem zaskoczona, kiedy widzę to wszystko rozpisane. Sposób, w jaki Tox modeluje nas tak, jak to robi z otaczającymi nas zwierzętami, próbuje zmienić nasze ciała, popycha je dalej, niż są w stanie znieść. Jakby chciał nas ulepszyć, żebyśmy potrafiły się dostosować.

– To brzmi strasznie – stwierdza, gdy kończę. Jego oczy są szeroko otwarte, a twarz poważna. Nie mogę powstrzymać śmiechu.

Na początku zawsze jest ciężko.

– A później?

Później... Hetty, Reese i ktoś, kto mnie potrzebował. Zdziczenie u wszystkich, takie samo jak to, które zawsze czułam w sobie. Jednak tym razem prawdziwe. Nie tylko w umyśle, ale również w organizmie.

Nie tak źle.

– Znajdą rozwiązanie. – Teddy dotyka mojego policzka. Gumowa rękawiczka haczy o moją skórę. – Czymkolwiek jest Tox, zrobią z nim porządek.

Coś porusza się w lesie, jakiś ptak podrywa się do lotu. Chłopak obraca się szybko, żeby tam spojrzeć. Tymczasem ja nie dostrzegam nic poza krzepnącą na wietrze krwią na jego twarzy.

Wracajmy już.

Trafiam z powrotem na salę, do łóżka. Zasłona jest zaciągnięta, kurtka i buty zdjęte. Ręce wolne, a tabliczka do pisania wytarta do czysta.

– Doktor Paretta powinna przyjść za minutę – informuje Teddy. Mruga, po czym ponownie zakłada maseczkę i starannie ją zawiązuje. – Gdyby pytała, powiedz, że bardzo ci się podobało robienie okrażeń po pokoju.

Gdy przychodzi, ma na sobie ten sam błękitny kombinezon. W ręku niesie stos segregatorów, podkładkę oraz ołówek, a także kamerę ze statywem. Jej włosy są ciemne i błyszczące, zaś wokół oczu widzę głębokie zmarszczki. Zastanawiam się, czy pod maseczką w kącikach ust ma podobne.

– Jak się miewasz, Byatt?

Wzruszam ramionami.

W porządku.

– Zmniejszyliśmy dawkę diazepam. Mam nadzieję, że ból nie powrócił. Potrząsam głową. Wskazuję na tabliczkę.

– Była bardzo pomocna, kiedy wczoraj rozmawialiśmy. Jeśli pozwolisz, chciałabym zadać ci jeszcze kilka pytań. – Kładzie kamerę na moim łóżku i zaczyna ustawiać statyw. – Dobrze, wiem, że będzie to nieco niekonwencjonalne. Zwykle przy takim wywiadzie robię notatki, ale ponieważ ty piszesz odpowiedzi, tak będzie łatwiej. – Gdy trójnóg jest już stabilny, wsuwa aparat na stojak.

Co mam robić?

– Wypytam cię o parę spraw, a ty zapisz odpowiedzi i pokaż je do obiektywu. Tylko tyle.

Ekran się odchyła, czerwone światło miga. Paretta siada na łóżku u moich stóp i podpira notatnik na kolanie.

– Zanim przejdę do choroby, zauważyłam coś w twojej karcie, trochę brakujących informacji. Czy możesz opowiedzieć o swojej menstruacji? Czy podczas kwarantanny była regularna? Wiem, że stres i odżywianie mogą mieć duży wpływ na te rzeczy.

Ustała, kiedy zaczął się Tox.

Paretta się pochyla.

– Właściwie to bardzo pomocne, Byatt. A co z dziewczynami, które nie

dostały miesięczki przed epidemią?

Jakoś dotąd nie przyszło mi do głowy, żeby się nad czymś takim zastanawiać. Jednak nikt nigdy nie narzekał, że w dostawach nie ma tamponów ani podpasek.

Nie sądzę, by kiedyś ją dostały.

– Ale wykazują objawy choroby, prawda?

Tak.

– A nauczyciele? – Widzę błysk w oczach Paretty. Słyszę niecierpliwość w jej głosie. – Czy występują u nich takie same objawy, jak u was, dziewcząt?

Choć nie mam pewności, coś mi podpowiada, że ani Welch, ani dyrektorka nie ukrywają pod ubraniami drugiego kręgosłupa. Chorują, owszem. Widziałam rany na ich skórze, widziałam ich szklisty, nieobecny wzrok, gdy trawiła je gorączka. Lecz nie miały tego, co my.

U tych, którzy zostali – nie.

– Czyli wasza dyrektorka i kto jeszcze?

Panna Welch.

– I to właśnie one są najbliższe normalności?

To właśnie one powinny tutaj być, a ja z powrotem w swoim pokoju, z Hetty przyciśniętą tak mocno do mojego boku, że aż brak mi tchu.

Wskazuję gestem pomieszczenie wokół siebie, uśmiechając się z goryczą.

To ich powinniście użyć do swojego lekarstwa.

Paretta czyta tabliczkę i patrzę, jak unosi brwi, a na jej czole pojawiają się zmarszczki.

– Byatt, my naprawdę chcemy tego leku – przemawia po chwili. – Ale jest tak wiele pytań, na które trzeba znaleźć odpowiedzi. Jestem pewna, że rozumiesz.

Nie.

Zachowuje się tak, jakbym niczego nie napisała.

– Z moich akt wynika, że wyłącznie jedną osobę na wyspie uznaje się za mężczyznę. Daniel Harker, zgadza się?

Tata Reese. Przytakuję. Nie mam pojęcia, czego ona jeszcze może ode mnie chcieć. Jeżeli pragnie się czegoś dowiedzieć o panu Harkerze, powinna była wybrać Reese.

– Jak on zareagował? Tak samo, jak dziewczęta?

Owszem, na początku. Był zdenerwowany, identycznie jak niektóre z nas. Gwałtowny. Jednak większość panowała nad sobą, a on, kiedy odchodził, balansował na granicy utraty kontroli.

Nie. Tylko tyle mogę napisać.

– Interesujące – stwierdza Paretta. Gmera przy pliku kartek i coś pośpiesznie na nich notuje. Spora część z tego jest zbyt trudna do odczytania, mimo to dostrzegam słowo „estrogen”, a nad nim „nadnercze”. Wydaje mi się, że pamiętam te pojęcia z wykładu o dojrzewaniu biologicznym, który mieliśmy na drugim roku. Może ma to coś wspólnego z tym, dlaczego nauczyciele umarli, a Tox nie zagnieździł się w nich tak jak w nas.

– Może to zabrzmie dziwnie – zaczyna Paretta. – Ale czy wasza dyrektorka... przekroczyła już ten wiek?

Jakby nie mogła zwyczajnie powiedzieć „menopauza”. Podczas mojego pierwszego roku w szkole dyrektorka odwołała co najmniej dwa apele z powodu uderzeń gorąca.

Tak.

– I czy to prawda – kontynuuje Paretta – że żadna z was nie otrzymała hormonalnej terapii zastępczej?

Z tego, co wiem, to nie.

Pamiętam jednak wykład, który zrobiła nam Welch po tym, jak znalazła prezerwatywę w rzeczach Lindsay. *Bądźcie przygotowane, oznajmiła wtedy, i znajcie swoje możliwości. Wkładka wewnątrzmaciczna może być dla niektórych odpowiednia, lecz dla innych...*

Moment, były tabletki, przypominam sobie.

Zanim jeszcze skończę pisać, ona przegląda już stos kartek.

– Charlotte Welch, dwadzieścia sześć lat. O, widzę. Przepisana antykoncepcja hormonalna. – Spogląda na mnie, uśmiechając się krzywo. – Zgaduję, że ma ograniczony dostęp do tego farmaceutyku, co

z pewnością pozostaje nie bez znaczenia.

Co cię tak bawi?, mam ochotę ją zapytać. Ten ograniczony dostęp to twoja wina!

– Dobrze – dodaje, zamykając kartę medyczną. – Zajmiemy się tym. Teraz, jeśli chodzi o resztę, jestem tu, aby dowiedzieć się od ciebie o wybuchu epidemii. Im więcej informacji poznamy, tym łatwiej będzie nam znaleźć lekarstwo.

Wiadomo, co to jest?

Mam setki pytań, ale to jest najbardziej naglące.

– Nie jesteśmy pewni – przyznaje Paretta. – Nasze testy nie przyniosły zadowalających rezultatów. Jeszcze nigdy nie spotkaliśmy się z podobnym przypadkiem. Wy, dziewczęta, macie bardzo zróżnicowane objawy.

Wy, *dziewczęta* – powiedziała tak, jakby to było coś niewartego, by o tym mówić. Utrzymuję obojętny wyraz twarzy, odsuwając od siebie tę myśl. Pozwól jej sądzić, że nic nie zauważyłaś. Albo lepiej, pozwól jej wierzyć, że cię to nie obchodzi.

– Wiemy jednak, że to nie jest przenoszone przez powietrze – ciągnie. – I nie można zarazić się przez kontakt ze skażoną powierzchnią, ponieważ to powstrzymało roznoszenie się wirusa. Ale potrzebujemy twojej pomocy, żeby dowiedzieć się więcej. Więc, Byatt, zacznijmy od tego, jak było przedtem.

Przedtem? Zanim tu przyjechałam? Zanim Raxter się zmieniło? Zanim dowiedziałam się o jego istnieniu?

W jednej ręce trzymam Boston, rozlewający się między moimi palcami. Cegła i kamień oraz garść ulic zjadających własne ogony. Idę i idę, gubię drogę, ale zawsze wracam. A w drugiej mam Raxter. Brak promu na horyzoncie, kontynent oddala się coraz bardziej i bardziej. Każdego dnia na nowo powstaje woda oraz linia brzegowa. Wszystko tym, czym chce być. Wszystko moje. Należę do tamtego miejsca, bez względu na to, dokąd pójdę.

– Czy jest coś, co od razu przychodzi ci na myśl? Coś dziwnego, odmiennego?

Wzruszam ramionami.

Chyba było normalnie.

Chociaż Hetty o czymś mi wspominała.

W dzień, gdy to się zaczęło, parę dziewcząt urządziło sprzeczkę przy śniadaniu.

– Jak to sprzeczkę? Pokłóciły się?

Bardziej coś na wzór szarpania za włosy, ale nie wiem, nie widziałam tego.

– Dobrze, a kto pierwszy zachorował?

Większość uczennic z ostatniej klasy. Potem nauczyciele w pani wieku.

Paretta parska.

– Nawet nie chcę pytać, ile według ciebie mam lat.

Zaczynam pisać, a ona śmieje się otwarcie, zakrywając dłonią oczy.

Urodzona wczoraj.

– Jak miło.

Dla większości nauczycieli koniec nadszedł szybko. Wydaje mi się, że nasza antyczna pielęgniarka zmarła, zanim jeszcze dosięgnął ją Tox. Zaś kilkoro innych wyszło do lasu tylko po to, aby już nigdy nie wrócić. *Żeby dla was zostało więcej jedzenia*, tak napisali w notatce. Lecz reszta to kobiety w wieku mojej mamy, których włosy dopiero zaczynała przeplatać siwizna; umarły, niczym od gorączki. Zwyczajnie upadały, ale ich palce nie zrobiły się czarne jak nasze.

– A jakbyś oszacowała liczbę dziewcząt, które zostały?

Pojawia się stos akt. Tak wiele imion, tak wiele dziewczyn, które już dawno odeszły. Po jakimś czasie przestałam je liczyć, zawężając mocno granice swojego świata do naszej trójki.

Chyba z sześćdziesiąt, ale nie jestem pewna.

– A twoje przyjaciółki, Hetty i Reese? Jak się czują?

Nigdy o nich nie opowiadałam. Nigdy bym tego nie zrobiła. Pozwalam, aby ciepło odpłynęło, szczęka się zacisnęła, natomiast oczy zwężyły.

Skąd o nich wiesz?

Macha ręką.

– Wiemy o was wszystko.

I znowu. Lekko powiedziane, jak gdyby nigdy nic, tymczasem pigułka, którą mi podała, była oznakowana RAX009. Jeśli ja jestem 009, to czy

któraś z moich przyjaciółek będzie oio?

Nie, one są moje, nie wypuszczę ich!

Dobrze. Każda z nas ma się dobrze.

Wiem, że Paretta chce usłyszeć więcej, ale będzie musiała obejść się smakiem.

Zadałaś już swoje pytania, teraz moja kolej.

Paretta zmienia pozycję na łóżku, niemal niespokojnie. Wygląda jak terapeutki, do których kiedyś wysyłała mnie mama, aż w końcu rodzice zdali sobie sprawę z tego, że nie otworzę się przed nimi tak, jakby tego chcieli.

– Jasne.

Dlaczego ja?

Obserwuję ją uważnie i gdy się do mnie uśmiecha, wyłapuję w jej oczach smutek.

– Będę z tobą szczerą, Byatt – oznajmia. – Nie ma żadnego szczególnego powodu.

Myślę, że spodziewała się, że będzie mi przykro. Ale ponad wszystko czuję ulgę. Nie jestem wyjątkowa. Nie jestem odporna. Mój organizm nie zwalcza choroby lepiej niż inne, a to dobrze, bo tego nie chcę.

Właściwy czas i miejsce?

– Tak. – Wstaje. – Coś w ten deseń.

Dla mnie wszystko zaczęło się od Mony. Wyszła z ambulatorium, a ja nie mogłam w to uwierzyć. Nie mogłam uwierzyć, że ona wciąż żyje. Zapytałam, jak się czuje i co się stało, ale ona nic nie odpowiedziała.

Już miałam odejść, gdy nagle położyła mi rękę po wewnętrznej stronie ramienia. Usłyszałam jej zniekształcony głos.

– Oni to zniszczą.

Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam rozmawiającą z Hetty dyrektorkę. Obserwowała mnie.

Tamtej nocy, po dyżurze Brygady Ogniowej, po paroksyzmie Mony,

wyślizgnęłam się z łóżka, które dzieliłam z Hetty. Gdy wróciłam, powiedziałam Reese, że zesłam na dół. Ponieważ to była Reese, nie zadawała pytań. I dobrze, bo nie mówiłam prawdy.

Tak właściwie poszłam do pokoju Mony. Jej przyjaciółki przeniosły się gdzieś indziej, zostawiając ją samą w sypialni na końcu korytarza. Drzwi były otwarte, zatem weszłam do środka. Z okna sączyło się znikome światło, ale widziałam kształt jej sylwetki na dolnym łóżku.

– Hej – wyszeptałam. – Wciąż żyjesz?

Nie odpowiedziała, więc podeszłam bliżej i potrząsnęłam nią, aż w końcu otworzyła oczy. Wyglądała okropnie, skrzela na szyi trzepotały powoli, ich brzegi były postrzępione i zakrwawione.

– Odejdź – powiedziała.

Zamiast tego uklęknęłam przed nią. Nie chciałam wychodzić, dopóki nie dostanę tego, po co przyszłam.

– Co miałaś na myśli dziś rano w holu?

Usiadła. Pomału, jakby to była najtrudniejsza czynność na świecie. W końcu skrzyżowała nogi i na mnie spojrzała. Jej rude włosy lśniły tak słabo, że prawie bym to przeoczyła. Wzięła głęboki oddech. Kiedy już myślałam, że się nie odezwie, sięgnęła ręką i przesunęła drżącym palcem po lamowanej blaszce swoich skrzeli.

– Zatrzymałabyś to, gdybyś mogła – stwierdziła. – Prawda?

Nie mogłam udawać, że nie wiem, o co jej chodzi. Hetty płakała, gdy straciła oko, czasem też przyłapuję Reese, jak patrzy na swoją pokrytą łuskami rękę, jakby wołała po prostu ją odciąć. Ja nie miałam nic przeciwko. Wykrwawiałam się i krzyczałam, ale taka była cena spokojnego snu.

– Nie – skłamałam. – A ty?

Wyglądała na bardzo zmęczoną. Niemal zrobiło mi się jej żal.

– Wracaj do łóżka, Byatt.

Nie mogłam jeszcze pójść do pokoju, zatem zesłam na dół. Wędrowałam wzdłuż głównego holu, chodząc po szczelinach między deskami. Rozmyślałam o Monie, o sobie oraz o tym, że zdecydowanie bym to zatrzymała.

Zatrzymałabym, gdyż sądzę, że właśnie na coś takiego czekałam przez całe życie. Czekałam, kiedy wreszcie burza w moim ciele dopasuje się do tej w umyśle.

To tam znalazła mnie Welch. Powiedziałam jej, że mam bóle głowy. Dotknęła mojego czoła, zaprowadziła do ambulatorium, a następnie pobrała krew. *W razie czego*, stwierdziła, *na wszelki wypadek*. Potem kazała mi odejść. Gdy wróciłam do siebie, wdrapałam się do łóżka Reese, Reese, która nigdy nie wymusiłaby na mnie kłamstwa.

Gdybym tylko nie rozmawiała z Moną. Gdybym tylko nie opuściła tamtej nocy swojego pokoju. Przychodzi mi na myśl milion innych wariantów, ale żaden z nich nie wydaje się możliwy. Zawsze kroczyłam swoją ścieżką. To zawsze po prostu się działo.

ROZDZIAŁ 12

– A jak się czułaś?

Wzruszam ramionami.

– Żadnego stresu? Nic, na co zareagowałaś szczególnie emocjonalnie? Przecież wiele przeszłaś.

Nigdy wcześniej nie widziałam tej kobiety. Weszła za Paretą. Nie przedstawiła się, tylko od razu przysunęła sobie krzesło obrotowe do mojego łóżka, jakby ten pokój należał do niej.

– Czy jest coś, co sprawia, że czujesz się niezręcznie? – pyta.

Kobieta ubrana jest tak, jak zazwyczaj Paretta. Taki sam kombinezon ochronny oraz maseczka chirurgiczna, chociaż jej zrobiona jest z przezroczystego plastiku. Chyba po to, żebym poczuła z nią jakąś więź, ale to jedynie zniekształca dolną część jej twarzy.

– Byatt? – ponagla.

Odwracam wzrok, pochylając się nad tabliczką.

Nie czuję się niezręcznie, mam ochotę napisać, czuję się znudzona.

Zamiast tego zadawałam się tym: Nie.

– Nie?

Nie niezręcznie.

Kiwa głową, prostując się. Patrzą w dół, na kołdrę okrywającą mi nogi.

– Wiesz, jak mam na imię? – podpytuje.

Nie.

– A chciałabyś wiedzieć?

Wskazuję na tabliczkę do pisania.

– Dlaczego nie?

Trzymam usta zamknięte, mrugam do niej powoli, wtedy kiwa głową, jakby to coś znaczyło.

– A czym się zajmuję? – docieka. – Chiałabyś wiedzieć?

Jesteś terapeutką.

– Skąd wiesz?

Wywracam oczami.

– Byłaś już kiedyś na terapii?

A jak myślisz?

– Spróbujmy czegoś innego – proponuje. Znam ją. Jest na rynku od niedawna, ale podobnych do niej spotkałam tysiące. Właśnie tak na mnie patrzą, gdy się przed nimi nie otwieram.

Podnosi podkładkę do pisania i pokazuje mi cienką, oprawioną książkę, którą trzymała pod spodem. Granatowa, z wytłoczonym złotym napisem. Rozpoznaję ją. Rocznik Raxter. Ostatni, który powstał przed Toxem, obejmujący jedyny pełny rok mojego pobytu.

Sięgam po tabliczkę.

Skąd to masz?

Nie odpowiada. Otwiera rocznik i powoli go kartkuje.

– To był twój pierwszy rok w Raxter, zgadza się? Rok przed Toxem? Nie pojawiaasz się tu zbyt często.

Wzruszam ramionami.

Nie lubię zdjęć.

– Och, spójrz, tu jest jedno. – Podaje mi książkę.

Kładę ją sobie na kolanach.

Rozpoznaję siebie, Hetty i Reese, jak siedzimy w rzędzie na sofie w głównym holu. Hetty jest skierowana twarzą do mnie, opowiadając o czymś, z kolei Reese znajduje się na oparciu kanapy za mną i zaplata mi włosy w warkocz. Uśmiecha się – tylko nieznacznie, ale jednak – a ja się śmieję, mam zamknięte oczy oraz pochyloną do tyłu głowę. To niemal mogłoby być obecne Raxter, lecz na fotografii kanapa jest pluszowa i plisowana, natomiast w tle na parapecie stoi wazon irysów.

– Kto to jest? Twoje przyjaciółki?

Uważniej pochylam się nad kartką. Oczy Hetty są ciepłe, szeroko otwarte z radości. Prawie zapomniałam, jak wyglądała, gdy jeszcze miała oba sprawne.

– To jest Hetty, prawda? Hetty Chapin? A to pewnie Reese Harker.

Kiedy terapeutka się przybliżyła, zamykam książkę i wkładam ją pod swoją tabliczkę. Kolejna z grupy Paretty, zadająca bez powodu pytania o moich znajomych. Nie pozwolę, by Hetty albo Reese była następną dziewczyną w tym łóżku.

Dlaczego chcesz wiedzieć?

Przechyliła głowę, siada i składa ręce na kolanach.

– Starasz się je chronić, w porządku, rozumiem. Ale Byatt, one są bezpieczne. Panna Welch i dyrektorka się nimi zaopiekują.

Coś we mnie pęka. Wyskakuję z łóżka. Zbyt szybko. Wiruje mi w głowie. Terapeutka patrzy, z jedną dłonią umieszczoną na przycisku alarmowym na końcu mojego łóżka. Do nagłych przypadków.

– Byatt – mówi. – Chcę, żebyś usiadła z powrotem.

Świat się kurczy. Niewyraźny, zmienny, z wyjątkiem żyłki na szyi kobiety. Widzę, jak pulsuje. Mrugam i jestem nad nią. Mrugam i ona naciska guzik alarmowy. Słyszę jego wycie. Mrugam, a moje kolano jest wbite pod jej zębra, jej przedramię zaciska się mocno w moich dłoniach, kombinezon się rozrywa. Mrugam i moje paznokcie wbijają się w jej ciało.

– Byatt! – ktoś wrzeszczy. – Co ty robisz?!

Czyjeś ramiona zaciskają się wokół mojej talii i unoszą się w powietrzu. Uderzam głową o podłogę. Terapeutka przyciska rękę do piersi, krew płynie z niej wstęgami. Dwie zakrzywione szramy głęboko rozorały jej nadgarstek. Moje wargi są mokre i klejące.

Zaczynam się uśmiechać, wszystko dookoła mnie jest jasne i nowe, po czym znika i znów jestem sama. Ktoś trzyma dłoń na moich ustach. Czuję ukłucie w ramieniu, a potem ciemność.

Trzask. Uderzenie w twarz sprowadza mnie do rzeczywistości. Dyszę ciężko.

– Weź ją stąd. Chodźmy.

Nade mną miga światło. Leżę w swoim łóżku, znowu mam przywiązane ręce. Moje oczy zaczynają łapać ostrość, kształty zmieniają się w ludzi, a pochylająca się nade mną Paretta jest pierwszą rzeczą, którą

dostrzegam.

– Weź jej nogi – warczy.

Ktoś zaciska, wiąże moje uda razem. Gdy pasy napinają się mocniej, coś we mnie rzuca się rozpaczliwie. Konwulsje. Kolejny pas na biodrach, kostkach oraz nadgarstkach. Po raz pierwszy również na ramionach. Sięgają aż do czoła i szczęki.

Skrećam się, próbuję ześlizgnąć, żeby mieć więcej miejsca na biodra. Paretta pcha mnie z powrotem na materac.

Pasek jeszcze nie przyspilił mojego podbródka, więc rzucam głową na boki. Będę krzyczeć. Będę i zranię nas wszystkich, ale lepiej wszystkich niż tylko siebie.

– Nie pozwól jej się odezwać! – krzyczy Paretta.

Ktoś za mną chwyta mnie za głowę obiema rękami. Teddy, twarz Teddy’ego. Gładzi moje włosy.

– Już dobrze – powtarza raz za razem. – Mam cię, uspokój się.

I faktycznie niemal jest w porządku. Lecz wiem, czego wypatrywać. I widzę, jak to się zbliża. Uderzenie gorąca na jego policzkach. Błysk strachu w oczach chłopaka, widoczny jedynie przez moment.

Zaczyna się od torsji, przetaczających się przez jego ciało, pot spływa mu na czoło. A później niekończące się dreszcze. Całym ciężarem zwała się na mnie, po brodzie cieknie mu ślina. Zrywa maseczkę, wypluwa coś, co ląduje na mojej piersi. Odłamek czegoś jasnego i błyszczącego. Kość.

– Teddy. O Boże! – Paretta jest przy nim w jednej sekundzie, pomagając mu wstać, ale jego kończyny opadają jedna po drugiej. – Teddy, słyszysz mnie? Teddy!

Zupełnie zapomnieli o mnie. Zostawili mnie na łóżku z pasami przypiętymi na tyle luźno, że mogę się przekreślić i zobaczyć, jak chłopak leży na ziemi. Oczy ma całkiem białe. Przez jego ciało przebiegają niewielkie dreszcze.

Po chwili jest już na noszach, zabierają go. A ja zostaję.

HETTY

ROZDZIAŁ 13

Budzę się na dźwięk swojego imienia. Reese delikatnie mną potrząsa. Moja skóra jest wilgotna, pot przesiąknął przez koszulkę, a gardło boli, jakbym powstrzymywała się od krzyku.

– Już czas – szepcze. Wokół nas panuje cisza. Z pozostałych pokoi nie dobiega żaden szmer, który mógłby ją zakłócić. Księżyc znajduje się tak wysoko, że nie spostrzegam go przez okno. Musi być już po północy. O tej porze roku jeszcze przez kilka godzin słońce nie dotknie nieba, ale trawnik jest szklisty i jasny od mrozu. W lesie powinniśmy widzieć wyraźnie nawet bez latarki.

Wstajemy. Poruszamy się powoli, uważnie stawiając kroki. Gdy docieramy do drzwi, dopada mnie wahanie. W tej chwili Byatt wciąż żyje. Tylko tyle wiem. Jeśli stąd wyjdę, będę się trzymać tej myśli. Naginać ją, aby sprawdzić, czy się złamie.

– Gotowa? – pyta za mną Reese.

Byatt żyje. Żyje i potrzebuje mnie w taki sam sposób, w jaki ja zawsze potrzebowałam jej.

– Tak.

Przechodzimy przez próg i kierujemy się w dół korytarza. Reese zaciągnęła kaptur na włosy, żeby ukryć bijący od nich blask. Idzie tak blisko mnie, że czuję, jak jej palce ocierają się o moje. Wszyscy śpią, a jeżeli nie, to są cicho, zatem przemykamy obok pozostałych sypialni i swobodnie schodzimy na półpiętro.

Przyczajamy się na szczycie schodów. Wytężam wzrok, by znaleźć w ciemności sylwetkę dziewczyny, która zwykle strzeże wejścia. Zastanawiam się, czy pomoże zabrać Byatt do domu Harkera, czy też Welch zrobi to sama.

W strumieniu srebrzystego światła padającego z okien nie dostrzegam nikogo, ale może to wyłącznie przez moje ślepe oko, więc szturcham Reese.

– Gdzie ona jest?

– Nie wiem – odpowiada. Kiedy na nią spoglądam, marszczy brwi. – Ktoś powinien stać na straży.

– Musiała zmienić harmonogram.

Obie wiemy dlaczego, nawet jeśli żadna nie mówi tego na głos – Welch nie chce, aby ktokolwiek widział, co zamierza zrobić. Szansa zarówno dla niej, jak i dla mnie, i nie zamierzam jej przepuścić.

– Wyjdźmy na zewnątrz.

Schodzę powoli po pierwszych stopniach, ponieważ moje oko walczy z odróżnieniem kształtów w ciemności. Stawiam krok za krokiem, aż razem z Reese u boku docieramy na parter. Nadal nikogo – żadnych strażniczek, które by nas złapały, żadnych śladów Welch.

Czy jesteśmy za wcześnie? A może za późno?

Reese uchyla jedno skrzydło podwójnych drzwi. Wymykam się za nią na zewnątrz, zatrzymując się na moment w przedsionku, kiedy uderza mnie chłodne, zimowe powietrze, przenikające przez kurtkę. Mam przeczucie, że dziewczyny z Brygady Ogniowej dostały dzień wolnego, tak samo jak osoba, która miała pilnować drzwi, ale ostrożności nigdy nie za wiele.

Po zachodzie słońca Brygada Ogniowa zawsze zapalała latarnię. Czekam, aż Reese mocno zaciągnie kaptur na włosy i wyskoczy w noc, wyglądając na taras na dachu.

– Nic – informuje. Jej oddech ginie w mroku w obłokach pary. – Dobra nasza.

A więc wszystko odbywa się w tajemnicy. Nawet nie chcę myśleć o tym, co to może oznaczać dla Byatt.

Idziemy dalej wzdłuż kamienistej ścieżki i docieramy do zagajnika świerkowego przy płocie. Reese czeka, podczas gdy ja zdrętwiałymi palcami wykopuję strzelbę. Zamarznięty brud wpija mi się pod paznokcie. Jest dokładnie tam, gdzie ją zostawiłyśmy, i powinnam się cieszyć, ale przecież nigdy tego nie chciałam. Ani broni w rękach, ani tego, że życie mojej najlepszej przyjaciółki może zależeć ode mnie.

Przez chwilę myślę o notatce przyczepionej szpilką do tablicy informacyjnej w głównym holu. *Zachowajcie kwarantannę*, napisali.

Przestrzegajcie zasad, to wam pomożemy.

Nóż przy pasku oraz dubeltówka w dłoniach. Od półtora roku niebo pozostaje puste, brakuje leków, a ciała płoną na tyłach szkoły. Same musimy sobie pomóc.

Kiedy dochodzimy do bramy, ruszam przodem. Otwieram ją tak ostrożnie, jak tylko mogę, żeby nie pociąć sobie palców o odłamki szkła, które przywiązałyśmy do prętów. Każdy może otworzyć ją od wewnątrz, ale wówczas furtka się zamknie. Jedyłą szansą na powrót będzie klucz zwisający u pasa Welch.

– Jesteś pewna tej północnej strony? – podpytuje Reese. Ma na myśli mój plan powrotu. Może nie plan, a raczej możliwość, lecz jestem raczej pewna, że uda nam się przejść przez płot po północnej stronie wyspy w miejscu, w którym styka się on z klifem.

– Tak pewna jak tego, że tutaj stoję – odpowiadam i to musi wystarczyć. Nie mamy innej opcji.

Gdy wchodzimy między sosny, Reese prowadzi. Drzewa rosną tu blisko siebie, igły tworzą dywan z zielonej zgnilizny, świeży i mokry. Mimo że wyspa się zmieniła, mimo że to ja jestem tą, która była na zewnątrz w lesie już po tym, jak stał się obcy i złowrogi, myślę, że to ona wciąż zna go najlepiej. Wszystkie jesteśmy dziewczynami z Raxter, ale nie w tym stopniu co Reese.

Czasami opowiadała nam o wyspie. O sekretnych miejscach, które znalazła – o plażach, do których można dotrzeć wyłącznie podczas odpływu, o ścieżkach wijących się pośród traw. Opowiadała nam o tym, jak ojciec budził ją w środku nocy i zabierał na skalisty brzeg, aby zobaczyła, jak fale szklą kamień bioluminescencyjnym blaskiem – chłodną bielą, niczym refleksy jej włosów. Te kilka pierwszych dni szkoły, po wakacyjnej przerwie, wyglądała przez okno, wciąż piegowata i opalona, ze spojrzeniem, jakby została tutaj uwięziona.

Gdybym tylko potrafiła postrzegać las w ten sam sposób. Zamiast tego wszędzie widzę coś, czego należy się bać. Każdy dźwięk zwiastuje zbliżające się do nas niebezpieczeństwo. Opieram się na strzelbie

i przypominam sobie, że mam raptem dwa strzały.

Wchodzimy tak głęboko w las, że prawdopodobnie gdybym się odwróciła, nie zobaczyłabym w ciemności płotu. Nad nami baldachim gałęzi przepuszcza jedynie najcieńsze wstęgi księżyca. Mam ochotę poprosić Reese, by zdjęła kaptur, żeby bijący z jej włosów poblask oświetlał nam ścieżkę, ale nie możemy ryzykować, że zobaczy nas Welch lub ktokolwiek, z kim zamierza się spotkać. Trzymam się więc blisko niej, ufając, że jej oczy lepiej radzą sobie w ciemności niż moje.

Gdzieś w oddali słyszę trzask pękającej gałązki i stajemy, wciskając się plecami w pień sosny. Czekamy. Może to Welch. Albo coś innego, znacznie gorszego. Moje serce zaczyna walić, a nerwy są napięte. Cokolwiek się zbliża, w ciemności jesteśmy bezpieczniejsze niż za dnia, jak wtedy na wyprawie Brygady Łódzkiej. Na pewno.

– Hej – szepcze Reese. Przykuca nisko, opierając się o drzewo. – Myślę, że wszystko w porządku.

Co tu może być w porządku?

– Naprawdę?

– Tak. – Wstaje i kiwa na mnie głową. – To tylko jelenie.

Zaglądam zza jej ramienia i przez plamę światła księżyca dostrzegam kroczącą ku nam parę samców. Z tej odległości wyglądają dobrze, prawie normalnie, lecz wiem, że z bliska zobaczyłabym ich napęczniałe pod skórą żyły, niczym wzory koronki. I wiem, że gdybyśmy je rozcięli, ich ciała szarpałyby się, jakby wciąż żyły.

Gdy byłam jeszcze w Brygadzie Ogniowej, zastrzełybyśmy je tak, jak inne zwierzęta. Tak jak wszystko, co podeszło zbyt blisko nas. Dla bezpieczeństwa, mówiła Welch. Ale to tylko jelenie i zawsze się zastanawiałam, w jaki sposób mogłyby stanowić dla nas zagrożenie.

– Chodźmy – stwierdza Reese. – Wydają się niegroźne.

Potrząsam głową.

– Niech najpierw nas miną.

– Dobrze – mówi, trochę zbyt głośno, bo nagle pyski zwierząt się obracają. Analizują cienie zalanyimi bielą oczami. Wstrzymuję oddech. Może są ślepe.

Nie mamy tyle szczęścia. Jeden z nich stawia niepewny krok w naszą stronę i kiedy otwiera paszczę, wydaje zduszony okrzyk. Siekacze są długie, lśniące i mokre – ostre jak u kojota.

– Dubeltówka – pospiesza Reese. Stara się zachować spokój, mimo to naciska mi na rękę, wypychając mnie przed siebie. Jeleń podnosi łeb. – Cholera, Hetty, szykuj broń.

– Ktoś może usłyszeć strzał.

Cofa się.

– To był twój pomysł.

To tak, jak na dachu, myślę. Tak, jak zawsze robiłam.

Strzelba spoczywa wygodnie na moim ramieniu. Mrużę oko przez celownik. Ten strzał nie należy do trudnych, ale zwierz zaczyna się poruszać. Zbliża się, a ja mam zaledwie dwa naboje.

– Reese – mamroczę. – Trzeba było ukraść więcej amunicji.

– Co?

Strzelam. Odrzut mnie odpycha, lecz trafiam do celu, pocisk zanurza się głęboko w boku jelenia. Wyje, gdy tylne nogi się pod nim zapadają. Kilka jardów dalej drugi jeleń skacze między drzewa, futro ma zjeżone.

Zwierz rzuca się słabo, skomlać i kwiląc, kiedy z jego rany zaczyna sączyć się krew, po czym gromadzi się na zmarzniętej ziemi. Podchodzę bliżej do leżącego samca, wówczas on unosi głowę. Przysięgam, że patrzy wprost na mnie.

– Jak myślisz – zagaduje Reese. – Skrócić jego cierpienie?

– Nie – chrypię. Nie ma tu miejsca na złe samopoczucie. Gdyby się znalazło, musiałybyśmy czuć również wszystko inne.

Idziemy dalej w mrok. Gdy oglądam się za siebie, drugi jeleń wraca na oświetloną księżycem polanę, staje nad pierwszym i pochyla łeb. Patrząc, jak rozrywa zębami zranionego towarzysza. Po chwili widzę w jego paszczy kawałki mięsa, krew plami białe futro na jego gardle.

Powinnam być zaskoczona, ale czuję tylko cień zrozumienia. Na Raxter każdy taki jest. Zrobimy wiele, aby przetrwać.

Poprawiam dubeltówkę na ramieniu i podążam za Reese. Jesteśmy coraz bliżej jej domu.

Reese zaprosiła nas do siebie dopiero wiosną pierwszego roku. Wszystkie trzy spędzałyśmy ferie w kampusie – Byatt nie chciała wracać do domu, więc ja też nie – i kiedy znów zaczęły się lekcje, Reese stała się w jakiś sposób bardziej przystępna. Nadal się nie uśmiechała, wciąż była cicha i zamknięta w sobie, ale podczas lunchu zaczęła pozwalać mi wpychać się przed sobą w kolejkę. Na angielskim pożyczyła mi swój egzemplarz Szkarłatnej litery, gdy zobaczyła, że zgubiłam własny. Powiedziała, że już to przeczytała, chociaż wiedziałam, że to nieprawda.

Któregoś wieczoru przyszła na kolację bez swojego mundurka. W dni powszednie, od świtu do nocy, obowiązywały nas spódniczki i kołnierzyki, a ona paradowała w dzinsach oraz starej, porozciąganej bluzie.

– Pomyślałam, że mogłybyśmy zjeść u mnie – zaproponowała.

Wyszłyśmy za nią przez podwójne drzwi, następnie ruszyłyśmy ścieżką do miejsca, gdzie stały dwa oparte o ogrodzenie rowery. Nigdy nie miałam swojego, stąd nie nauczyłam się jeździć, dlatego czekałam i starałam się nie wyglądać na zaniepokojoną, kiedy Byatt wsiadła na jeden z nich. Pamiętam, że zastanawiałam się, czy mnie zostawia. Teoretycznie Reese mnie nie zaprosiła. Nie wymieniła imion.

– Dalej – ponagliła Byatt. – Siadaj na kierownicy.

– Ludzie robią tak tylko w filmach – zauważyłam. Mimo to usiadłam okrakiem na kole i przesunęłam się na ramię.

Wieczorami nie ściemniało się już tak szybko, więc gdy jechałyśmy ścieżką, wszędzie świeciło słońce, a jego blask docierał aż do oceanu. Chciałabym móc powiedzieć, że zamknęłam oczy i odchyliłam głowę. Zamiast tego poprosiłam Byatt, żeby zwolniła.

Dom Reese stał przycupnięty na plaży, nachylony, o niskim stropie, jakby wyrastał z trzciny. Kiedy się zbliżyłyśmy, za budynkiem zobaczyłam wchodzący w ocean dok oraz dwie podskakujące na falach, zacumowane łodzie wiosłowe. Z ganku machał do nas pan Harker, wysoki i barczysty. Włosy miał starannie przycięte w taki sam sposób, jak mój pracujący w marynarce wojennej tata.

– Udało ci się – pochwalił i zszedł po schodach, by pomóc mi zgramolić

się z roweru Byatt. Pamiętam, że przebywanie tak blisko niego sprawiało, że zaczynałam robić się nerwowa. Widywałyśmy go przez okna klasy czy po drugiej stronie błoni, gdy kosił trawnik lub czyścił rynny, jednak to mężczyzna i jego stwardniała dłoń na moim ramieniu. Zapomniałam, że mogłabym się tego obawiać.

Lecz to tylko moment. Dotknięcie materiału.

Weszliśmy do środka, do jedyne go długiego pokoju, z którego składał się cały budynek. Jedzenie pachniało cudownie, znacznie lepiej niż to w szkolnej jadalni, a na ścianie wisiały zdjęcia: Reese ucząca się pływać, Reese w połowie wspinaczki na drzewo, uśmiechająca się do aparatu. Przez cały wieczór nie mogłam oderwać od niej wzroku. To było tak, jakbym dopiero w domu jej ojca, z niedopasowanymi meblami i otwartymi na oścież tylnymi drzwiami, wreszcie ją zrozumiała.

– Mam nadzieję, że wewnątrz wygląda dobrze – zagadał do nas, kiedy Reese zabrała talerze do kuchni. – Rzadko miewamy gości.

– Wygląda świetnie – powiedziałam i naprawdę tak myślałam. Nigdy nie tęskniłam za swoim domem, aż do tamtej nocy.

Po wszystkim wraz z Byatt czekałyśmy na końcu drogi, podczas gdy Reese żegnała się z tatą. Pochylała się, mówiąc coś, czego nie słyszałam, a potem pan Harker się roześmiał i przyłożył dłoń do jej czoła.

Byatt odwróciła wzrok, ale ja nie. Patrzyłam, jak Reese się uśmiecha i wywraca oczami. Usłyszałam, jak mówił:

– Nadal w dobrej formie.

Mój ojciec wciąż przebywał w trasie, dzień po dniu. Nigdy się tak dobrze nie znaleźliśmy.

Niebo spowił róż, pojawiały się też pierwsze, ledwo widoczne gwiazdy. Całą drogę powrotną przejechałyśmy w milczeniu.

Wciąż mam ten dzień w pamięci, obraz jej domu jest tak wyraźny, jakby zdarzyło się to wczoraj. Jasnozielone ściany, białe wykończenia, niedawno zainstalowane okna i nowe gonty na dachu – naprawy po huraganie z poprzedniego roku.

Chwilę temu przecięliśmy drogę prowadzącą na północną stronę wyspy. Czuję, że zbliżamy się do wybrzeża. Ziemia pod naszymi stopami jest wilgotna i sprężysta, a w powietrzu wyraźnie wylapuję zapach soli. Poprawiam broń, wyginam palce, aby przywrócić im uczucie, po czym idziemy dalej.

Kiedy drzewa zaczynają się przeredzać, pojawia się więcej blasku, z kolei księżyc maluje srebrem wszystko dookoła nas. Wciąż nie ma śladu Welch. Mijamy sosny, które stają się smukłe i pochylone, aż w końcu linia drzew się urywa. Przed nami otwiera się wybrzeże oraz szeroka równina trzcin, za granicą których widzę, jak coś przebiega nisko nad wodą.

– Czy to...

– Doki – kończy za mnie Reese. – Tak.

Nie zauważam ani jednej zacumowanej łodzi, nie dostrzegam także żadnej żywej duszy. Na razie wydaje mi się, że jesteśmy tu tylko my. Z pewnością usłyszałybyśmy coś, gdyby było inaczej, albo zobaczyłybyśmy jakieś światło. W końcu Welch nie ma powodów, żeby się ukrywać, tak samo jak osoba, z którą się spotyka.

Łatwiej jest podążać za linią drzew niż przedzierać się przez krzaki, więc idziemy skrajem lasu. Rogoża zaczepiają się o nasze ubrania. Nadal rozmyślam o tym, jak zapamiętałam pierwsze odwiedziny w jej domu, dlatego nie orientuję się, gdy Reese staje i na nią wpadam. Przecież to jeszcze nie tutaj.

Spoglądam ponownie. Faktycznie już jesteśmy na miejscu. Blask księżycy ślizga się na falach, a kiedy te rozbijają się o brzeg, delikatna lodowata mgiełka morska rozpryskuje się i osiada na mojej skórze, zapierając dech. Budynek wyrasta krzywo z trzcin, lub raczej to, co z niego zostało.

Weranda przechyla się na jedną stronę tak, jakby otrzymała cios. Deski podłogowe popękały, pośrodku ziele dziura, porosty pełzają po murach. Ściany pokrywa mech i ciągnący się bluszcz. Tymczasem w centrum, z samego serca domu, dach rozpada się wokół wyrastającej samotnie brzozy papierowej⁶ o szerokim pniu oraz sięgających wysoko gałęziach.

Zerkam na Reese. Jej twarz jest rozluźniona i pogodna, ma w sobie tę miękkość, którą prawie pamiętam z pierwszych dni, gdy ją poznałam.

– Jest piękna – próbuję. I naprawdę tak myślę. – Nigdy nie napotkałam tak dużej brzozy.

Po Toxie wszystko rośnie szybciej. I równie szybko się rozpada. Minęło półtora roku, a to miejsce praktycznie roztrzaskało się na kawałki. Chciałabym być zaskoczona. Chciałabym, żeby to wydawało się dla mnie dziwne. Reese nic nie mówi. Nie sądzę, aby choćby mrugnęła, odkąd zobaczyłyśmy budynek. Wsuwam strzelbę pod pachę i szturcham ją łokciem.

– Myślisz, że oni tam są? Nie widzę żadnego światła – szepczę. Nie wspominam o tym, że w ścianach są wystarczająco duże szczeliny, bym mogła przejrzeć całość na wylot.

Wciąż nie odpowiada. Patrzy jedynie na to, co zostało z jej domu. Zastanawiam się, czy dobrze zrobiłam, przyprawdzając ją tutaj. Może to zbyt wiele dla jednej dziewczyny. Wtedy ona nagle wyrывa się w poblize ganku.

– Czekaj – syczę, ale to nie ma sensu. Śpieszę za nią, poprawiając uścisk na dubeltówce. Została tylko jedna łuska i mój nóż na wszelki wypadek. Muszę być silna.

Do środka wdarły się termyty. Po framudze drzwi biegną labiryntem ich ślady tak głębokie, że zdążyłaby się zawalić, gdyby nie brzoza, która podparła od dołu jedną z jej krawędzi. Reese jest już w środku, więc przechodzę za nią, część ościeżnicy zamienia się w pył pod moimi palcami.

Nade mną brzoza rozwidła się i rozrasta, rzucając bukiety srebrnego blasku. Większość dachu zniknęła, jego płyty prawdopodobnie zabrały wiosenne sztormy. Zamiast tego gałęzie unoszą się na podobieństwo krokwi, a korzenie wplatają się w deski podłogowe, przywodząc mi na myśl katedrę, którą zwiedzałam na wakacjach z tatą podczas jego urlopu w Neapolu. Czułam się tam tak, jakby moje stopy miały zaraz oderwać się od ziemi.

Niespodziewanie przez roztrzaskane ściany przebija się głos, z kolei promień latarki rozlewa się po podłożu. Welch tu jest.

Strach przeciska mi się przez pory niczym pot, a broń wyslizguje się ze zdrętwiałego uścisku. Łapię Reese za ramię i wyciągam ją na zewnątrz przez tył domu. Potykamy się, depcząc płatki irysów. Przed nami widać

cienki pasek plaży oraz leżącą po prawej stronie przystań. Welch spotyka się z kimś, kto mógł przyjść z dowolnego kierunku. W każdej chwili mogą nas schwytać, rzucić na kolana i zastrzelić.

Weź się w garść, myślę sobie, już nie ma odwrotu.

– Ruszamy – zarządzam. Tuż za linią drzew rośnie kępa sosen, która powinna nas osłonić.

Docieramy tam w samą porę. Kucam, moje mięśnie są sztywne i obolałe. Kładę dubeltówkę na udach i wyglądam spomiędzy pni drzew na widoczny przed nami budynek. Promień latarki staje się coraz mocniejszy, oświetlając część trzciny tak, że wydają się półprzeźroczyste. Mrużę powieki, moje ślepe oko pulsuje. Odnoszę wrażenie, że rozpoznaję ludzką sylwetkę, ale ktokolwiek to jest, porusza się powoli w pochylonej pozycji. Czy to Welch?

– Podnieś swój koniec wyżej.

Podskakuję na dźwięk jej głosu. Wydaje się dobiegać z tak bliska. Do kogo to mówi? Do Byatt?

Minuty zdają się ciągnąć w nieskończoność, lecz wreszcie spomiędzy drzew w blask księżyca wychodzi Welch. Pochyliła się nad czymś. Ktoś jej towarzyszy, jednak ich twarze pozostają w cieniu. A potem się prostują – Taylor. Taylor, która opuściła Brygadę Łódziową i mam przeczucie, że właśnie to było powodem.

Między sobą dźwigają podłużną torbę na zwłoki. Przyciskam dłoń do ust, tłumiąc wymykający się pisk. Nie, nie, nie. To nie tak miało być. Powiedziała, że nam się uda. Obiecała!

Może to nie ona, myślę w obłędzie. A może jest tylko nieprzytomna, ale wciąż żyje i czeka, aż ją ocalę. Muszę wiedzieć, nie wolno mi się poddawać.

– We trójkę byłoby łatwiej, wiesz – oznajmia Taylor, kiedy opuszczają ładunek między trzciny. Nie porusza się. Ktokolwiek znajduje się wewnątrz, tkwi tam nieruchomo, a ja nawet nie chcę rozważać, co to może oznaczać.

– Och – jęczy Welch. – Niby kogo byś poprosiła? Carson jest wrzodem na dupie, natomiast Hetty nie wchodzi w grę.

Zanim zdążę pomyśleć, co to stwierdzenie może oznaczać, znów odzywa się Taylor.

– Dobrze sobie radzi?

Szttywnieję. To jest to. Jeżeli Welch wie, że ją podejrzewam, wszystko się skończy. Moje życie tutaj, ta nowa rzecz z Reese, której wręcz boję się nazywać. Wszystko.

Kobieta jedynie wzrusza ramionami.

– Wystarczająco dobrze – stwierdza, wtedy tłumię westchnienie ulgi. – Ale niewystarczająco dobrze do tego.

– To może Julia? – sugeruje Taylor.

– Nie prosiłabym jej o to. – Przez chwilę brzmi na tak młodą, jak w istocie jest. – Ona mnie chyba za bardzo nie lubi.

Taylor się śmieje.

– Jeśli nie lubisz Carson, to nie masz co się dziwić.

– Brakuje mi cię na wyprawach. – Welch wyłącza latarkę i chowa ją do kieszeni kurtki. Obserwuję, jak zatrzymuje się na moment, aby splunąć czymś, co musi być krwią. – Bez ciebie to już nie to samo.

– W ten sposób bardziej się przysłużę – tłumaczy Taylor. Mam ochotę nią potrząsnąć. W ten sposób wcale nikomu nie pomaga. – Po tym, co stało się z Mary... Wiesz, zasługiwała na lepszy los. Tak samo jak pozostali.

Mary, dziewczyna Taylor, która stała się groźna i dzika niczym zwierzę. Taylor była tą, która musiała się nią zająć, zabić. Krążyła plotka, że to ją zabiło, ale teraz wiem, że to nieprawda. To tylko zmieniło ją w coś znacznie gorszego.

Welch odchodzi krok od torby. Zatrzymuje się na sekundę, z rękami na biodrach patrząc w dół. Odbijające się od oceanu światło księżyca rzuca cień i nie mogę rozpoznać wyrazu jej twarzy, za to jej ramiona opadają, niemal w geście porażki.

– Naprawdę myślałam, że tym razem zrobiłyśmy to dobrze – przemawia w końcu. – Wiesz? Wydawało się, że czuje się lepiej.

– Cóż – odzywa się Taylor. – Jednak nie.

Wiedziałam. Oczywiście, że wiedziałam, bo przecież torba leży nieruchomo, lecz słyszeć, jak ktoś mówi o tym głośno, to zupełnie co innego. Sosny wokół otaczają mnie coraz ciaśniej i ciaśniej. A na dodatek Taylor żartuje sobie, jakby nie miało to znaczenia, jakby wcale nie

przewróciła całego mojego świata do góry nogami. Reese przyciąga mnie do piersi i mocno przytula. To jedyna rzecz, która podtrzymuje mnie na duchu.

– Dobra – rzuca Welch. – Kończmy z tym.

Podnoszą ciało, wówczas Reese chwyta mnie za rękę, gdy obserwujemy, jak przenoszą je do domu. Ból przeszywa mi bark, migocze i szarpie. Staram się wyrwać, aż uświadamiam sobie, że to ja trzymam się jej tak mocno, że pokryte łuską palce wbiły się głęboko w moją skórę.

– Daj spokój. – Czuły głos Reese pobrzmiwa tuż przy moim uchu. – Ona żyje, jasne? To Byatt. Ona znieśie wszystko.

Kiwam głową, mimo to w torbie znajduje się czyjeś ciało, dlatego nie wiem, ile jeszcze wytrzymam. Jak długo uda mi się podtrzymać nadzieję w sercu.

Tracę z oczu Welch i Taylor, kiedy polyka je wewnątrz budynku. Dopiero po chwili dostrzegam przez szczeliny w ścianach fragment twarzy Welch. Promień latarki odbija się od białej kory brzozy.

– Odłóżmy ją – proponuje kobieta. – Zanim odpadnie mi ramię.

Przygryzam wargę, żeby nie krzyczeć. *Ja*. To się dzieje naprawdę...

– Gdzie oni są? – Taylor zastanawia się głośno. Musi mieć na myśli osobę, która była wtedy po drugiej stronie krótkofalówki.

– Przyjdą po nią – zapewnia Welch. – Możemy ją tutaj zostawić.

– A co z...

Naraz rozlega się syczący dźwięk, po czym dom eksploduje czerwienią. Przez dziury w ścianie zauważam trzymającą racę Welch, a także iskrzący się krwawy blask.

– To powinno powstrzymać zwierzęta – przekonuje. Przesuwam się na bok, aby mieć lepszy widok, gdy mocuje racę między gałęziami brzozy.

Z wnętrza budynku słyszę głos Taylor.

– Więc to by było na tyle?

Cisza. Wbijam wzrok w ciemność. Welch stoi twarzą do drzewa, obserwując coś na pniu. Przez długi czas milczy, a potem odwraca się przodem do Taylor.

– Tak – przytakuje. – Wracajmy już.

– Zaczekaj – mówi cicho Reese, jak gdyby wiedziała, że zaledwie sekundy dzielą mnie od tego, żeby wskoczyć do środka i rozerwać worek. – Jeszcze chwilę.

Welch wychodzi na zewnątrz, a Taylor podąża tuż za nią. Wygląda tak, jakby zaraz miało ją zemdlić. Wbrew własnej woli czuję ukłucie litości. Może wcale się o to nie prosiła. Tak samo jak ja.

Ruszają ścieżką, zatem śledzę między drzewami promień ich latarki. Coraz mniejszy i słabszy, aż zupełnie znika. Wstaję, gałęzie pękają pod moimi stopami. Nie czekam na Reese, po prostu chwytam broń i za jej pomocą toruję sobie drogę przez trzciny. Nie wiem, ile mamy czasu, zanim pojawią się inni. Nie zaprzepaszczę swojej szansy.

Podchodzę do czerwonego światła. U podstawy brzozy leży torba z czarnego plastiku i gumy. Zatrzymuję się na krótko, strzelba spada na ziemię.

To jest to. Koniec. Albo dopiero początek.

Ostrożnie obchodzę krawędź pakunku i klękam obok niego. Rozmyślam o tym, kiedy ostatnio widziałam Byatt. Jak pochyliłam się nad nią tak samo, jak teraz. Jak patrzyła na mnie, jakby mnie potrzebowała.

Proszę, myślę, sięgając po zamek.

Plastik się rozstępuje. Drżącymi rękami rozpinam suwak, wtedy dostrzegam bladą, ziemistą skórę, poczerwiałe palce, jakby zanurzone w atramencie, oraz kręcone, czerwone włosy.

Mona.

Rozdziera mnie szloch. Upadam do przodu na dłonie, łapiąc oddech. To nie ona. Nie ona, nie ona, nie ona...

– Hetty?

Reese podchodzi bliżej i dotyka moich pleców. Zamykam oko. Całe moje ciało dygocze z ulgi i podejrzewam, że gdybym teraz wstała, nogi mogłyby odmówić mi posłuszeństwa.

– To Mona – wyduszam. Jest mi przykro, ale jednocześnie nie mogę i nie chcę powstrzymać uśmiechu.

– Cholera – klnie Reese. – Gdzie, do diabła, jest Byatt?

Przykuca obok mnie i zaczyna zapinać torbę. Ja jednak nie patrzę już na

rozdętą twarz Mony. Moją uwagę przykuwa coś innego – pień brzozy, na który spoglądała Welch, zanim odeszła.

Wstaję i przechodzę nad ciałem Mony.

Kora się zwija, błysk racy rzuca długie, dziwaczne cienie, ale to widzę. Słabo wyryte niepewną ręką, lecz dla mnie rozpoznawalne. BW. Byatt Winsor.

– Ona tu była – mamroczę. To najlepsze uczucie na świecie. Słodka, kojąca ulga. – Spójrz, była tutaj. Żywa.

Czekam, aż Reese jak zwykle powie, że się mylę, tymczasem ona milczy. Kładzie tylko podbródek na moim ramieniu i jej policzek przysuwa się do mojego. Kora brzozy jest gładka, a moje palce zostawiają ślady krwi w miejscach, gdzie srebrna dłoń Reese przecięła mi skórę.

– Myślisz, że za nami tęskni? – pytam. Pragnę, żeby któregoś dnia Byatt mi powiedziała, że chciała do nas wrócić tak bardzo, jak ja pragnęłam ją odnaleźć.

Upływa chwila, a potem Reese odsuwa się ode mnie, chowając w cień. Odwracam się do niej. Oczywiście, że za nami tęskni, wystarczyłoby zaledwie tyle. Ale Reese jedynie na mnie patrzy, nie mówiąc ani słowa.

Unoszę brwi.

– Co jest?

Światło racy wyodrębnia krzywiznę jej ust, gdy się uśmiecha.

– Naprawdę nie chcesz znać odpowiedzi na to pytanie.

– Nie, daj spokój. – Możliwe, że ją prowokuję, lecz nie mogę znieść sposobu, w jaki na mnie patrzy. Jakby wiedziała coś, czego ja nie wiem. – Powiedz.

– Ja tylko... Myślę, że znasz inną Byatt niż ja – wyjaśnia Reese, wkładając ręce do kieszeni. – Ponieważ nie jestem pewna, czy ona kiedykolwiek w życiu za czymś tęskniła.

– Jesteśmy jej najlepszymi przyjaciółkami, Reese. – Mrugam od nagłego przyływu łez. Czuję, jak spływają i zamarzają na moich rzęsach. Nie może mieć racji. Po co to wszystko, jeśli Byatt nie chce do nas wracać? – Jej najlepszymi przyjaciółkami – powtarzam. – Nie uważasz, że to ma dla niej znaczenie?

– No cóż... – Głos Reese staje się twardy, pobrzmiwa w nim ostrzegawcza nuta. – Bądźmy szczerze. Głównie byliście wy dwie, a dopiero później ja, i to jest w porządku. Ludzie są skomplikowani i tak już jest. Ale nie ma co udawać.

Czuję ukłucie wstydu, bo ma rację. Nienawidzę siebie za to, mimo to jestem z tego dumna – dumna, że zbliżyłam się do Byatt bardziej niż kiedykolwiek. Lecz nigdy jej tego nie powiem.

– Myślę, że to bardzo egoistyczne – oznajmiam zamiast tego. – Wkurzać się na to teraz, gdy Byatt jest Bóg wie gdzie i przechodzi Bóg wie jakie męczarnie.

– Nie wkurzam się. – Wzrusza ramionami. – Mówię tylko prawdę.

Nigdy nie powinnam była jej ze sobą zabierać. Powinnam wiedzieć, że ona tego nie zrozumie.

– Więc dlaczego tu jesteś? – Wokół nas pochyłają się połatane ściany budynku, brzoza łśni, a inicjały Byatt naznaczone są krwią. – Po co tutaj w ogóle przyszłaś?

Reese nie odpowiada, ale widzę odpowiedź w smutku ukrytym w jej oczach, w zaciśniętych ustach – wszystko to krzyczy jedno i to samo: *Dla ciebie, Hetty!*

Tego już za wiele. Nawet nie mogę jej powiedzieć, że o to nie prosiłam, bo przecież prosiłam, wielokrotnie. Ja robię to dla Byatt, a Reese robi to dla mnie.

Kurwa.

– Potrzebuję odrobiny powietrza – oświadczam.

Potykać się, wychodzę na tyły domu, na coś, co kiedyś było małym podwórkiem. Dookoła mnie rosną irysy, ich łodygi uginają się pod moimi stopami i myślę o wazach pełnych tych kwiatów, które trzymałyśmy wszędzie w szkole. Gdy spadały im płatki, czerniały przy brzegach. Wspominam wysuszony bukiet, schowany pośród zdjęć na kominku Harkerów. Bukiet ślubny jej rodziców, Reese powiedziała mi o tym w dniu naszych pierwszych odwiedzin. Nawet po tym, jak mama odeszła i usunęli wszystkie jej zdjęcia, tę jedną pamiątkę postanowili zachować.

Czy naprawdę była tego taka pewna? Że głównie jesteśmy ja i Byatt, a dopiero potem ona? Nieważne, jak bardzo chciałam być bliżej Reese, nie

zmieniało to faktu, że to Byatt była tą, która co rano czekała na mnie na śniadaniu. Byatt była tą, która przycięła mi włosy i pokazała, jak je ułożyć. Byatt była tą, która umieściła kości w moim ciele.

Opadam na ganek, kładę zdrętwiałe dłonie na ustach i chucham, by przywrócić im czucie. Teraz liczy się Byatt. Ona jest najważniejsza. Wkrótce ludzie z drugiego końca krótkofalówki przyjdą po Monę. Gdziekolwiek ją zabiorą, będzie tam Byatt. A ja znajdę sposób, aby się tam dostać.

Podaję Camp Nash, gdzie mieści się siedziba Marynarki Wojennej oraz Centrum Kontroli i Zapobiegania Chorobom. Gdy myślę o zabranej z Raxter Byatt, ściska mnie w żołądku. Nie znałam jej poza wyspą. Najbliższy temu był ten dzień na promie, kiedy zobaczyłam ją po raz pierwszy. Za jej plecami rozciągało się morze, a na horyzoncie szkoła. Jej włosy rozwiewał wiatr. Jeśli znajdę ją na kontynencie, czy nadal będzie moją Byatt?

Nagle z wnętrza budynku wydobywa się jakiś odgłos. Zrywam się na równe nogi i sięgam po dubeltówkę. Ktoś coś mówił, i to nie była Reese.

Wpadam do środka. Nie ma tam nikogo oprócz nas.

– Słyszałaś to? – pyta Reese.

Kiwam głową.

– Może to Welch wraca? Albo ktoś z Camp Nash?

– Brzmiało jakoś inaczej – przekonuje. – Jakoś znajomo. Nie wiem.

– Tam. – Wskazuję przez roztrzaskane ściany.

Coś porusza się za drzewami, idąc w naszą stronę. To sylwetka mężczyzny.

ROZDZIAŁ 14

Unoszę broń. Jest zbyt ciemno, by dostrzec twarz, ale jego postura wydaje się znajoma. Coś nie pozwala mi pociągnąć za spust.

– Halo?! – wołam.

Nie odpowiada, lecz jest coraz bliżej, prawie w budynku. Mogę sobie wyobrazić, jak wchodzi na ganek. Kształt jego sylwetki wypaczony przez stare szkło w oknach Raxter. Dźwięk jego głosu przebija się przez warkot silnika kosiarki. Teraz przechodzi przez drzwi. Słyszę miękkie skrzypienie ocalałych desek podłogowych na werandzie. Podnosi głowę, ma rozciętą koszulę i szramę na policzku, ale znam go. Rozpoznaję go nawet w mroku.

To pan Harker.

– Tata? – Reese wstrzymuje oddech.

A potem mężczyzna wchodzi w czerwony blask światła racy i już wiem, że jednak nie.

– O Boże. – Mój własny głos brzmi obco, stłumiony i odległy. – Reese, tak mi przykro.

To jego twarz, jego ciało, lecz nie sędzę, żeby zostało cokolwiek jeszcze. Skórę ma wyblakłą oraz rozciągniętą, a z ust wystają mu korzenie. Z uszu i spod paznokci wyrastają gałęzie, które zwisają wzdłuż ramion. Nie mruga, lecz oczy wciąż ma te same, źrenice rozszerzają się, kiedy nas obserwuje.

Jest tu sam na sam z Toxem od ponad roku. Czego my się spodziewaliśmy?

– Nie! – huczy Reese. Chwytam ją za rękę i odciągam o kilka kroków. Ledwo stoję na nogach, natomiast ona potyka się i pada na kolana. – Nie, tato, nie!

Ale to nie on jest tutaj z nami.

– Musimy iść – pospieszam. – No chodź, Reese. Już.

Mężczyzna na mnie patrzy, przekrzywia głowę, rozchyła wargi,

a następnie bierze długi, charczący wdech. Zauważam czarne, popękane zęby i zielone gniazdo z tyłu jego gardła. Czuję od niego stęchły, kwaśny odór, tak ostry, że mogę go niemal posmakować.

Podnoszę dubeltówkę, gotowa wycelować, lecz Reese odpycha mnie z dzikim błyskiem w oczach. Tuż za nią pan Harker posuwa się naprzód, krok po kroku, winorośl wije mu się z ust.

– Nawet się nie waż – warczy Reese. Jej nagle przenikliwy głos się załamuje.

– Proszę – błagam. – Musimy uciekać.

Za późno. Pędy płaczą się po nogach Reese, wzdłuż kręgosłupa, a kolejny owija się o rękę, szarpiąc ją do tyłu. Słyszę krzyk i pęknięcie kości. Jej prawe ramię wyskakuje, po czym zwisa nienaturalnie z panewki.

Rzucam się za nią, wyciągam zza paska nóż. Uderzam raz i drugi w pnącza, które ją trzymają. Pan Harker ryczy, odchyła się i ciągnie ją ze sobą.

– Hetty! – wrzeszczy Reese.

Dubeltówka. Wypalam mu w samo serce, ale nie przynosi to efektu. Warczy tylko i zawęża się mocniej na barku Reese, okręca liany dookoła jej szyi i zaczyna ścisnąć.

Mogłabym uciec. Mogłabym się uratować i wrócić za ogrodzenie, z powrotem do domu. Pozostał mi już wyłącznie nóż. A jaki z niego pożytek przeciwko panu Harkerowi?

Jednak nie mam wyboru. Ruszam na niego. Uchylam się przed najgrubszą winoroślą, gdy zmienia kierunek. Wyczuwam, że ciernie orzą mi plecy. Skaczę na mężczyznę i razem upadamy na ziemię. Na wargach mam smak pyłu, na skórze zadrapania od kory. Kozik wypadł mi z dłoni i rozpaczliwie staram się wymacać go na wilgotnej glebie.

Łodyga zaciska się na mojej kostce, rzuca mnie na plecy. Ocieram się palcami o swoje ostrze, niestety jest za daleko.

– Reese! – wołam. – Weź go!

Nigdzie nie mogę jej znaleźć, nie widzę niczego poza mrocznym blaskiem, kiedy pan Harker się na mnie przewraca. Jego posiniaczone kończyny, gąbczaste od zgnilizny, są blisko mojego gardła. Uderzam,

próbuję go zrzucić, ale zaciska uścisk. Konary wiją się wokół mojej talii, unieruchamiając mnie. Jeden ślizga się po szyi, krzyczę, gdy zaczepia się naokoło szczęki i otwiera mi usta.

Na języku czuję jego gorzki smak i krztuszę się, drapiąc rozdętą twarz pana Harkera. Jego skóra odkleja się niczym kawałki papieru. Zostaje mi pod paznokciami, miękka i papkowata.

– Hej! – dociera do mnie wrzask Reese. Nacisk zmniejsza się na moment, a następnie w górze błyska srebrna dłoń przyjaciółki. Uderza swojego ojca, odsyłając go ponownie na ziemię, mój nóż tkwi głęboko w jego ramieniu.

– Szybko – ponagliam. – Przyszpil go!

Ale Reese jedynie obserwuje, ma rozchylone wargi. To nie ma sensu, już nie.

Rzucam się w dół, blokując zebra pana Harkera kolanami, i przyciskam go do podłoża. Ryczy, napina mięśnie i na mnie patrzy. Wiem, że patrzy. Ja i ojciec Reese, twarzą w twarz.

Krzyczę, kiedy mężczyzna się podnosi. Kolce, odłamki gałęzi oraz ciernie rozcinają mi skórę. Mocno chwytam rękojeść. Wyszarpuję broń z jego ręki, po czym zanurzam ją w piersi. Ciało rozpada się i puchnie, unosząc się jak piana. Żółć spływa mu do ust, a potem skapuje po brodzie, gdy ostrzem próbuję poszerzyć rozcięcie w jego skórze.

– Nie! – Reese woła gdzieś za moimi plecami.

Ale nie słucham. To już nie jest on. Zapieram się mocno, kładę dłoń na jego łokciu, kiedy wciskam klingę głębiej i głębiej, i zaczynam w nim gmerać. Gdzie jest w tym wszystkim serce? Musi być!

Sczerniała krew ścieka mi po palcach, ostrze jest bardziej tępe, niż myślałam. Jego rana się poszerza, a on sam staje się coraz słabszy. Mniejsze korzenie pękają, odrywają się. W końcu wyrywam nóż, odrzucam go na bok i przekopuję się przez poszarpaną skórę.

Gnije od środka. Tkanka nakrapiana jest pleśnią, zapach tak kwaśny i piekący, że boli mnie oko. Coś przemyka mi po rękawie kurtki, najpierw jeden, później drugi, i kolejny, aż w czerwonym świetle racy dostrzegam błysk setek skrzydlatych chrząszczy wypełzających z rany.

Dławię się własnym wrzaskiem. Zanim zdążę się poruszyć, pnąca

przesuwają się po moich plecach i oplatają szyję. Ściska mocniej i mocniej, kłują mnie wbijające się drzazgi, czuję rozlewające się fale bólu. Ale teraz jest słaby, tryska z niego krew. Chwytam winorośl i łamię ją na dwie części. Rzucam się na niego, jego twarz się rozpada, a wargi rozchylają się coraz szerzej.

Ponownie zagłębiam palce w jego pierś, naciskam całym ciałem, aż trafiam na coś, co może być kością. Jednak błysk światła uświadamia mi coś innego. Wklęśłe, zakrzywione i wygięte żebra to gałęzie. Zahaczam pod nimi palce. Zaczepiam kolano pod jego brodą i ciągnę, cal po calu.

Aż wreszcie. Trzask. Widzę to w jego klatce piersiowej. Bijące serce, pokryte krwią. Ulepione z ziemi, igieł sosny, lecz wewnątrz jest coś jeszcze, coś więcej, coś żywego. Nie zastanawiam się dwa razy. Chwytam je obiema rękami i wyrywam z mokrym plaśnięciem.

Oczy pana Harkera się zamykają. Wszystko wiotczeje. Pozwalam, by serce wypadło z moich drżących dłoni i pochylam się na bok, żeby zwymiotować.

Kiedy kończę, siadam, wycieram ślinę z podbródka. Czekam na poczucie winy, czekam na ucisk w żołądku. Przecież znam to uczucie. Od wyprawy Brygady Łódzkiej, od zniknięcia Byatt. Zaczynam myśleć, że jestem do tego stworzona.

Pan Harker jest martwy, ale ja nie. Poczucie winy nie nadchodzi. Zrobiłam to, co musiałam. Utrzymałam nas przy życiu.

Wstaję, moje nogi są chwiejne, a ręce zdrętwiałe, gdy znajduję nóż i wsuwam go z powrotem do pętli pasa. Jeżeli to było najgorsze, czym może nas uraczyć zdziczały las, ostatecznie może nie być tak źle.

Kiedy się odwracam, Reese już tam jest. Jej prawe ramię zwisa pod takim kątem, że robi mi się słabo.

– Trzymasz się? – pytam. – Musimy coś z tym zrobić.

Zerka ponad mną na wrak swojego ojca.

– Zabiłaś go. – Jej oczy są puste, a twarz blada i zmizerniała. – Naprawdę to zrobiłaś.

Jest w szoku. To wszystko. Otrząśnie się, zrozumie, że nie było innego wyjścia.

– Musiałam nas ocalić – wyjaśniam tak delikatnie, jak tylko potrafię. – Przykro mi, ale...

– On nie żyje. – Głos ma płaski, pozbawiony emocji.

– Albo my, albo on.

Nie odpowiada, więc podchodzę bliżej i odgarniam warkocz z jej zranionego ramienia. Nie wygląda na całkowicie wyrwane ze stawu, lecz gdy próbuje się wyrwać, sapie, a kolor odpływa jej z twarzy.

– Powinniśmy się temu przyjrzeć, nie uważasz? – przemawiam cicho.

– Nic mi nie jest – zapewnia, chociaż się na mnie osuwa. Patrzę, jak zamyka oczy, wyczuwam jej drżenie. – Odzyskałam go – szepcze. – Myślałam, że go straciłam, a później odzyskałam.

– To nie był on.

– Rozpoznał mnie. – Otwiera oczy i kiedy nasze spojrzenia się spotykają, wyraźnie widzę w nich oskarżenie. – Natomiast ty mi go zabrałaś.

– On chciał nas zabić – tłumaczę, czując narastającą frustrację. Musiałam nas ocalić. Dlaczego to wydaje się dla niej bez znaczenia?

– Lepiej mnie niż jego – wyrzuca z siebie. – Lepiej nas niż jego.

Nie znałam jej od tej strony. Nawet w gniewie Reese zawsze jest opanowana, zawsze trzyma się kupy. Ale ta dziewczyna, ta Reese przede mną, rozpadła się na kawałki. Jest rozdarta, a jej serce roztrzaskane.

– To niedorzeczne – stwierdzam. – Miałam pozwolić ci zginąć? Miałam poświęcić siebie? Reese, to już wcale nie był twój tata.

Odpycha mnie, zranione ramię zwisa bezwładnie u jej boku.

– Nie, to był on, był tutaj.

– Nie był. – Moja cierpliwość się wyczerpuje. – Słuchaj, nie możesz zwać na mnie tego gówna wyłącznie dlatego, że jesteś zła na siebie.

– Niby za co? – Zastyga nagle i wiem, że czeka, aż popełnię błąd, powiem coś nie tak. Dobrze. Proszę bardzo.

– Zła na siebie za to, że pomogłaś mi go zabić. – Wygląda na dotkniętą, ale nie przerywam. – Nie tylko ja trzymałam ten nóż.

Przez chwilę nie reaguje. A potem uśmiecha się i mówi:

– Pierdol się, Hetty.

Opada mi szczęka. Owszem, zdarzało się, że mnie raniła, lecz aż do tego momentu nigdy nie robiła tego specjalnie.

– Jeśli tak mi dziękujesz za ocalenie życia – oświadczam – to powinnam była pozwolić mu cię zabrać.

Śmieje się, strasznie, beznamiętnie. Czekam, aż przestanie. Ale nie milknie. Pochyliła się, opierając srebrną dłoń na kolanie, a dźwięk wciąż rozbrzmiewa, wrywając się z niej niczym serce pana Harkera z jego piersi.

– Reese – zaczynam. Muszę to zatrzymać, zanim przerodzi się w coś gorszego. Jednak nim dam radę powiedzieć cokolwiek więcej, dookoła nas rozlega się dudnienie. Zbliżający się warkot silnika. Podrywamy się obie, śmiech Reese zamiera. To musi być ta osoba, która miała spotkać się z Welch.

Dośkakuję do tylnych drzwi i wyglądam na zewnątrz. Dostrzegam dryfującą w doku łódź, silnik ma ustawiony na jałowym biegu, zaś w środku widzę spuchnięty kształt ludzkiej sylwetki o proporcjach zniekształconych przez kombinezon ochronny. Podobny do tych, jakie mieli na sobie lekarze, którzy pojawili się w pierwszym tygodniu Toxu, zmierzili nam temperaturę, pobrali krew, a później zniknęli w swoich helikopterach, by nigdy więcej nie wrócić.

– Cholera – mamroczę, śpiesząc z powrotem do Reese. Chwytam dubeltówkę, wsuwam ją pod pachę. – Musimy się stąd wydostać.

Przez szczelinę w ścianie zauważam kłęb plastiku, gdy postać w skafandrze opuszcza łódź. Jeżeli teraz się nie poruszymy, zobaczą nas i dowiedzą się, że złamałyśmy kwarantannę. I wszystko się rozpadnie.

Reese potrząsa głową, odsuwając się ode mnie.

– Nie. – Uparta jak zawsze. Przynajmniej tyle zostało z dawnej Reese. – Nie zostawię go.

– Ktoś tu idzie – informuję. Jest tak niemożliwa, że nieświadomie podnoszę głos. – Musimy stąd zniknąć!

– Nie mogę. – Patrzy na ziemię, na swojego ojca z rozoraną klatką piersiową i leżącym obok sercem, z którego wciąż sączy się krew. Jego czarne zęby lśnią złowrogo w czerwonym blasku. – Jedynie on mi został. Nie mogę...

Tracę opanowanie. Owijam ramię wokół jej talii i odciągam ją w stronę drzwi. Z początku walczy, drapiąc mi dłoń pokrytymi łuską palcami. To boli, ale musimy iść. Czy ona tego nie rozumie? Musimy uciekać!

Potykam się, mijając brzozę, a następnie wryte inicjały Byatt, i Reese w końcu odzyskuje władzę w nogach. Biegniemy. Wyskakujemy z budynku do lasu, po czym przez rosnące ciasno sosny przemy dalej i dalej w gęstwinę. Słyszę coś za plecami, lecz nie mogę spojrzeć, nie mogę nic zrobić, tylko gnać przed siebie. Dubeltówka uderza mnie w żebra, gdy tracimy równowagę. Przedzieramy się przez krzaki, hałasując oraz zostawiając ślady. Gałęzie chwytają mnie za włosy i ciągną za ubranie. Kiedy wrócimy do domu, będziemy wyglądać jak straszdyła, ale dotrzemy tam. Uda się.

W końcu wypadamy na drogę, znajomy widok przynosi mi ulgę. Nadal panuje mrok, a my jesteśmy wystarczająco daleko od szkoły, żeby nikt nas nie zauważył, więc zatrzymuję się i odwracam, aby zlustrować las za nami. Brak woskowego przebłysku kombinezonu ochronnego. Wyłącznie my i cisza.

– Chyba jest dobrze – dukam. Reese tego nie komentuje. Gdy spoglądam w dół, opiera się na kolanach, jakby miało ją zaraz złamać w pół. – Przecież mówiłaś, że nic ci nie jest.

– Bo nie jest – odpowiada stanowczo. Jej oddech jest powolny i udręczony, a twarz w świetle księżycy biała jak papier.

Nie staram się jej pomóc. Wyciągnęłam ją z tego domu, mimo że wciąż bolą mnie jej słowa. Na razie tyle wystarczy.

– Wstawaj. Musimy przeskoczyć przez płot.

Nie możemy przejść przez bramę, zatem kierujemy się na północną stronę wyspy, gdzie ogrodzenie kończy się wielkimi ceglanyimi kolumnami na krawędzi urwiska. Będziemy musiały wspiąć się po nich, nad siatką, i wrócić na teren szkoły.

Wiem już, gdzie się znajdujemy, a Reese nie jest w stanie nikogo dokądkolwiek poprowadzić, dlatego biorę dubeltówkę, pochylam się i podciągam przyjaciółkę do pozycji stojącej. Poniosłabym ją, ale nawet gdybym dała radę, to nie sądzę, żeby ona mi na to pozwoliła.

– No dalej – ponaglam. Coraz bardziej czuję jej ciężar, kiedy chwiejnym

krokiem idziemy wzdłuż drogi.

Gdy docieramy do płotu, na niebie pojawiają się już pierwsze smugi światła. Nie potrafię zmusić się do spojrzenia w okolicę dachu. Jeśli jest tam ktoś z Brygady Ogniowej, niech zastrzeli nas tu i teraz, niech wszystko się skończy. Jednak nikogo tam nie ma, a my podążamy dalej równolegle do linii drzew, które napierają na ogrodzenie. Gałęzie pożądliwie prężą się przez żelazne kraty aż po sam skraj wyspy.

Morska mgiełka osadza mi się na skórze. Z jednej strony naciskają sosny, z drugiej siatka, a dalej grunt się urywa. Tylko klif, granit wytarty przez wiatr i dwudziestostopowy spadek do wody poniżej. Spoglądam na budynek. Wszystkie okna są ciemne, na dachu nie płonie latarnia. Nikt nas nie szuka. Na zewnątrz też nikogo nie widać, jak okiem sięgnąć – zaledwie pusty ocean oraz nieskończone szeregi fal.

Płot kończy się wraz z krawędzią klifu, tworząc ceglastą literę „T”, tak wielką i tak blisko skraju, że nie da się jej obejść. Zarówno nam, jak i zwierzętom. Ale w zaprawie dostrzegam ślady zadrapań i zębów. A więc mimo tego próbowały się przedostać.

Powoli wlokę Reese i podpieram ją o betonową kolumnę. Dziewczyna zbladła, jej oczy są szkliste i wytrzeszczone.

– Hej. – Potrząsam nią lekko. Gładzę po policzku. Jej skóra jest zbyt zimna, zbyt anemiczna. Może to szok. Pamiętam trzask jej ramienia, sposób, w jaki krzyczała. Potrzebuje bardziej profesjonalnej pomocy, niż możemy sobie pozwolić. – Wróć do mnie – próbuję. – Reese, to ja.

Mruga, ale tak powoli, jak gdyby to była najtrudniejsza rzecz na świecie.

– Jestem taka zmęczona – chrypi.

– Wiem, to już ostatni wysiłek, dobrze?

Tutaj. Żelazne pręty oraz mur układają się pod odpowiednim kątem, a między ceglami jest wystarczająco dużo przerw, by znaleźć kilka punktów oparcia, móc podciągnąć się i przerzucić na drugą stronę. Pomagam Reese wstać, po czym ją obracam.

– Widzisz? – Wskazuję miejsce w kolumnie na wysokości kolana, gdzie jakieś zwierzę wyrwało fragment muru. – Spróbuj. Będę cię asekurować.

Jej prawa ręka zwisa u boku, bezużyteczna i w złym stanie, ale Reese jest silniejsza niż ktokolwiek, kogo spotkałam. Nawet po tym wszystkim

podpiera ranne ramię o ogrodzenie, wciska stopę w pęknięcie w cegle, a potem podnosi się ze stłumionym jękiem. Jej pokryta łuskami dłoń zdziera luźny tynk. Z dziwnym rodzajem dumy rosnącym w piersi rejestruję, jak przeciąga swoje ciało przez płot.

Zostawiła zadrapania w cegle, co ułatwia mi podążanie jej śladem. Wkrótce zeskakuję ze szczytu kolumny i z sykiem ląduję na zniszczonym trawniku. Tym razem po innej stronie, na terenie szkoły. Jesteśmy w domu.

Reese chwieje się na nogach i łka. Nawet blask jej włosów sprawia wrażenie przygaszonego, jakby cała odpływała.

– Idź na górę – szepczę. – Odłóż tylko dubeltówkę do stodoły i do ciebie wrócę.

Kiwa głową i wydaje mi się, że zaraz coś powie – może przeprosi za to, co miało miejsce w jej domu – ale wtedy odwraca się i naciąga kaptur, a jej sylwetka znika w półmroku świtu.

Zakradanie się do stodoły przychodzi mi z taką łatwością, że wciąż oglądam się za siebie, tylko czekając, aż z cienia wyjdzie Welch i przystawi mi pistolet do czoła, jednak nikt się nie pojawił. Skoro to było łatwe, to najtrudniejsza będzie sprawa z Reese.

Kiedy wracam, ona jest już w naszym pokoju. Siedzi na moim łóżku, ściskając zranioną rękę. Przez chwilę po prostu ją obserwuję. Przyglądam się grze światła na jej skórze. To jej życie wywróciło się do góry nogami, nie moje. Muszę być tą, która znów nas pogodzi.

– Hej – zagaduję. – Wszystko w porządku?

Chichocze, kręcąc głową.

– W porządku?

– Wybacz, głupie pytanie. – Przynajmniej ze mną rozmawia. Wchodzę głębiej do pokoju, zamykając za sobą drzwi. – Pozwól mi zerknąć na to ramię.

Nie odpowiada, więc omijam ją i sięgam po swoją poduszkę. Nadal ma poszewkę, chociaż większość pozostałych została zszyta w prowizoryczne

koce. Zdejmuję ją i zaczynam zrywać z niej boczny szew.

– Nie sądzę, by całkowicie wypadło ze stawu – stwierdzam, ale to nie dlatego jest zła i obie zdajemy sobie z tego sprawę. – Zrobię temblak, żebyś miała podpórkę.

Pomagam Reese przytulić prawą rękę do torsu, a następnie zawiązać wokół niego poszewkę. Nachylam się nad nią, aby utworzyć węzeł w temblaku, i zamieram, gdy czuję, jak z drzeniem wypuszcza oddech, opierając czoło o moją pierś.

– Co, do diabła, mu się stało? – szepcze.

– Nie wiem – mówię. – Był tam na zewnątrz przez długi czas.

Ponadto, mam ochotę dodać, on nie był taki jak my. Tox połknął go w całości w sposób, jakiego nie widziałam u żadnej dziewczyny z Raxter.

Jeszcze jedna chwila i kończę, przesuwam kciukiem po jej karku, a potem opadam na łóżko obok niej.

– Może jutro uda nam się dostać prawdziwy bandaż. Albo jakieś środki przeciwbólowe.

Nie reaguje. Nie jestem nawet pewna, czy wciąż oddycha. Nie mogę pozwolić na to, aby zapadła się w sobie, nie mogę pozwolić, by Tox zwyciężył.

Wyciągam dłoń, kładę ją na jej kolanie i ściskam. Żeby ją uspokoić, przypomnieć, że jestem przy niej. Ale się odsuwa.

– Reese?

– Nie – burczy. Poruszam się, gdy ona podrywa się na nogi i przejeżdża srebrnymi palcami po twarzy. – Nie rób tego.

– Wybacz, powinnam była zapytać.

– Mam na myśli to wszystko – kontynuuje. Kiedy się odwraca, by na mnie spojrzeć, mam wrażenie, jakbym widziała na jej twarzy maskę spokoju, a pod spodem udrękę. – Musisz przestać, Hetty.

– Dobrze – przytakuję, podnosząc ręce. Musimy się tylko uspokoić, wtedy znajdziemy sposób, aby to naprawić. – Już dobrze.

– Nie jest – prycha Reese. – Wcale nie jest, kurwa, dobrze. – W jej głosie pobrzmiwa rezygnacja, balansuje tak blisko poddania się, że wyczuwam błysk paniki. Nie mogę stracić również jej. – Nie wiem, jak to ma trwać po

tym, co zrobiłaś.

I nie, nie mogę jej stracić, ale nie potrafię tego wyjaśnić. Wyłącznie tak mogę usprawiedliwić to, że uratowałam nam życie, zanim stracę nad sobą panowanie.

– Nie było innej opcji – przekonuję. Staram się utrzymać spokój. Zaciskam pięści tak mocno, że czuję wpijające się głęboko paznokcie. – To była sytuacja, w której mógł przetrwać albo on, albo my, i zrobiłam jedyne, co się dało.

– I co? – pyta, a jej głos ocieka jadem. – Nie powinnam się wściekać o to, że mój ojciec nie żyje? Że Tox zniszczył go tak bardzo, że musiałaś położyć temu kres?

Wlepiam wzrok w podłogę, lecz nie wiem, czy to gniew, czy rozpacz tak mnie zraniła, że aż cała drzę.

– Właściwie to nie – wyznaję. – Nie musisz się wściekać o to, że uratowałam ci życie.

Reese mruży oczy. Przygotowuję się na to, co nadciąga. Nigdy nie spotkałam nikogo, kto potrafi walczyć tak jak ona, nigdy nie spotkałam nikogo, kto jest w tym tak dobry. Wciąż jednak panuje cisza. W końcu wypuszcza długi, powolny oddech, uwalniając napięcie.

– Myślisz, że chciałam tego wszystkiego? – wyrzuca z siebie. Ma tak chrapliwy głos, że ledwie mogę odróżnić jedno słowo od kolejnego. Wyczerpanie dopada nas obie. – Nie mamy wpływu na to, co nas zrani.

Bicie własnego serca huczy mi w uszach. Kłębek strachu powoli zaciska się w mojej klatce piersiowej. Proszę, nie rób tego, co wydaje mi się, że właśnie zamierzasz.

– Reese – zaczynam, lecz potrząsa głową.

– Rozumiem, dlaczego to zrobiłaś. Postąpiłaś tak, jak należy. Ale wciąż odczuwam złość. – Wzrusza zdrowym ramieniem. – Co jeszcze mogę powiedzieć?

Przez chwilę jestem z powrotem w ciemnościach, moje życie w moich rękach. Nie było innej drogi. Zabić lub zostać zabitym. I czuję, że wyrwam z piersi własne serce, tak samo jak wyrwałam je panu Harkerowi, jednak mówię:

– Chyba nic.

Mój żołądek się zaciska, gdy dostrzegam pojedynczą łzę spływającą po jej policzku, zanim pospiesznie ją ściera.

– Dobrze, właśnie o to mi chodziło. – W ciągu ostatnich kilku dni widziałam, jak się otwiera. Obserwując ją teraz, widzę, jak znów zamyka się w sobie. Ten znajomy dystans, unikanie spojrzenia mi w oczy. – Pokój może być twój. Pójdę do jednego z tych pustych.

Czeka, żebym zaprzeczyła. Gdyby to była Byatt, wiedziałabym, co powiedzieć. Znalazłabym lukę w jej pancerzu. Ale Reese nie ma żadnej.

– Okej – mruczę, dumna z tego, że mój głos się nie załamał. Nie mogę jednak pozwolić jej tak odejść. – Przykro mi – dopowiadam. – Musisz to zrozumieć.

Jej włosy to jedyne światło, rysy twarzy stają się obce i nieznane jak w dniu, w którym po raz pierwszy ją spotkałam. Odeszła. Jest tutaj, lecz odeszła.

– Rozumiem. – Wychodzi, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

BYATT

ROZDZIAŁ 15

Lekarze rozsuwają zasłony i wjeżdżają z nim do środka.

Stawiają nosze na kółkach naprzeciwko mnie – i ja, i on, zostaliśmy ciasno przywiązani pasami. Wiem, kto to jest, wiem. Ale mnie już tu nie ma.

W moim umyśle pojawia się mgła, zalewa mnie, jakbym znalazła się w morzu. Nie czuję niczego poza ukłuciami i upuszczaniem krwi.

Teddy. To o nim zapomniałam.

Faceci są bezpieczni, powiedziałam mu. Pocałowałam go. Zrujnowałam. Zrobiłam to, zrobiłam, zniszczyłam go, a nawet nie próbowałam.

Kiedy ty się w końcu nauczysz?, mówi moja mama.

Znów widzę ją za oknem. Obserwuje mnie. Ma na sobie kaftan chirurgiczny, podobny do tych, jakie zakładają doktorzy. Mruga.

W życiu są ważniejsze rzeczy niż to, czego ty chcesz, oznajmia.

Jak się czujesz?

Wraz z Hetty stoimy na dachu. Ona nosi bandaż zakrywający jej oko, lecz udajemy, że wcale tak nie jest. Pytam: *Jak się czujesz?* A ona odpowiada: *Nie boli tak bardzo.*

Cieszę się z tego. Wówczas przyjaciółka na mnie spogląda i mija chwila, zanim przyzwyczajam się do jej nowej twarzy. Ona się przyzwyczaiła, więc ja też muszę.

Wydajesz się mieć dobrze, Byatt, mówi.

Dobrze, a nawet więcej niż dobrze, ale trudno mi powiedzieć dokładnie dlaczego, stąd tylko wzruszam ramionami i...

Chyba, odpowiadam.

Światło... Moje oczy łzawią jak zwykle. Są zbyt wrażliwe. Zawsze gdy chodziłam do okulistów, nigdy nie mogli rozszerzyć mi źrenic.

Ktoś się nade mną pochyla. Mrugam, obraz się wyostrza i... Paretta.

Potrząsam głową, staram się uciec, natomiast wtedy ona mówi coś, czego nie potrafię zrozumieć, po czym...

Test, robią jakiś test.

Moje ramię się porusza.

Staram się odłożyć je z powrotem, wrócić, ale mi się nie udaje. To nie wróży niczego dobrego... Dziura i... Rurka oraz świetliste, żółte dłonie, które ją naciskają.

Otwieram usta, żeby krzyczeć i krzyczeć, tymczasem wyrывa się z nich zaledwie szelest powietrza i to – to, co jest w mojej kroplówce, to jasne – spływa głębiej, we mnie.

Nie mogę tego powstrzymać.

Paski są zaciśnięte jeszcze mocniej. Teddy. Gdzie jest Teddy? Coś się we mnie znajduje, coś chłodnego i słodkiego.

Jego tutaj nie ma.

I... mnie...

Też.

Miękki plusk oceanu.

Fale.

Plaża w Raxter. Raxter przed Toxem.

Jestem sama, jednak to taki rodzaj samotności, że tak naprawdę jej nie ma. Kiedy możesz wyczuć za plecami inne dziewczęta, biegnące, śmiejące

się, rozmawiające, to nic, że na tej plaży jesteś sama, ponieważ wystarczy tylko, że się odwrócisz, a one tam będą.

Ale nie odwracam się.

W wodzie dostrzegam kraba – nieruchomego i jasnego. Pochyliam się tak, że moje kolana przebijają jej powierzchnię. Nie ma płótna ani dzinsów, jedynie spódnica w kratę, tak miękka, że mogłabym nigdy jej nie zdejmować.

Skorupiak na mnie spogląda.

A ja na niego.

Unosi się, wypływa z wody i osiada mi na rękach. Jest suchy.

Ja śnię. Tak naprawdę wcale mnie tam nie ma, wiem o tym, lecz podnoszę kraba i przyglądam się blaskowi jego skorupy. Zauważam swoje odbicie w drobnych segmentach. Setki małych wersji mnie samej.

I każda mówi: *witaj w domu*, a wtedy...

Skorupiak zaczyna się szarpać, jego szczypcy powoli stają się czarne. Po chwili czernieje również skorupa, aż w końcu czern pokrywa już całe ciało. Czarne odnóża, moje dłonie, moje ramiona...

Staram się puścić, ale nie mogę. Woda wokół mnie, brzeg, wszystko staje się czarne. Jeśli go puszczę, to zniknę. Jeżeli go stracę, zniknę.

Wiem to tak, jak po prostu wie się niektóre rzeczy w snach. Czern, czern i... Och... Budzę się.

* * *

Z początku panuje cisza. Moich myśli w końcu nie spowija mgła. Sala jest pusta. Nikt nie przychodzi. Może mają już to, czego potrzebują, a może wiedzą, że nigdy tego nie dostaną.

– Hej.

Próbuję podnieść głowę. Teddy opiera się o łóżko. Skórę ma matową i wysuszoną, mimo wszystko się uśmiecha. Ma na sobie strój tak biały, że aż razi mnie po oczach od samego patrzenia.

– Próbowali kolejnego lekarstwa – informuje. – Wirus, który mógł zabić to, co ci dolega, ale twój organizm go zwalczył.

Ponownie skupiam uwagę na suficie, gdy dodaje:

– Cokolwiek *nam* dolega. Mam na myśli to, co nam dolega.

Po jakimś czasie wstaje. Przechodzi na drugą stronę pokoju i uwalnia moje dłonie z więzów. Teraz nie będą potrzebne. Oboje to wiemy.

– W porządku? – pyta.

Kiwam głową. Otwieram usta i dotykam gardła.

– Poczekaj. – Wyjmuje z szafki moją tabliczkę do pisania, zbliża się, a następnie pomaga mi zacisnąć palce wokół markera.

Zadajemy pytania, na które nigdy nie będziemy mieć czasu.

Jak masz na nazwisko?

– Co?

Moje znasz.

– Martin.

Wiesz, co mówią o ludziach, których nazwisko brzmi jak imię?

– Nie.

Ja też nie.

Myślę, że minęło około godziny, kiedy wracają symptomy. Chłopak zaczyna się pocić i dygotać na całym ciele. Pod oczami rysują się ciemne linie, wyziera z nich pustka.

Co cię boli?

Jęczy. Przetacza się na czworaka, wymiotuje przez krawędź łóżka. Czarna ciecz, ziarnista w teksturze. Kładę mu dłoń na ramieniu.

– Nic mi nie jest.

Niestety jest i już zawsze będzie. Sięgam pod łóżko i drżącymi palcami odnajduję przycisk alarmowy.

– Nie trudź się – oznajmia. – Nie przyjdą.

Nie pytam, skąd wie.

Jest coraz gorzej. Teddy robi się wiotki, jakby nie miał już kości, zupełnie jak Gaby z najmłodszej klasy, która nigdy nie ukończyła pierwszego roku.

Kłęczę, pomagam mu zająć moje miejsce i oprzeć się o poduszki. Gdy kładę dłoń na jego czole, odsuwa się.

Nie wiedziałam, że to może przytrafić się także tobie.

Zaciska powieki i odchyła głowę. Skóra na jego gardle jest młoda i świeża, miękka, kiedy przyciskam czubki palców do grzbietu jego obojczyków.

– Spoko – stwierdza, a później milknie na długo.

Piszę, gdy on śpi. Raz za razem.

Przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam, przepraszam.

Kiedy się budzi, pokazuję mu tabliczkę. Biorę chłopaka za rękę, przyciskam jego dłoń do swojego serca. Rytm uderzeń w końcu go uspokaja, zamyka oczy i się na mnie osuwa.

To, czego chciałam, to, do czego dążyłam, nie ma już znaczenia. Jesteśmy tu i tylko to nam w życiu pozostało.

Kolejny paroksyzm zgniata Teddy'ego w supeł, a gdy mija, nie potrafię go dotknąć bez uczucia lekkiego szoku. Płacze. Ja też mam ochotę płakać, ale wiem, że zamieniłoby się to w szorstki śmiech.

Przez szyby widzę twarze. Czasem to Paretta, czasem pielęgniarka, której oblicze wygląda znajomo, nawet pomimo maseczki. Obserwują. Czekają, aż to się skończy.

– Opowiedz mi o czymś – prosi chłopak. To ostatnie słowo go wykręca.

Co?

– Cokolwiek.

Wracam myślami do dnia, w którym się poznaliśmy, do pytania, które wtedy zadał. Zapisuję cenę mleka. Teddy próbuje się uśmiechnąć.

– O czymś innym – mówi.

Zanim nadchodzi trzeci paroksyzm, rozrywam dół swojej koszuli szpitalnej i używam materiału do wytarcia żółci z kącików jego ust.

Ktoś zagląda przez szybę, Teddy leży, a ja siedzę obok niego, czuję skurcz w dłoni, kiedy zapisuję żart, który usłyszałam kiedyś od swojego ojca.

Najpierw dostrzegam jego palec. Palec wskazujący. Drgnięcie, pociągnięcie tak słabe, że nie dojrzałabym go, gdybym nie spędziła prawie półtora roku na dachu, wypatrując podobnych sygnałów. Ale dostrzegłam.

To sprawia, że się odsuwam. Nie chcę tego, jednak kulę się na drugim końcu łóżka, starając się nie hałasować. Pamiętam, co może się stać. Pamiętam, do czego zmusza Tox, gdy już dłużej nie chce twojego ciała.

Oczy chłopaka się otwierają, jasne oraz szkliste. Piękne. I przez chwilę jest po prostu Teddym. A potem otwiera usta.

– Cześć – przemawia. Pustka. Żadnego znaku, że mnie rozpoznał.

Próbuje wstać, przeczołgać się do mnie, lecz jeśli się zbliży, niechcący mnie zrani. Obawiam się, że mu na to pozwolę.

Robią to paski z mojej szpitalnej koszuli. Są długie, a on związuje je razem, dodatkowo wydłużając. Uśmiecha się. Jego wargi się rozchylają, z tyłu za zębami coś zaczyna się poruszać. Zarysowuje się delikatnie, i zaraz – zaraz – z wnętrza wypelza mu winorośl, po czym owija się wokół brody. Taka sama jak te, które przeciskają się między prętami ogrodzenia w Raxter. Taka sama jak te, które plączą się dookoła drzew.

Jego ręce wiążą linę tak, jakby nie należały już do niego. Więcej pnączy, kolejne i kolejne, rozgałęziające się i wijące w czarnej płataninie. Krew wycieka mu z ust, z uszu. Sięgają ku mnie, jakby szukały nowego domu. Zaczynam się domyślać, do czego ma służyć ten sznur. Ale nie ruszam się z miejsca. Siedzę tak, z nogami wsuniętymi pod siebie. Obserwuję, jak Tox bierze się do dzieła.

Teddy klęka. Zwija linę w pętlę.

Jego oczy nigdy się nie zamykają. Jego uścisk nigdy się nie zmienia.

Ciągnie tak aż do samego końca.

ROZDZIAŁ 16

Nie ma wielkiej różnicy między białą ścianą a białą podłogą. Mam kłopot z odróżnieniem jednego od drugiego.

Na tym, co wydaje mi się posadzką, dostrzegam plamę, nieco tylko oddaloną od mojej stopy. Patrzę na jej krawędzie, które to przybliżają się, to oddalają.

Słyszę w pokoju jakiś dźwięk. Napotykam problem ze stwierdzeniem, co to może być.

Mam zamknięte oczy. Rozcięcie na lewej kostce długości kciuka. Siniak rozkwitający na prawej rzeźce. Na udach nic, jednak wewnątrz nich odczuwam napięcie.

Na moich biodrach znajdują się trzy cięcia w miejscu, gdzie naciskał pasek. Skóra na żebrach zaróżowiła się od ocierającej się przepaski. Na ręce widzę ślady po kroplówce.

Nadgarstki są nietknięte, ponieważ zaczęli stosować pasy z miękkiego materiału. Bardziej posiniaczone jest gardło. Czerwona szrama na policzku od gałęzi z lasów Raxter.

Gdybym otworzyła oczy, byłoby tego więcej.

Przychodzą, żeby zabrać jego ciało. Ciało – tak go teraz nazywam.

Ludzie z zasłoniętymi twarzami. Podnoszą zwłoki. Chowają je do worka.

– To jej robota? – pyta jeden z nich.

– Nie – mówi drugi. – Musiałbyś to zobaczyć. Dzieciak sam sobie to zrobił. Chyba postradał zmysły... No wiesz, co mam na myśli.

Właśnie tak działa Tox, kiedy kogoś nie chce. Tak jak to było w przypadku bliźniaczek, Emily i Christine, czy też Mary – dziewczyny

Taylor.

Widzieliście to, mam ochotę powiedzieć. Musieliście to widzieć.

– A dlaczego ona jeszcze tak nie skończyła?

– Doktor Paretta twierdzi, że to hormony. Pomagają jej znieść to nieco lepiej.

Wynoszą ciało. Ja zostaję. Siedzę, na podszewkach moich stóp widać czerwień. Na nic nie patrzę. Nie, nie na nic. Już nigdy więcej na nic nie spojrzę.

Spodziewam się, że mnie przeniosą, spodziewam się, że znów podłączą mnie do kroplówki i przywiążą pasami. Ale nikt nie przychodzi, nikt nie zauważa, gdy przysuwam puste łóżko do swojego.

Kiedy śpię, on tam jest.

Kiedy się budzę, on nadal tam jest.

Gdy nadchodzi moja kolej, jest ze mną tylko Paretta. Opadam do tyłu i zamykam oczy, lecz ona uwalnia moje kończyny i podnosi mnie do pozycji siedzącej. Zbiornik tlenu czeka przy moim łóżku, maseczka oraz rurki mają jasnożółty kolor.

– Cóż – przemawia Paretta. – Jest mi niewymownie przykro.

Nie mam jej nic do powiedzenia. Jedynie na nią spoglądam, nawet wtedy, kiedy podaje mi tabliczkę do pisania.

Siada na brzegu łóżka. Teddy zniknął, a ona jest zakryta od stóp po sam czubek głowy. Widzę zaledwie fragment skóry wokół oczu. Gdy wyciąga rękę, nie reaguję, pozwalając, aby odgarnęła mi włosy z twarzy i starła zaschniętą ślinę z kącika ust.

– Przyniosłam ci coś – oznajmia. Z kieszeni plastikowego kombinezonu wyciąga irysa z Raxter. Jest nieco pognieciony, z pękniętą łodygą, mimo to płatki wciąż ma błękitne. Wciąż żyje. – Odniosłam wrażenie, że podobały ci się tam na dole, więc proszę.

Podaje mi kwiatek, a ja tulę go w dłoniach. Płatki koloru indygo i ukryte w środku delikatne, żółte plamki. Latem Hetty zbierała je i wplatała w moje włosy.

– Posłuchaj – zaczyna Paretta. – Nie możemy tu dłużej zostać. Najpierw sytuacja z Teddym, później coś wydarzyło się w twojej szkole, dlatego zakończono nasze badania. Przykro mi, ale nie mogę ci pomóc.

Wydaje mi się, że czeka, aż jej przebaczę. Ja jednak zamykam oczy i przystawiam irysa do nosa. Czuję słodki aromat ze słoną nutą, zapach Raxter.

– W porządku. – Słyszę jej głos. Kółeczka skrzypią, kiedy przysuwa bliżej zbiornik tlenu. – Musisz tylko oddychać, dobrze? Tylko tyle.

Mam zaciśnięte powieki, gdy wsuwa mi maseczkę na nos i napina pasy, by ją unieruchomić. Nie zawraca sobie głowy skrępowaniem mi nadgarstków, jej dotyk jest łagodny i delikatny. Dobrze wie, że nie ma we mnie ducha walki.

Mija moment, zanim słyszę syk zwalnianego zaworu. Patrząc na Paretę i upewniam się, że widzi, jak oddycham głęboko, nie opierając się.

To tak, jakby piło się wodę po raz pierwszy od dłuższego czasu, jakby odczuwało się chłód w żyłach. Ale to nie jest zimno, raczej musujące ciepło, rozpalające się i rozlewające po ciele.

Nie miałabym nic przeciwko, gdyby to miało skończyć się właśnie w taki sposób.

Paretta wstaje i wydaje mi się, że wychodzi, lecz nagle przystaje u stóp mojego łóżka.

– Powiedz mi jeszcze jedną rzecz, jeśli możesz – prosi. – Próbuję zrozumieć, jak doszło do tego, że Teddy zachorował.

Udaje mi się wzruszyć ramionami.

– Nikomu innemu nic się nie stało – kontynuuje. – A nie sędzę, by zrobił coś, czego nikt inny nie zrobił.

A jednak.

Teddy ściągający maseczkę, jego dłonie w moich włosach. Zniknął. I coś zupełnie innego zaczęło zapuszczać w nim korzenie. Podnoszę tabliczkę i piszę:

Pocałowałam go. Może to przez to.

Przez chwilę Paretta tylko się we mnie wpatruje. Potem zaczyna się śmiać, ale to nie brzmi jak śmiech.

– Powodzenia – mówi i szybko się odwraca, żebym nie zdążyła dostrzec wyrazu jej twarzy. Dociera do mnie ciche kliknięcie zamykanych drzwi.

Przez megafon kobiecy głos informuje, że nadszedł czas, aby rozpocząć procedurę ewakuacji. Słyszę, jak ludzie przemieszczają się, rozmawiają, wszystko przebiega spokojnie i miarowo. Bez paniki. Bez pośpiechu. Wiedzieli, że to nadchodzi.

Czuję skurcz w nogach i przechodzące przez ciało dudnienie. Niczym silnik samolotu przed lotem, niczym moment przed paroksyzmem, lecz spotęgowany. Trzęsę się, moje ciało rozrywa się w szwach i zamykam oczy, ale to nie ma znaczenia. Nadal widzę. Wciąż tu jestem.

Pot zrasza czoło, to za dużo, nie nadaję się do tego. Odnoszę wrażenie, że coś się we mnie porusza, tuż za żebrami, w górę, w stronę serca, wyciska mi powietrze z płuc.

Nie mogę.

Nie jest tak jak wcześniej. Nie ma migotania, nie ma spokoju, jedynie pęknięcie, rozrywanie.

To jest koniec... Nie powinnam na to pozwolić.

Opuszki moich palców robią się czarne... Błękitniaki z Raxter, wszystko znika, wszystko, aż z mojej klatki piersiowej wyrywa się krzyk podobny do kolumny świetlnej.

Jestem niczym.

Mam.

Mam dość.

A teraz, teraz to boli.

Siadam, irys opada na podłogę, a ja podnoszę opuszki palców do światła.

Są czarne aż po knykcie, jakbym umoczyła je w atramencie.

Właśnie to dzieje się ze wszystkim, co pochodzi z Raxter, kiedy wyspa przenika aż do kości. Właśnie tak wyglądają, gdy umierają.

Ściągam z twarzy maseczkę tlenową. Spełniła swoją funkcję.

Wstaję z łóżka i ruszam do drzwi, trzymając się blisko ściany. Moje nogi są wystarczająco stabilne, chociaż czuję ich osłabienie. Nie wytrzymają długo. Odpoczywam chwilę na łóżku stojącym obok drzwi, a następnie pochylam się do wychodzącego na korytarz okna. W szybie widzę własne odbicie. Skórę pod oczami mam nakrapianą niebieskimi i żółtymi plamkami. Nawet przez szpitalną koszulę dostrzegam swoje sterczące żebra, natomiast włosy są matowe, sztywne od potu.

I wtedy to zauważam. W moim ramieniu, mignięcie w lustrze. Wybrzuszenie na ciele, dreszcz w skórze. Wyczuwam puls w nadgarstku, podobny do bicia serca. Umieram, a mieszkająca we mnie ciemność próbuje się wydostać. Naciskam palcem na piekące miejsce i czuję szarpnięcie. Może to ścięgną. Lub coś innego.

Zostaw to, słyszę w głowie mały głosik, zastaw to dla siebie. Lecz jeśli mam umrzeć, to tylko będąc sobą. Pod łóżkiem przy drzwiach znajduję skalpel. W dotyku z rozpaloną skórą ostrze jest przyjemnie chłodne. Pojawia się kropla krwi.

Jeszcze raz przesuwam wzdłuż tej samej linii, ale tym razem naciskam, przesuwając szpicem.

Krew ma intensywnie ciemny kolor. Wypływa, po czym się rozlewa, ściekając do łokcia. Raz za razem, dopóki nie poczuję rozprzestrzeniającego się aż do nadgarstka mrowienia, dopóki się nie przekonam, że trafiłam wystarczająco głęboko. Ból. Ogarnia mnie i się rozchodzi, przez moje ciało przetacza się wrzask, jednak to ja zawsze jestem tą, która zadaje cierpienie, dlatego wiem, co robić.

Odkładam skalpel, rozdzielam skórę śliskimi palcami. Widzę błysk kości, a świat rozplywa się wokół mnie – to wyraźny, to zamazany. Wsuwam kciuk oraz palec wskazujący, przetykam łyży i rozwieram boki nacięcia.

Nie mogę mieć pewności, dopóki tego nie zobaczę, lecz naraz się porusza. Lśniące, grube niczym mięsień. Wijące się delikatnie

i promieniujące ciepłem. Robak.

Staram się chwycić go opuszkami, ale jest zbyt śliski. Próbuję dalej, żalując, że nikt nigdzie nie zostawił leżących szczypiec. Teraz się wije. Wie, co robię. I wreszcie udaje mi się dobrze chwycić, więc wyszarpuję go z ciała.

To jest jak wyrywanie haczyka na ryby. Rozdarcie w moim mięśniu, tryskająca świeża krew. Lecz teraz to nie ma znaczenia. Mam go w rękach. Jest martwy lub umiera, w ogóle się nie porusza, zatem mogę dokładnie mu się przyjrzeć. Blednie, przybierając mlecznobiały kolor. Prążkowany, z widocznymi segmentami. I jest długi, jak od czubka mojego środkowego palca do nadgarstka. Pasożyt. Żył we mnie, a ja nawet nie miałam o tym pojęcia.

Z jednej strony zbezczeszczenie, zaś z drugiej dar. Pozwoliło mi to zrozumieć wszystko, co czułam w Raxter, w Bostonie i gdziekolwiek indziej, dopasować ciało do umysłu. Przynajmniej za to mogę mu podziękować.

Kieruję wzrok na szybę, aby spojrzeć na swoje odbicie. Chcę sprawdzić, czy zmieniłam się w jakiś sposób, ale nie. Ta sama ja, wyglądam na ten sam wiek... Ten sam... Chociaż wydaje mi się... Wydaje mi się, że czegoś brakuje...

To już jednak nie ma znaczenia. Rozdzieram prześcieradło i bandażuję rękę... Plama krwi się rozchodzi. Wstaję. Nie zamierzam być tam, gdzie oni mnie umieścili, kiedy to nadejdzie.

Znajduję swoje ubrania w szafce za łóżkiem, zamknięte w worku na niebezpieczne odpady medyczne. Rozszarpuję go zębami i wydostaję je na zewnątrz... Kurtkę, koszulę, dżinsy, a z osobnej torby podarte buty.

Przyciskam je do piersi, wdychając chłodny zapach soli. To wystarczy, bym poczuła się sobą.

W trakcie ubierania się zaczynają mi drzeć nogi. Znajduję irysa w tym samym miejscu, w którym go upuściłam. Ściskam go mocno, kuśtykając do drzwi, po czym je otwieram, napierając na nie ramieniem. Zaraz na zewnątrz dostrzegam wózek inwalidzki. Udaje mi się przejść ostatnie

kilka kroków i osuwam się na siedzenie.

Ręczne zabezpieczenie, haczyk, który trzeba zdjąć, i uchwyt, za który muszę mocno pociągnąć. Potem trochę manewruję. Jestem tak bardzo wyczerpana, że prawie wymiotuję, żołądek jednak mam zupełnie pusty. Udaje mi się poruszyć wózek. Jadę w dół korytarza. W stronę... W stronę, w którą ktoś już mnie kiedyś wiozł, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

Coś skapuje mi przez górną wargę. Gęste niczym syrop, o smaku podobnym do krwi, ale bardziej kwaśnym. Ścieram to... Nie patrzę na poplamioną rękę.

Drętwieje mi prawa noga, przed oczami robi się coraz ciemniej. Już niedługo.

Tak właśnie to pamiętam.

Brnę przez lobby, wszędzie pusto, bałagan, znajome miejsca...

Myśl... Myśl, Byatt, przecież wiesz...

Nagle załam korytarza... kolejny i kolejny, i jeszcze jeden aż do powyginanych drzwi.

Na zewnątrz...

Zima słodka... I zimna... W sam raz dla mnie...

Poruszam się tak szybko, jak tylko mogę...

Trzymam się blisko ściany. Wciskam się w siedzenie i owijam ciaśniej kurtką... Tulę irysa do serca... Widzę, jak nadchodzi niczym rosnąca fala, unosi się jak wschodzące słońce, pędzi jak pociąg na torach, jak pocisk.

Jak dom albo...

Czy tak nie będzie... nie będzie lepiej?

Słońce wstaje między drzewami...

Promienie padają spomiędzy nich skośnie bladymi strugami...

Zrobiłam, co mogłam, próbowałam... Jak próbowałam?

Wdech, wydech...

Staram się utrzymać oczy otwarte tak długo, jak tylko jestem w stanie.
Chcę spojrzeć, zobaczyć, chcę, żeby...

Żeby lasy zniknęły...

Żeby ocean podpełzł do moich stóp...

Żeby wyspa przeniosła się, unoszona na fali...

Raxter nie zapomina... Raxter.

Będzie niczym morskie szkło, schylę się, spojrzę na jego pomarszczoną powierzchnię, zobaczę siebie zawieszoną w środku... Będę dokładnie wiedzieć, gdzie jestem.

Będę kołysać je w dłoniach, aż wyschnie... Aż krawędzie zaczną się zacierać... Aż przestanie być piękne.

Niespodziewanie słyszę ryk, wycie, wdziera się, nadchodzi!

I tak będę je trzymać...

HETTY

ROZDZIAŁ 17

– Już czas. Chodź.

Siadam tak szybko, że uderzam głową o górne łóżko. Przez całą noc leżałam sama w pokoju, a kiedy zasypiałam, w koszmarach dręczył mnie pan Harker, który zamieniał się w Reese.

– Poważnie? – Julia opiera się o framugę drzwi. Zerkam jej przez ramię, próbując wypatrzyć Welch. Zwykle to ona nas budzi. Dziewczyna przyszła jednak sama. – Nie mamy całego dnia.

– Gdzie jest Welch? – pytam, starając się, by w moim głosie nie pobrzmiwało ogarniające mnie zdenerwowanie.

– Zajęta. Zbieraj się.

Biorę głęboki oddech. To tylko zwyczajna wyprawa Brygady Łodziowej. Gdyby Welch wiedziała, że złamałam kwarantannę i ją śledziłam, już dawno miałabym kłopoty.

Pocieram strup na ślepym oku, czekam sekundę, aż wyostrzy mi się wzrok, a później ruszam za Julią korytarzem skąpanym w półmroku wczesnego poranka. Gdzieś za mną w jednym z pustych pokoi śpi Reese.

Patrzę twardo przed siebie, ignorując ukłucie w piersi. Wyraziła się jasno.

Schodzimy na mezanino. Poniżej widzę stojącą przy drzwiach Carson. Ma już na sobie swój płaszcz – jej zawsze jest zimno. Gdy nas dostrzeża, podnosi rękę i macha.

Julia zatrzymuje się u szczytu schodów.

– Kiedy po ciebie szłam, Welch przebywała z dyrektorką w głównym holu. Są o coś wkurzone. – Wychyla się przez balustradę, aby zobaczyć resztę holu. – Nie chciałabym się znaleźć w ich strefie rażenia.

Powtarzam sobie, że mogły się przecież wściec na milion rzeczy. Na kurczące się zapasy, na zarządzanie harmonogramami, na uszkodzone generatory. Ale potem dyrektorka wychodzi z korytarza prowadzącego do jej biura, z depczącą jej po piętach Welch, i jasne jest, że nie może to być

żadna z tych spraw. Wydają się tak zdruzgotane, że może to dotyczyć wyłącznie naszej najważniejszej zasady – muszą przeczuwać, że ktoś złamał kwarantannę. Nawet jeśli nie mają pojęcia, że to my, wiedzą, że to się stało.

Welch dogania dyrektorkę i obie się zatrzymują, rozmawiając przyciszonymi, pełnymi napięcia głosami. Z daleka widzę, jak dyrektorce trzęsą się ręce. Na szyję Welch wpełza rumieniec.

– Wygląda to poważnie – stwierdza Julia.

– Pewnie dyrektorka odkryła, że nie zostawiłyśmy dla niej żadnej czekolady z dostaw – oznajmiam, uśmiechając się sztucznie, i przepycham się obok niej. – Czy to nie ty mówiłaś, że nie mamy całego dnia?

Zanim zeszyliśmy na dół, dyrektorka już zniknęła. Welch wygląda, jakby dopiero co wstała, francuski warkocz ma luźny i postrzępiony, z kącika ust sączy się krew. Zazwyczaj prezentuje się schludnie jak dyrektorka, natomiast dziś jej wargi otacza różowa plama.

– Chodźmy – poganiam.

Julia chrząka.

– Hetty i ja potrzebujemy naszego sprzętu.

– Dobrze, ale pospieszcie się. – Nawet na nas nie patrzy. To dowód na to, że o nic mnie nie podejrzewa. Powinam poczuć ulgę, lecz odczuwam jedynie dyskomfort.

Julia chwytam mnie za rękaw, a następnie ciągnie korytarzem w stronę schowka, gdzie przechowujemy kurtki oraz zapasy. Otwiera drzwi, sprawdza magazynek w pistolecie i liczy kule, podczas gdy ja zapinam guziki z przodu płaszcza. Naciągam czerwoną czapkę nisko na czoło, tymczasem Julia sięga głębiej do schowka i spod stosu koców wyławia drugi, identyczny pistolet.

– Proszę. – Podaje mi go, unosząc wyczekująco brwi.

– Nie, ostatnim razem go nie miałam.

– Wiem. Nikt nie miał.

Mierzę broń nieufnym wzrokiem. To jakiś podstęp?

– Czy to Welch ci powiedziała...

– Spójrz – przerywa mi. – Należałaś do Brygady Ogniowej, co nie?

– Tak – potwierdzam. – Ale nie używałyśmy pistoletów.

Julia się przybliża.

– Poza tym widziałam cię w stodole, nieźle ci idzie, a dziś akurat potrzebuję dobrego strzelca.

– Dlaczego? – naciskam. Na ułamek sekundy przed oczami staje mi twarz pana Harkera.

– Widziałaś ją? – Julia musi mieć na myśli Welch. – Ona dzisiaj postrada zmysły, może już postradała.

Przełykam ślinę i spuszczam wzrok. Powstrzymuję nagłą chęć, aby jej wszystko wyjaśnić. Julia ma rację. Welch jest na granicy. A co, jeśli się dowie, że to ja złamałam kwarantannę? Co wtedy zrobi?

Biorę broń. Zaciskam na niej palce.

– Schowaj go pod płaszczem – poleca Julia. – Nie chcę, żeby wiedziała, że go masz.

Innego dnia wydałoby mi się to dziwne, ponieważ to nie w naszym stylu – nie ukrywamy niczego przed Welch ani się przed nią nie bronimy. Ale teraz, po tym, czego byłam świadkiem, jak zostawia w lesie ciało Mony, nie sądzę, by cokolwiek mogło mnie jeszcze zaskoczyć.

Wracamy do głównego holu. Carson przenosi ciężar ciała z jednej stopy na drugą, podczas gdy Welch krąży przed drzwiami wejściowymi. Julia kiwa do Carson, która zaraz rusza w naszym kierunku z pełnym ulgi uśmiechem.

– W porządku? – pyta Julia.

– Ona się w ogóle nie odzywa – skarży się, wskazując głową na Welch. – Cały czas tylko tak krąży.

Ona nie ma pojęcia, powtarzam sobie w myślach. Nie ma pojęcia, że to byłaś ty. Nie masz się czego obawiać. Mimo to jestem wdzięczna, kiedy Julia zajmuje swoje miejsce u boku Welch, pozwalając mi iść w parze z Carson.

Mijamy tablicę ogłoszeń, każda z nas dotyka notatki od Marynarki Wojennej, tak na szczęście, a potem wychodzimy przez frontowe drzwi na ścieżkę i przez bramę. Carson idzie tuż za mną. Przed nami maszerują Welch z Julią. Zagłębiamy się w las, Julia się za mną ogląda. Mój pistolet jest ciepły od dotyku skóry. Z każdym krokiem czuję jego ciężar.

Przed południem docieramy do przystani. Przez całą drogę nie podnosiłam wzroku z szosy, bojąc się, że jakiegokolwiek spojrzenie w stronę lasu przeniesie mnie do tej chwili z panem Harkerem, gdy jego serce wciąż biło w moich dłoniach. Tutaj teren jest cudownie otwarty, niebo rozciąga się nad nami, szare i nieskończone. Zerwana taśma ostrzegawcza łopocze na silnym wietrze, wysokie fale rozbijają się o deski. Carson wsuwa włosy pod kurtkę, by nie wpadały jej do oczu. Zdejmuję czapkę, aby nie zerwał mi jej wiatr, i chowam ją do torby.

– Mam nadzieję, że wkrótce tu będą – przemawia Julia głosem wypranym z energii. Wczorajsze wyczerpanie daje jej się we znaki, a kiedy kaszle, wydaje okropny, ostry dźwięk. – Dziś jest lodowato.

– Może zaczekamy pod osłoną drzew. – Carson szczeka zębami. Myślę o dotyku jej ust na moim policzku na naszej pierwszej wyprawie. Zastanawiam się, czy jej krew nadal jest tak ciepła, jak moja, czy też Tox odebrał jej także to.

Julia potrząsa głową.

– Tutaj jest bezpieczniej. Będziemy widzieć, czy nic się nie zbliża.

Odkąd dotarliśmy na miejsce, Welch się nie poruszyła. Wpatruje się gdzieś poza horyzont, kierując wzrok w pustkę, w której czasem można było dojrzeć kontynent. Dziś jednak jest zbyt mgliście, ale ona i tak próbuje.

Przez całą drogę przez wyspę nie odezwała się ani słowem. Z początku przyjąłam to z wdzięcznością, natomiast teraz zaczęło mnie to niepokoić. Mam ochotę ją obserwować, spróbować odczytać, co myśli, lecz nie mogę przyglądać się jej zbyt długo. Obawiam się, że dostrzeże moje poczucie winy. Wycofuję się więc, zrównuję z Carson i przysuwam się blisko niej.

– Tak mi cieplej – wyjaśniam, kiedy spogląda na mnie zaskoczona.

Welch znów zaczyna krążyć. Tam i z powrotem, tam i z powrotem. Ostatnim razem, gdy byliśmy na zewnątrz, miała ze sobą broń, ale teraz żadnej nie zauważam. Może ma ją gdzieś ukrytą, tak samo jak ja. Julia odsuwa się kilka kroków od pomostu, stając bliżej mnie i Carson.

W powietrzu rozlega się ostry, rozdzierający krzyk mewy. Patrzą w górę,

wciągam szybki oddech. Jedna krąży nad nami, jej ciemne skrzydła odcinają się na tle nieba, a wkrótce dołączają do niej kolejne dwie. Ostatnim razem również się pojawiły, tuż przed przybyciem holownika. Wiedzą, że się zbliża.

Minutę lub dwie później słyszymy stłumiony, niemal głuchy dźwięk syreny mgłowej. Welch się zatrzymuje i błyskawicznie odwraca się w kierunku horyzontu. W jej spojrzeniu jest dzikość, której nigdy wcześniej u niej nie zaobserwowałam. Ogarnia ją cała.

– Przygotujcie się – ostrzega.

Ponowne wycie syreny i z mgły wyłania się holownik. Zlatuje się więcej mew, ich wrzaski mieszają się w powietrzu. Mam ochotę zatkać uszy, ale Julia kiwa głową w moją stronę, zatem ruszam za nią do wejścia na molo. Carson podąża za mną.

Jest tak, jak poprzednim razem. Te same oznakowania, łódź bierze ten sam długi, powolny zakręt. Nikogo nie ma na rufie, a im bliżej podpływa, tym wyraźniej widzimy, że pokład jest pusty. Nie ma stosów kartonów. Nie ma palet z konserwami. Jest tylko coś, co wygląda jak pojedynczy pakunek, z jasnymi etykietami po bokach.

Spoglądam na Julię, która intensywnie podgryza swój policzek od środka.

– To się często zdarza?

Potrząsa głową, coś mówi, lecz huk silnika prawie całkowicie zagłusza jej słowa. Pośpny wyraz twarzy wystarcza mi jednak za odpowiedź.

Ze zgrzytem i piskiem uruchamia się dźwig. Podnosi skrzynię – jedyną skrzynię – i przenosi ją nad pomost. Ostatnim razem puścili ładunek, zanim dotknął desek, pozwalając mu opaść, ale dziś obniżają go do końca i uwalniają dopiero, kiedy się z nimi styka. Dźwig na powrót się zatacza, grzechocząc łańcuchem, a potem następuje ostatni już sygnał syreny przeciwmgielnej, który długo jeszcze dzwoni mi w uszach.

Obserwujemy, jak holownik wzburza fale, odpływając. Ostatnim razem ledwo powstrzymałyśmy się przed rzuceniem się do przodu. Teraz nikt nie chce iść pierwszy.

Spoglądam przez Julię na Welch. Ma zaciśniętą szczękę, a po jej policzku splywa łza, zostawiając szklisty, zmarznięty ślad. Kręci głową.

Nigdy wcześniej nie widziałam jej w takim stanie, nawet wtedy, gdy zaczął się Tox, nawet wtedy, gdy podczas mojego pierwszego semestru jedna z dziewczyn złamała rękę w taki sposób, że kość przebiła jej skórę.

– Cóż. – Obraca się, by na nas spojrzeć. Na widok jej zaczerwienionych oczu robię mimowolny krok w tył. – Na co czekamy?

Julia się uśmiecha.

– Na ciebie.

Daje za wygraną. Wiatr jest tak cichy, że słyszę drżący oddech Carson, po czym Welch nas mija, potrącając Julię. Podążamy za nią na molo. Deski jęczą pod naszymi stopami, a wicher się wzmacnia. Wszystkie trzy idziemy za Welch. Zerkam w dół na ocean. Dziś jest w malowniczym kolorze mdłej zieleni, pokryty pianą. Zbliżam się do Carson, bezpieczna między pozostałymi.

Skrzynia jest o wiele mniejsza niż te, które widziałam podczas poprzedniej wyprawy, i nie jest z drewna, w przeciwieństwie do tamtych, lecz z czegoś zupełnie innego. Może z tworzywa sztucznego. Gładka, szara, o zakrzywionych rogach, z dwoma zestawami klamer podtrzymujących wieko. Na pokrywie jest stempel, którego nie rozpoznaję. Jasnopomarańczowy, lekko rozmazany, jakby został namalowany sprayem przez szablon. Wygląda podobnie jak symbol zagrożenia biologicznego – zestaw zazębających się okręgów, który wszystkie już znamy – ale nie do końca.

– Dobrze – informuje Welch, podnosząc jedną rękę. – Zaczekajcie tutaj.

Cieszę się, że mogę trzymać się z daleka. Ten kufer wydaje mi się zbyt wypolerowany, zbyt fabryczny. Zupełnie inaczej, niż rzeczy stąd, i niemal wolałabym nie wiedzieć, co jest w środku, lecz Julia rusza naprzód u boku Welch.

– Pomogę ci – proponuje. Kiedy razem z kobietą idą w pobliże ładunku, rzuca mi jeszcze ostatnie spojrzenie przez ramię. Dotykam pasa spodni i ukrytej pod nim broni. Kiwam głową. Było wystarczająco źle, gdy musiałyśmy uważać na Welch, ale teraz to coś znacznie gorszego.

Na końcu pomostu deski są zwietrzałe i pociemniałe, pełzają po nich algi, oplatając zieloną siecią. Wraz z Carson trzymamy się z tyłu. Przełykam niepokój, a potem odpinam dolne zapięcie płaszcza, by w razie

czego mieć łatwiejszy dostęp do pistoletu.

– Mamy zabrać całą skrzynię? – zastanawia się Julia. Wiatr niesie jej głos w moją stronę, cienki i piskliwy.

– Nie. – Welch przykuca i kładzie dłoń płasko na wierzchu kufra, jakby sprawdzała, czy w środku coś się rusza. – Otworzymy ją tutaj.

Julia pozostaje w pozycji stojącej. Obserwujemy, jak ramiona Welch podnoszą się z trudem, gdy odpina ostatnią klamrę. Ściągną w jej rękach się naprężają.

Światło na krawędzi wieka jest zielonkawe. Pokrywa unosi się o cal lub dwa, a przy wewnętrznej krawędzi dostrzegam migające na zielono światełko. Kobieta ostrożnie podważa klapę, odwracając głowę.

Nie wiem, co jest w środku. Widzę tylko, że Julia marszczy brwi, zaś Welch osuwa się na kolana, chowając twarz w dłoniach.

– Co to jest? – pyta Carson.

Nikt nie odpowiada, więc podchodzę bliżej. Wnętrze ładunku wyściełane jest czarną gąbką. Pośrodku umieszczono mały, połyskujący chromowy kanister, może wielkości mojej pięści. Wygląda jak miniaturowy zbiornik z tlenem, taki, do którego podłącza się ludzi w szpitalu. Zawór szczelnie zamyka jaskrawoczerwona taśma z tym samym, powtarzającym się wzorem z wieka skrzyni.

Coś się we mnie wzdryga. Przelykam ślinę, czując nagłą suchość w gardle.

– Nie rozumiem. – Carson zerka mi przez ramię, jej policzki są tak blade, że zacznę się niepokoić. – Co to jest?

Julia nie odrywa wzroku od Welch.

– Może lekarstwo?

– Nie sądzę – odzywam się.

Gdyby tak było, powiedzieliby nam o tym, prawda? Przyszliby sami?

– A gdzie jedzenie? – Teraz Carson podnosi głos. – Gdzie...

– Przecież to jasne, że nie ma na co liczyć – przerywa jej Julia.

Welch drży na całym ciele i słyszę stłumiony dźwięk, jakby zduszony szloch z głębi jej piersi; w zimnym powietrzu jej oddech staje się urywany.

– Co teraz zrobimy? – Carson mnie mija. – Nie mamy wystarczających

zapasów.

I zanim daję radę ją powstrzymać, chwytam Welch za ramię. Ta zrywa się i błyskawicznie obraca, a jej ręka uderza Carson. Odsuwa się od nas tak szybko, że boję się, iż może spaść z pomostu.

– Nie – ostrzega.

– Wybacz. – Broda Carson drży. – Nie chciałam...

– Nie rozumiecie? – Welch spogląda to na nas, to na Julię, i gdy wiatr rozwiewa jej włosy, dostrzegam spływającą z przegryzionej wargi strużkę krwi.

Julia lekko się uśmiecha.

– Rozumiemy.

Znam ten ton, potrafię rozpoznać kłamstwo. Próbuje zachować spokój, ale dłoń trzyma w kieszeni płaszcza, tam, gdzie ma schowany pistolet.

– Nie, nie rozumiecie. To... – Głos Welch się załamuje, staje się niski i zachrypnięty. – To koniec. Koniec jedzenia, nas, wszystkiego. Oni więcej tu nie wrócą.

– No co ty, jasne, że wrócą. – Julia podchodzi bliżej Welch, wyciągając jedną rękę. W jej głosie pobrzmiewa matczyna nuta. Jest cierpliwa i opanowana, ponieważ ktoś musi, a my jesteśmy tylko dziećmi, chociaż przestałyśmy nimi być już półtora roku temu.

– Nie po tym, co się wczoraj wydarzyło – mówi Welch. – Ktoś złamał kwarantannę.

Ledwie słyszę ryk wiatru w uszach. To jest to. Ona wie, wie, i zaraz poczuję na skroni lufę jej pistoletu.

Zrobiłabym to znowu, myślę, żeby się upewnić, że Byatt wciąż żyje.

– Kto? – podpytuje Julia. Zaskoczona otwiera szeroko oczy i staje jak wryta. – Kto to zrobił?

Wstrzymuję oddech.

– Nie wiem – odpowiada, a po moim ciele rozchodzi się słodka fala ulgi. – Ale to bez znaczenia. – Jej twarz jest mokra, łzy spływają ciurkiem aż do brody. – Camp Nash dało jasno do zrozumienia. Stanowimy zbyt wielkie ryzyko. Jeden wybryk i koniec.

Jeden wybryk. Ja i Reese, to przez nas dok jest dzisiaj pusty. To przez

nas nie ma jedzenia, nie ma zapasów, nie ma niczego. Wstyd rozlewa się ciepłem po moich policzkach i chowam podbródek za kołnierz.

– Nie mogą tak po prostu zniknąć – oświadcza Julia.

Welch potrząsa głową.

– Ten kanister to koniec. Cokolwiek to jest, powstało po to, by nas zabić.

– Skąd możesz to wiedzieć? – docieka Julia. Pod Carson uginają się kolana i ciężko się o mnie opiera. Odsuwam od siebie ogarniającą panikę, chwytam dziewczynę za przedramię i ściskam.

Welch wskazuje głową na skrzynię.

– Ten symbol.

Rzucam szybkie spojrzenie na kanister, bojąc się zawiesić na nim wzrok na dłużej.

– Możesz się mylić. – Julia robi, co może. W jej głosie pobrzmiwa upór.

– Chciałabym, ale niestety tak nie jest. – Welch pociera policzki, rozmazując sobie łzy po twarzy. – Dali temu szansę, prawda? Spróbowali starym, akademickim sposobem. A teraz się wycofują. Bez względu na to, co robię, nie jestem w stanie was chronić.

Chronić przed czym? Przed Toxem? Przed tym, co znajduje się w skrzyni?

Spoglądam na Julię. Dziewczyna wygląda na tak samo zagubioną, jak ja się czuję. Widzę u niej odbicie własnego narastającego przerażenia. To więcej, niż jesteśmy w stanie znieść. A jedyną osobą, która mogła nam pomóc, jest Welch.

Kobieta zanoszą się nerwowym, załamującym się śmiechem.

– Już i tak mam krew na rękach, nie? Chcieli dodatkowo eksperymentować z tym pieprzonym żarciem, ale im na to nie pozwoliłam. Chcieli poddawać was po kolei testom, jednak im się nie udało i zapłaciłam za to, zapłaciłam. Podejmowałam decyzje i skazałam was na śmierć.

Jedzenie, czy to dlatego połowę wyrzucaliśmy?

– Moment – zaczynam. Mam tak wiele pytań, których nie zdążę zadać, zanim gorączkowe spojrzenie Welch się na mnie przesunie.

– Hetty – przemawia. – Nie możesz im ufać, rozumiesz? Ani CDC, ani marynarce...

– Hej – przerywam jej. Łatwo udawać, że wszystko jest w porządku, jeżeli nie wiadomo, co jest nie tak. – Mój tata pracuje w marynarce. Nie każdy tam jest zły. – Nieważne, czy w to wierzę. Nieważne, że pan Harker pokazał mi, co dzieje się z dobrymi ludźmi, i co ojciec może zrobić swojej córce. – Pomogą nam. To jeszcze nie koniec.

– Twój tata. – Wzdycha. W jej oczach dostrzegam współczucie, lecz przede wszystkim irytację. – Hetty, skarbie, twój tata myśli, że nie żyjesz.

– Co? – Na pewno kłamie. Tłumię narastające mdłości. Powiedziała, żeby nie ufać Marynarce Wojennej, ale to ona ostatniej nocy zaniósła do lasu ciało Mony. To jej nie możemy ufać. – Nie wierzę w to.

– To dotyczy was wszystkich – kontynuuje Welch. – Wasze rodziny, sąsiedzi. Nie rozumiecie. To już się dawno skończyło.

Nie wierzę ci, powtarzam sobie, nie wierzę, nie. To by nie przeszło.

Chociaż ma to jakiś sens...

Nikt się o nas nie martwi, nikt nie czeka. Ze względów bezpieczeństwa nie wolno nam utrzymywać kontaktu z rodzinami, lecz to nieprawda. To było tylko kolejne kłamstwo, natomiast my w to uwierzyliśmy.

– Poczekaj – odzywa się Julia. – Jesteś nam winna wyjaśnienia.

Ale Welch patrzy teraz na Carson, a rysy jej twarzy miękną.

– Carson. – Wiatr unosi jej szept do naszych uszu. Wyciąga rękę. – Podejdź tu na chwilę. Potrzebuję twojej pomocy.

Mam ochotę chwycić Carson za rękaw, jednak ona już się poruszyła, ostrożnie przesuwa się po mokrych deskach, aby chwycić rękę Welch. Mój żołądek się zaciska, kiedy kobieta wyciąga nóż z kieszeni żakietu; wygłodniałe ostrze lśni.

Julia krzyczy, ale jest za późno. Welch mocno ściska nadgarstek Carson. Nachyla się.

– Wszystko w porządku, kochana – uspokaja. – Chcę to po prostu zakończyć na swój sposób. Jedyne, co musisz zrobić, to doprowadzić to do końca.

Spoglądam na Julię. Kiwa głową. Wyciągam pistolet z za pasa i trzymam go przy boku. Nie możemy stracić Welch. Ona wie, dokąd zabrali Byatt, a jeśli odejdzie, zabierze tę wiedzę ze sobą do grobu. Nawet biorąc pod

uwagę jej kłamstwa i to wszystko, co sędzę, że zrobiła, każda z nas doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że bez niej całe to miejsce rozpadnie się na kawałki. Potrzebujemy jej. Ja jej potrzebuję.

– Możesz mi pomóc – przekonuje Welch. Zaciska dłoń Carson na rękojeści noża, w zimowym słońcu ostrze lśni niczym lód. – To łatwe. To będzie takie proste.

– Nie – warczy Julia, w jej palcach w mgnieniu oka pojawia się broń. Celuje prosto w Carson, a jej ręka nie drży. Prosząc Carson, Welch wiedziała, co robi. Z nas wszystkich to ona jest najbardziej podatna na manipulację, najłatwiej ją przekonać. Możliwe, że nawet zrobiłaby to dla Welch, ale my nie możemy jej na to pozwolić.

– Możesz to zrobić – ciągnie Welch, a jej uśmiech się rozszerza. – Jesteś silna, wiem o tym.

Nie widzę twarzy Carson, lecz po tym, jak nagle wyprostowała ramiona, mogę zgadywać, że jeszcze nigdy nie usłyszała podobnego komplementu. Podnoszę broń na wysokość podstawy karku dziewczyny. Jestem tak blisko, że nie mam szans chybić.

– Puść ją – rozkazuje Julia, drżenie w jej głosie zmienia się w prośbę. – Wróć z nami do domu. Poradzimy sobie z tym.

Carson spogląda w dół na własną rękę, mocno zaciśniętą na trzonku. Zauważam, jak bieleją jej knykcie.

– Właśnie tak. – Welch zamyka oczy i przysuwa czoło do jej. – Jesteś jedyną, która może mi pomóc.

– Carson, rzuć nóż – mówię. – Zastrzelę cię. Wiesz, że to zrobię. Potrzebujemy jej. Same nie damy rady.

Nikt się nie rusza. Tylko wiatr i mgiełka wodna znad oceanu, nad nami blask zaczyna przebijać się przez chmury. Mrugam, ponownie skupiając się na celu.

– Tak mi przykro – szepcze w końcu Carson. – Nie dam rady, przepraszam.

Pozwalam, by moja ręka opadła, wypuszczam powietrze. Promień słońca wyślizguje się spomiędzy chmur, odbijając się od wody, i kiedy Julia się odwraca, aby osłonić oczy, ja patrzę, jak to się dzieje. Ręce Welch zaciskają się mocno wokół trzymającej nóż dłoni Carson. Zadziera brodę,

a na jej twarzy pojawia się uśmiech, gdy podnosi wzrok. Po raz ostatni wyciąga ramiona, pociąga Carson i zatapia ostrze między własnymi zębami.

ROZDZIAŁ 18

Powoli osuwa się w dół. Najpierw na kolana, a później, gdy Carson ją puszcza, zatacza się i upada na deski pomostu.

– To nie ja – popiskuje. – Przysięgam, że to nie ja.

Szok, odrętwienie. Krew ciemna i lepka, wyciekająca na brzegi mola. Wkrótce rozkwitnie również na wodzie. Mogę sobie wyobrazić, jak rozprzestrzenia się na powierzchni, unosząc się niczym olej, lśniąca i gładka czerwień, czerwień, czerwień...

Julia okrąża skrzynię ze wciąż lśniącem kanistrem w środku, a następnie wyciąga dłoń, żeby przycisnąć opuszki do szyi Welch.

– Nic – oznajmia.

Nie żyje i zabrała swoje sekrety do grobu. Sama nie wiem, co powinnam teraz czuć. Wdzięczność, że nie zdąży mnie już zranić. Złość, że nie dowiem się tego, co wiedziała, i w ten sposób szansa na odnalezienie Byatt prześlizguje mi się między palcami. A do tego wszystkiego tak dobrze znane poczucie winy, pożerające mnie od środka.

Wsuwam pistolet z powrotem za pas, pochylam się i kładę ręce na kolanach. Welch mówiła prawdę o naszych rodzinach. Nie miała powodu, by kłamać. To z kolei oznacza, że moja mama gdzieś tam jest, ale wcale nie odlicza dni, aż wróć do domu.

– Powiemy pozostałym? – pytam. Mój głos jest zachrypnięty, jakbym krzyczała przez długie godziny. – O naszych rodzinach?

Kiedy znów się prostuję, Julia kręci głową.

– Nie ogłoszę tego – informuje. – Sama wolałabym nie wiedzieć.

Ja też. Niestety nie ma czasu, aby dłużej nad tym rozmyślać. Dzień mija, a my nie możemy zostać na zewnątrz po zmroku, zwłaszcza bez Welch.

Rzucam szybkie spojrzenie na jej ciało. Opuszki nie poczerniały. Ona, tak samo jak dyrektorka, była chora, ale zupełnie inaczej niż my, a tutaj mam na to dowód.

– Co z nią zrobimy? Zaniesiemy z powrotem do domu?

Julia spogląda na znajdującą się za moimi plecami linię drzew. Powietrze jest ciężkie od krwi. W ustach czuję ostry posmak miedzi.

– Nie – mruczy. – To nas będzie spowalniać i przyciągać uwagę, której nie chcemy.

Pozostaje tylko jedno. Carson zaczyna płakać, więc biorę ją za ramiona, a potem odciągam. Julia i ja zrobimy to same.

Ona chwyta za stopy, natomiast ja za ręce. Ciało Welch wciąż jest ciepłe, kończyny jeszcze nie zeszywniały. Gdy odgarniam kobiecie włosy z twarzy, spoglądam w jej otwarte oczy. Mam ochotę je zamknąć tak, jak to widziałam na filmach, lecz kiedy ku nim sięgam, czuję na opuszkach muśnięcie jej sztywnych z zimna rzęs, dlatego się odsuwam. Taki sam był pan Harker. Miękki, bez najmniejszego napięcia w ciele.

– Zróbmy to szybko – proponuje Julia. Kuca przy kolanach Welch. – Bierz jej klucze i po prostu ją zepchniemy.

To nic takiego, powtarzam sobie. Po prostu trzeba się tym zająć.

Znajduję przypięte do pasa kółko, trzęsą mi się dłonie, gdy próbuję je odpiąć. Rozpoznaję długi, żelazny klucz do bramy. Jest też klucz do stodoły, chociaż nigdy jej nie zamykamy. Na końcu zaś inny do jej starej klasy. Nadal go nosi, jakby miała nadzieję, że dawne dni jeszcze kiedyś wrócą.

Udało się. Podczepiam klucze do własnego pasa i pochylam się ponownie. Kładę ręce po obu stronach zakrwawionej piersi Welch.

– Na trzy.

Za pierwszym razem udaje nam się przesunąć ją do krawędzi pomostu. Julia siada, zaciska pięści. Zmusza się, żeby to dokończyć, ale nie mamy czasu. Nie mogę dłużej czekać, ponieważ im więcej to trwa, tym płacz Carson staje się głośniejszy. To musi być teraz. Wsuwam ręce pod ramiona Welch i pcham jej biodra. Trwa to długo, słychać szuranie, lecz w końcu, najpierw nogi, a następnie reszta ciała, przechyla się przez skraj mola.

Plusk. Woda ochlapuje mi policzki, przez skórę przesącza się chłód. Wycieram się.

– Dziękuję – szepcze Julia.

Welch się unosi, włosy falują wokół niej. Plama czerwieni się powiększa.

Pozwalam, aby dopadły mnie uczucia – cierpienie, a także w jakiejś mierze niespodziewana satysfakcja – potem wstaję i się odwracam. Prędzej czy później coś przyjdzie z lasu po ciało. Gdy tak się stanie, wolałabym być jak najdalej stąd.

Teraz pozostaje tylko kwestia kanistra. Gromadzimy się dookoła skrzyni, stanowczo unikając patrzenia na fale.

– Co to, do cholery, w ogóle jest? – dopytuję.

– Nie obchodzi mnie to – oświadcza Julia. – Bardziej interesuje mnie, co z tym zrobimy. Ja głosuję za tym, by to wyrzucić i nikomu nie mówić. Sprowadziłoby to jedynie chaos. Zobaczcie, co stało się z Welch.

Carson się wzdryga. Spodziewam się, że zaraz pęknie, rozsypie się, ale ona prostuje plecy.

– Weźmy to ze sobą.

Patrzę, jak na twarzy Julii pojawia się zaskoczenie. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby się w czymś nie zgadzały.

– Dlaczego? – rzuca ostro Julia. – Czemu miałybyśmy brać to ze sobą?

– Zaniesiemy to do dyrektorki. – Carson wzrusza ramionami. – Ona będzie wiedziała, co z tym zrobić.

– My też wiemy, co z tym zrobić – upiera się Julia. Kiwam głową, lecz ledwie zwracają na mnie uwagę. – To ma nas zabić. Po co nam to?

– Zawsze możemy pozbyć się tego później – przekonuje Carson. – Bez Welch została nam wyłącznie dyrektorka. Nie widzę sensu, aby coś przed nią ukrywać.

Julia sięga po dłoń Carson.

– Rozumiem, jesteś wstrząśnięta, ale...

– A co, jeśli Welch się myliła? – Jeszcze nigdy nie słyszałam Carson mówiącej tak głośno. Ma szkliste oczy, jej dolna warga lekko drży, jednak trwa przy swoim. – A co, jeśli to lekarstwo? Dyrektorka będzie wiedzieć. – Ściera z policzka zabłąkaną łzę. – Julio, jestem taka zmęczona. Mamy tak wiele tajemnic i podejmujemy decyzje, których nie powinniśmy podejmować. Nie mogę teraz tego zrobić. To ja miałam nóż w rękach, jasne? Nie ty. Dajemy to dyrektorce.

Julia wygląda na dotkniętą.

– Przepraszam – mówi szorstko. – Oczywiście. Tak, weźmiemy to. Hetty, co ty...

– Niech będzie tak, jak chce Carson – chrypię. Jestem wykończona i jeżeli Carson znowu się rozplacze, obawiam się, że ja również.

Odwracam wzrok, oddalam się nieco, żeby dać im chwilę, ale wciąż dostrzegam osuwającą się w ramiona Julii Carson.

Skrzynia okazuje się zbyt ciężka, aby którakolwiek z nas zdołała ją podnieść. Nie odzywamy się, lecz żadna z nas jakoś nie pała chęcią do tego, by wyjąć kanister.

– My to weźmiemy – Julia zagaduje do Carson. – Ty idź przodem.

Kucam, zamykam kufer i przesuвам dłonią po gładkiej powierzchni. Jest chłodna w dotyku, z drobnymi marszczeniami, których nie wypatrzyłam z daleka. Z boku wbudowany jest uchwyt. Julia znajduje drugi podobny po przeciwnej stronie. Wspólnymi siłami udaje nam się dźwignąć skrzynię. Dziewczyna się krzywi, kiedy pojemnik uderza w jej biodro.

– Jakby dyrektorka pytała – przemawia, gdy zaczynamy iść – Welch sama to zrobiła. Carson stała za tobą.

– Pewnie, że tak – odpowiadam.

Dżinsy kleją mi się do ciała, przesiąkają, a za okiem pojawia się ból. Odbijające się od powierzchni oceanu ostre światło to zbyt wiele. Chcę tylko wrócić do domu. Gdzieś, gdzie jest spokojnie, z dala od wspomnień o pannie Welch i panu Harkerze. Gdzieś razem z Reese, która powiedziała mi, że wszystko będzie dobrze.

Ledwie skrywają nas drzewa, kiedy to czuję, drżenie ziemi, odległe trzaskanie gałązek. Julia przyspiesza, a ja za nią. Staram się nie zerkać za siebie. Ale mijamy zakręt na drodze i oglądam się przez ramię. Dostrzegam kształt czegoś olbrzymiego i mrocznego, poruszającego się wśród gęstwiny. To zwabiony krwią niedźwiedź.

Jestem zbyt zmęczona, żeby się bać. Tak wykończona, że mogę wyłącznie iść dalej. *Hetty, patrz przed siebie. Pomyśl o czymś innym,* powtarzam sobie. Niestety jedyne, co przychodzi mi do głowy, to wczorajsza noc i sposób, w jaki skóra pana Harkera rozpadała się pod

moim dotykiem. A wcześniej ciało Mony w torbie. A wcześniej, wcześniej, wcześniej...

Wszystko, co uczyniłam, ciała, których dotykałam własnymi rękami. Wszystko na nic, jeśli nie odnajdę Byatt. Welch nie może mi pomóc, ale i tak ją odnajdę. To, co zdarzyło się na pomoście, zostawiamy za sobą. Od czasu Toxu moje dłonie pokryły się odciskami i teraz, gdy tak idziemy, jestem za to wdzięczna. Carson maszeruje przed nami, a kufer staje się coraz cięższy i cięższy. Żałuję, że żadna z nas nie włożyła sobie tego kanistra do torby tak, że skrzynię mogłybyśmy zostawić na molo.

– Już prawie jesteście – informuje Julia, kiedy droga przechodzi w ostatni długi zakręt, kończący się przed bramą szkoły. Nie spuszcza wzroku z wierzchołków drzew, czekając, aż ukaże się dach. – Ludzie będą w holu – kontynuuje. – Carson powinna iść sama. Znaleźć dyrektorkę i przyprowadzić ją do płotu, żebyśmy mogły ustalić, co dalej.

Jedzenie. Wypierałam to, jednak bez sensu. Gryzę się mocno w wargę, aby powstrzymać cisnące się do oczu łzy. *Proszę, niech Byatt będzie tego wszystkiego warta. Proszę, niech jej życie będzie warte ryzykowania naszych!*

– Myślisz, że będzie tak źle?

– Na pewno nie będzie miło.

– Taaa. – Mam nadzieję, że zabrzmiało to tak, jakbym się zgadzała. Wołam Carson, ignorując to, jak przewraca mi się w żołądku.

– Co jest? – podpytuje.

– Wyślemy cię przodem.

– Odszukaj jedynie dyrektorkę – dodaje Julia. – Przyprowadź ją do nas.

– Ja...

– Nie musisz niczego wyjaśniać – mówię łagodnie. – Powiedz po prostu, że na nią czekamy. Tylko tyle.

Kiwa głową, odwraca się plecami do nas i idziemy dalej, aż w końcu między drzewami dostrzegam krawędź dachu. Ten widok rozluźnia ucisk panujący w mojej klatce piersiowej, długo i powoli wypuszczam powietrze. Im szybciej tam dotrzemy, tym prędzej pozbędziemy się skrzyni, a ja powrócę do niebezpieczeństw, do których zdążyłam przywyknąć.

Mijamy ostatni zakręt, po czym podchodzimy do furtki. Carson macha

do dziewczyn z Brygady Ogniowej. Wiem, co muszą czuć. Wzmagający się strach, gdy nas liczą, jeden raz, drugi.

Bez Welch wszystko się zmieni. Porządek, który same zbudowałyśmy, i tak powoli zaczynał trzeszczeć. Bez Welch nie ma już nic, co spajałoby tę konstrukcję.

Opuszczamy kufer na ziemię. Odczepiam klucze od pasa, a następnie wybieram żelazny. Czuję na opuszkach jego chłód, przykleja się i pociąga za skórę. Wsuwam go do zamka i przekręcam. Słyszę szcęk metalu, kiedy się otwiera.

Carson przytrzymuje dla nas bramę. Julia i ja przenosimy skrzynię, a potem odkładamy ją po drugiej stronie. Julia przeciąga się z jękiem. Gdy jej koszula podjeżdża do góry, dostrzegam siniak z wczoraj. Krzywię się – wygląda jeszcze gorzej niż wcześniej. Napinam drętwiejące palce, aby zamknąć za nami furtkę.

– Po prostu powiem, żeby tu przyszła, tak? – Carson nerwowo skubie paznokcie. Wyciągam rękę, chwytam ją delikatnie za nadgarstek, starając się nie wzdrygnąć od lodowatego dotyku jej skóry.

– Powiedz dyrektorce, że to ważne. Udawaj, że jest w porządku, okej? Dla dziewczyn. Wszystko będzie dobrze.

Kiwa głową i bierze głęboki wdech.

– Wszystko będzie dobrze – powtarza.

– Założę się, że za kwadrans wszyscy już będą wiedzieć, co się stało – mamrocze Julia, kiedy Carson rusza w kierunku budynku.

– Może przynajmniej unikniemy paniki – bąkam.

– Na razie. – Julia mruży oczy, spoglądając na dziewczyny z Brygady Ogniowej, po czym przechodzi na przód kufra. – Powiedziałabym, że ostatecznie i tak nas to nie ominie.

Czekamy minutę, góra dwie, ale wydaje się, jakby minęło znacznie więcej czasu. Każdy podmuch wiatru sprawia, że drzę. W końcu otwierają się drzwi frontowe, a gdy podnoszę wzrok, dyrektorka śpieszy już w naszą stronę.

Z nieodłącznego koka wypadają jej włosy i jeszcze nigdy nie widziałam jej poruszającej się w tempie tak zbliżonym do biegu. Koszula niemal

wychodzi z jasnobrazowych, poplamionych spodni, jakby szukała czegoś w schowku. Carson ledwie za nią nadaża.

– Co się stało? – docieka dyrektorka. – Gdzie jest panna Welch?

Rzucam Carson uspokajające spojrzenie.

– Na pomoście zdarzył się wypadek.

– Wypadek? – Patrzy to na mnie, to na Julię. – Mówcie jaśniej.

– W dostawie było coś nieoczekiwanego – oznajmia Julia. – Welch nie zniosła tego za dobrze.

Carson się kuli, a ja nie mogę powstrzymać wspomnienia o wciąż ciepłym ciele kobiety pod moimi dłońmi. Jednak dyrektorce nie drgnął ani jeden mięsień.

– Chcecie powiedzieć, że... – zaczyna, ale nie słyszymy już nic więcej.

– Zabiła się – wyjaśniam drżącym głosem. – Krwawiła tak bardzo i tak szybko. Nic nie mogliśmy zrobić. Musiałyśmy ją tam zostawić.

– Oczywiście – przemawia słabym głosem. – Oczywiście, że tak. – Kołysze się lekko, a potem prostuje, opierając się mocno na stopach. – Dziękuję wam, dziewczęta, za to, że mi powiedziałyście. Idźcie do środka i uporządkujcie jedzenie.

– Właściwie to... – duka Julia, wzruszając ramionami, tymczasem dyrektorka spogląda na nasze puste ręce oraz luźno zwisające torby.

– Zostawiłyście jedzenie? – Nie dowierza. – W takim razie wróćcie po nie. Jest jeszcze czas przed zmrokiem.

– Nie zostawiłyśmy. – Odchrząkuję. Muszę to powiedzieć. To jedyna odpowiedzialność, jaką mogę na siebie wziąć. – Nie przysłali go.

Kobieta wpatruje się we mnie przez moment, jej twarz jest napięta z zaskoczenia.

– Co takiego?

Julia się odsuwa, aby pokazać jej skrzynię.

– Przysłali tylko to. Właśnie to tak... – urywa – ...zmartwiło Welch.

Dyrektorka nas mija, by przykucnąć przed kufrem. Gdy rozpoznaje symbol namalowany na pokrywie, jej usta opadają, a zmarszczki przy brwiach się pogłębiają.

Czekamy, aż ją otworzy, ale tego nie robi. Julia odkaśtuje.

– Welch mówiła, że...

– Wiem, jak tego użyć – dokańcza za nią. Liczę, że nam to wyjaśni, lecz ona szybko wstaje i otrzepuje spodnie. – Wracajcie do środka.

Julia spogląda na mnie skonsternowana.

– A co z...

– Powiedziałam, wracajcie do środka. – Głos dyrektorki przesiąknięty jest śmiertelnym spokojem. – Przyślijcie do mnie Taylor. I nikomu ani słowa. I Hetty, ja wezmę te klucze.

– Jasne. – Upuszczam cały pęk na jej wyciągniętą dłoń, po czym pośpiesznie się oddalam. Julia nie zostaje w tyle. Kiedy mijamy Carson, haczę o jej rękaw. We trójkę szybko ruszamy w stronę podwójnych drzwi.

Zapomniałyśmy. A przynajmniej ja próbowałam zapomnieć o dziewczynach, które będą na nas czekać. Gromadzą się w głównym holu, a gdy drzwi się za nami zamykają, wszystkie cichną. Osobliwy szum i wesoła paplanina zamiera. Pamiętam to uczucie. Podniecenie, głód szarpiący wnętrzości. A także lęk. Niepokój, że któregoś dnia zabraknie nam pożywienia.

Cóż, dziś okaże się to słuszne.

Spoglądam na Julię. *Nie zrzucaj tego ciężaru na mnie. Ja nie dam rady.*

– Jedzenie jest w kuchni – informuje. – Musimy zrobić coś z tym, co mamy.

Nikt się nie porusza. Nie mam pewności, czy ktoś jej uwierzył. Julia nie jest znana z poczucia humoru i wiele przeszłyśmy, ale widzę, że niektóre dziewczyny zaczynają się nerwowo uśmiechać. Jedna z najmłodszych chichocze w kącie, zanim ucisza ją koleżanka.

– Więc? – Głos Julii staje się ostry. – Nie jestem, do cholery, waszą kelnerką.

Następuje poruszenie, gdy dziewczyny wstają i idą do kuchni, by jak zwykle zdobyć jedzenie dla swojego grona. Tylko że teraz nie ma Welch, do której zazwyczaj mogły się po to zwrócić. Reese też tutaj nie ma, nie czeka na mnie.

Wyciągam pistolet zza pasa, wsuwam go w dłonie Julii i wracam na górę, do swojego pokoju. Wyciągam się na łóżku. Kiedy zamykam oko,

staram się odgonić widok ciała Welch.

ROZDZIAŁ 19

Kolacja była, minęła, teraz nadchodzi wieczór. Wydaje mi się, że upłynęły lata, odkąd wraz z Reese wymknęłam się za Welch. Tymczasem to raptem jeden dzień. Jeden dzień, a wszystko rozpada się coraz bardziej.

Gdyby tylko była tu Byatt, myślę sobie. Ona wiedziałaby, jak to naprawić. Wiedziałyby, co należy zrobić. Ona jest jednak dalej niż kiedykolwiek. Welch nie żyje i odpowiedzi wymykają mi się z rąk.

Jest późno. Zbliża się poranek. Liczyłam, że może Reese się do mnie zakradnie, myśląc, że już śpię, ale nie. Na korytarzach panuje cisza, przerywana wyłącznie odgłosami, do których zdążyliśmy przywyknąć – a to jakiś krzyk, a to chlipanie, bo znów ktoś płacze w poduszkę.

A potem, słaby i zmieszany z wiatrem, niski, poszarpany jęk. Dociera do mnie pulsujący, zacinający się dźwięk, tak głęboki, że czuję go w całym ciele. Nigdy nie słyszałam czegoś takiego. To nie maszyna i nie człowiek. To coś pochodzi z dziczy.

Wstaję, podchodzę do parapetu. Z mojego okna widzę zaledwie dziedziniec oraz północne skrzydło budynku, tonące w słabym, niebieskim blasku przedświt. Nic się nie porusza. Cały dom pogrąża spokój. Prawdopodobnie to coś z lasu. Albo może sobie to jedynie wyobraziłam.

Ale nie. Jazgot powtarza się minutę później. Wyraźniejszy, dłuższy, odbijający się echem. Dochodzi z terenów szkoły.

Na pewno usłyszał to ktoś jeszcze, więc idę do drzwi i wychodzę na korytarz. Mija trochę czasu, zanim moje oko się dostosowuje. Początkowo odnoszę wrażenie, że jestem sama, lecz wtedy w dalszej części korytarza dostrzegam Reese. Jej włosy tworzą na ścianach dziwne cienie.

– Och – mruczę. Nie widziałam jej, odkąd między nami wszystko się pogmatwało. Wyglądała, jakby miała się całkiem nieźle.

Reese nie odpowiada. Przechyliła głowę, a gdy otwieram usta, żeby powiedzieć coś więcej, podnosi rękę. Zauważam, że zdjęła już temblak, ale z bladości jej skóry mogę wywnioskować, że nadal cierpi.

Wówczas hałas rozlega się po raz trzeci. Dźwięk jest na tyle głośny, że słyszę, jak przechodzi w niski pomruk. Jakikolwiek jest to zwierzę, musi być blisko.

– Powinnyśmy zawołać dyrektorkę? – pytam.

Nie patrzy na mnie, mimo to odpowiada normalnie.

– Nie wiem.

Dyrektorka unika nas od tamtego popołudnia, kiedy wróciłyśmy z wyprawy. Teraz najpewniej zajmuje się kanistrem oraz jego zawartością. Musi także poradzić sobie ze stratą Welch. Na początku korytarza Cat wystawia głowę ze swojego pokoju, Lindsay zatrzymuje się w cieniu za nią.

– Hej. Wy też to słyszałyście?

– Tak – informuję.

– Co to może być? – Przeciera zaspane oczy. – Brygada Ognkowa coś mówiła?

Idę dalej w kierunku holu.

– Jeszcze nic.

– To chyba jakieś zwierzę. Myślę, że... – zaczyna Reese, po czym urywa, wskazując głową na wychodzące na główny hol mezanino. – Zobaczmy.

Idziemy razem, Cat i Reese ruszają przodem, natomiast ja i Lindsay podążamy za nimi. Lindsay mnie obserwuje, czuję to – musiała zrozumieć, że coś jest nie tak, skoro Reese śpi po drugiej stronie korytarza, ale na szczęście nic nie mówi. Nie sądzę, bym potrafiła to znieść.

Przecinamy półpiętro i schodzimy po schodach. Straż przy drzwiach pełni Ali.

– Hej – wita się, gdy tylko nas zauważa. Na jej twarzy dostrzegam ulgę. – Wiecie, co to za dźwięk?

– Właśnie szłyśmy to sprawdzić – wyjaśnia Reese. – Dociera z zewnątrz, stamtąd. – Wskazuje południowy korytarz, prowadzący za róg, gdzie znajduje się gabinet dyrektorki. – Chcesz iść z nami?

– Nie – odpowiada szybko Ali. – Pójdę na dach, sprawdzę, co widziała Brygada Ognkowa. – Biegnie do schodów, zostawiając nas same.

Kierujemy się do podwójnych drzwi. Cat i Lindsay się cofają, czekając, aż Reese je otworzy. Ustępują jej tak samo, jak pozostałe dziewczyny, po

części ze strachu, a po części z podziwu. Ale Reese nie daje rady, nie z tym ramieniem.

– Ja spróbuję – proponuję. Napieram obiema rękami i udaje mi się uchylić jedno skrzydło. Zerkam na Reese, mając nadzieję na cokolwiek, choćby uśmiech, spojrzenie. Ona tylko przeciska się na zewnątrz, odwracając głowę. Cat i Lindsay idą za nią, a ja sprawdzam jeszcze, czy drzwi się nie zatrzasną, po czym podążam za nimi.

Zbieramy się na werandzie, otulając się kurtkami przed kąśliwym chłodem. Powietrze jest ciężkie, naelektryzowane, jakby zaraz miała rozpętać się burza. Biorę ostry, rześki wdech, spoglądam na czyste niebo i spirale gwiazd. Przez chwilę wszystkie stoimy nieruchomo i słyszę, jak jedna z nas cicho wzdycha. A potem znów ten hałas. Narastający, wibrujący pomruk. Dochodzi zza płotu.

Wpatruję się w mrok i zaczynam iść w dół drogi. Pozostałe dziewczyny ruszają za mną. Już powinnyśmy to zobaczyć, nawet między drzewami. Jazgot tego zwierzęcia jest wyraźny.

Szeroka, matowa połać szronu przecina kamienny chodnik. Solidne ogrodzenie, a dalej – ponad wierzchołkami drzew – pojawia się pierwsza oznaka wschodu słońca. Ale jest coś jeszcze, coś mrocznego, poruszającego się przy bramie, niestety nie mogę dojrzeć jego kształtu, bo miesza się on ze wszystkim innym. Mrugam, odwracam wzrok i znów patrzę. Cat sapie, a Lindsay woła:

– Jasny gwint!

I nagle kontury się wyostają.

Czarne, lśniące futro. Ogromny, z potężnymi łapami i nisko zwieszonym łbem, sięgający mi czubka głowy. Stoi na czterech łapach. Niedźwiedź. Ten sam, którego zobaczyłam podczas swojej pierwszej wyprawy z Brygadą Łódziową, ten sam, którego słyszałam w lesie, gdy zostawiłyśmy ciało Welch. Tylko że teraz on znajduje się po naszej stronie ogrodzenia.

Znów ryczy, a my wpadamy na siebie. Sterczymy tak nieruchomo, jak tylko możemy. Zimowe powietrze wyrывa nierówne oddechy z naszych płuc.

– Na co czekają te z Brygady Ogniowej? – szepcze Cat. – I jak on

przedostał się przez płot?

– Spójrz. – Lindsay pokazuje gdzieś w ciemność. – Pewnie tak.

W moim wnętrzu wzbiera strach, lecz już wiem. Jestem pewna. Za zwierzęciem z ciemności wyłania się brama – otwarta na oścież.

Powinnam była bardziej uważać. Powinnam była sprawdzić. Ale wróciłam z wyprawy i zwyczajnie ją przymknęłam. Welch, kanister oraz wspomnienie poprzedniej nocy – to nie powinno mieć znaczenia. Jak mogłam narazić nas na ryzyko? Jak mogłam być tak głupia?!

To moja wina, to ja sprowadziłam na nas koniec.

Przepraszam, powtarzam sobie, tak bardzo mi przykro.

Niedźwiedź jest coraz bliżej, przemieszcza się na czterech łapach, ze skierowanym do ziemi nosem. Człapie powoli w pobliże budynku. Co jakiś czas głośno sapie i kłapie zębami, a uderzenia jego szczęki niosą się ponuro przez trawnik. Jego uszy drgają, widzę skrawki wyrwanej skóry oraz żywą tkankę na całej długości kręgosłupa.

Wrzask z dachu, a następnie nad naszymi głowami rozlega się strzał. Pocisk uderza w kamień znajdujący się przed nami na ścieżce. W odpowiedzi zwierzę wydaje z siebie ryk. Krzyczę ze zdziwienia. Ktoś przyciska mi dłoń do ust, niestety jest już za późno.

Niedźwiedź podrywa łeb i się odwraca, żeby spojrzeć prosto na mnie. Wypuszczam kolejny zduszony okrzyk. Połowę jego pyska stanowi naga kość.

Zachowujcie się głośno, powiedział nam kiedyś pan Harker. Walczcie. To jednak jest Tox i wątpię, aby te porady na coś nam się jeszcze przydały.

– Strzał go nie wystraszył – przemawia Reese. – Ale Brygada Ogniowa wciąż może go zastrzelić.

Obok mnie drży Lindsay. Stoję wciśnięta między pozostałe dziewczyny, moje ciało jest jak żywy drut. Napięte tak mocno, że można by mnie złamać na pół. Serce wali mi jak szalone.

– Dajmy im jeszcze jedną szansę – szepczę.

Następny strzał i ryk zwierzęcia. Wydaje mi się, że tym razem go trafili, ale on wciąż się zbliża.

– Zaczniemy się wycofywać – zarządza Reese, jej głos jest niski

i spokojny. – Pomału. Na trzy.

Chwytam Cat za rękę, kiedy Reese zaczyna liczyć. Wszystkie jesteśmy połączone, więc czuję, że któraś dygocze, gdy niedźwiedź prycha i przenosi swój ciężar na tylne łapy. Do szkoły jest niedaleko, lecz jeśli pobiegniemy, z pewnością złapie przynajmniej jedną z nas.

Po pierwszym kroku odsuwamy się na tyle od zwierzęcia, że nie wyłapuję zapachu jego oddechu. Obserwuje nas, zatem staram się nie mrugać, aby nie zerwać kontaktu wzrokowego, ale czuję, jak boli mnie ślepe oko. To napięcie, ciemność i jestem taka... taka zmęczona.

– I znowu – mruczy Reese.

Razem wykonujemy kolejny krok. Nasze nerwy drżą, pięści są zaciśnięte.

Przez chwilę panuje cisza i czuję, jak moje ramiona się rozluźniają. Później rozlega się warczenie, jakby dudnienie ziemi, tak głośne, że wstrząsa mną aż po sam kręgosłup.

– Dobrze. Biegniemy.

Pierwsza zrywa się Cat. Odsuwa się od nas i rzuca do ucieczki. Upadam na kolana, lodowata, szorstka ziemia kaleczy mi palce. Cień niedźwiedzia rośnie, a kiedy zerkam w górę, zbliża się ku mnie, lśniąc białą kości, z otwartym mokrym pyskiem. Opanowuje mnie spokój. Jedyne, co mam, to nóż schowany przy pasie, niezbyt dobry do takiej walki, ale mogę kupić czas innym. To ja go tu wpuściłam. Umrę, trzymając go jak najdalej od pozostałych.

Nieoczekiwanie Reese sięga swoją srebrną ręką i pociąga mnie na nogi. Oczy błyszczą jej dziko, natomiast policzki płoną rumieńcem.

– Rusz się.

Dudnienie stóp, powietrze chłoszcze mnie po twarzy, krew buzuje w żyłach. Słyszę to – zwierz biegnie za nami, a uderzenia jego łap wstrząsają ziemią. Huk wystrzału, pocisk chybia w ciemności. *Nie mogę się oglądać, nie mogę się oglądać.*

Cat czeka pod wejściem, Lindsay jest tuż przede mną. Mijam ją i gnam do otwartych drzwi. Coraz trudniej mi brać kolejny oddech, chłód ściska mi płuca.

– Szybciej! – wrzeszczy Cat. Reese dopada drzwi i znika w środku. Cat sięga ku mnie, a ja powoli tracę kontrolę nad kończynami. Wpadam na nią w pół kroku, pozwalam się popchnąć do głównego holu.

– Dalej, Lindsay! – krzyczy. Dziewczyna była tuż za mną, mogłabym przysiąc, ale słyszę jej krzyk, a potem wrzask, załamujący się i ochryply. Straszliwy, zgrzytliwy dźwięk spływa dreszczem po moich plecach. Chyba nigdy go nie zapomnę. Cat zatrzaskuje frontowe drzwi, a Reese grzebie przy zamku, przesuwając rygiel przy akompaniamencie mokrego warczenia oraz trzasków kości. Lindsay skomle po raz ostatni.

– Dajesz radę? – pytam Cat.

Jej twarz jest całkowicie pozbawiona koloru, a oczy szkliste, jednak kiwa głową. Ze stoickim spokojem i siłą dziecka Marynarki Wojennej.

– Na razie.

Dzięki Bogu w pomieszczeniu nie ma żadnych okien. Czekamy i modlimy się, by niedźwiedź nie spróbował staranować drzwi. Zamek jest mocny, ale nie wytrzymałby długo przeciwko czemuś takiemu.

– Chodźmy, póki jeszcze możemy – ponagla Reese. – Trzeba ostrzec dyrektorkę.

Ali schodzi po schodach, dwie dziewczyny z Brygady Ogniowej depczą jej po piętach.

– Cholera – wypala. – Gdzie Lindsay?

– Gdzie Lindsay? – Cat mija Ali i chwyta za ubranie najbliższą dziewczynę, Lauren, która zajęła moje miejsce w Brygadzie Ogniowej. – Gdzie ty, do diabła, byłaś?!

– Przepraszam – mamrocze Lauren, potykając się o własne słowa. Druga dziewczyna, Claire, staje między Cat a nią.

– To nie jej wina. – Przęłyka ślinę. Nawet w mdłym świetle widać rumieńce na jej policzkach. – Zmieniałyśmy się i przyszła moja kolej. Zasnęłam.

Cat puszcza kurtkę Lauren.

– Zasnęłaś?

Claire nie patrzy w jej kierunku.

– To był wypadek.

– Powiedz to Lindsay – warczy Cat.

W tym momencie przy wyjściu z północnego korytarza pojawia się blask, po czym do holu ze spuszczoną głową wchodzi dyrektorka. Nie przypominam sobie, żeby mogła gdzieś tam ukryć kanister, ale ona zna ten budynek lepiej niż ja.

– Hej – zagaduje Reese, a kobieta podskakuje. Podnosi na nas nerwowe spojrzenie szeroko otwartych oczu.

– Dziewczęta, co się dzieje?

Reese wszystko wyjaśnia. Dźwięk, który usłyszałyśmy, niedźwiedzia, który przedostał się na teren szkoły. Pomija to, co się stało z Lindsay, zapomina, że Brygada Ogniowa zaspala. Zresztą to i tak nie ma znaczenia.

Usta dyrektorki otwierają się i zamykają, na jej języku pojawia się jaskrawa czerwień. W końcu odchrząka.

– Jak on się tu przedostał?

Ja, zawsze ja doprowadzam tę szkołę do upadku. Reese jest wściekła i wiem, że myśli o tym, by powiedzieć dyrektorce o mnie. Nie będę z tym walczyć – zasłużyłam na to – lecz ona tylko kręci głową.

– Nie wiemy.

– Dobrze – dyrektorka mówi bardziej do siebie niż do nas. – Dobrze, dobrze. – Nagle spogląda na mnie oraz Reese, a następnie się odwraca i znika w swoim gabinecie.

– Super, kurde, ale co dalej? – zastanawia się głośno Reese.

ROZDZIAŁ 20

Postanawiamy obudzić pozostałe dziewczyny. Szkoła nie utrzyma się sama i to tylko kwestia czasu, zanim niedźwiedź się przebiję. Mamy tutaj zbyt wiele drzwi, z kolei okna w jadalni są wysokie i szerokie na całą długość pomieszczenia. Ale przynajmniej spróbujemy pozostać przy życiu tak długo, jak się da.

Razem z Cat idziemy na górę, maszerujemy korytarzem, pukając od drzwi do drzwi i budząc najmłodsze dziewczyny. Jest Julia, jest Carson, które same z siebie zaczynają gromadzić innych w grupy u stóp schodów. Zapalono świece, a wszystkie powoli wlewają się do holu, mrużąc oczy i marszcząc brwi.

Jednak bez Welch potrzebujemy kogoś, kto stanie na czele. Nie Reese, natomiast kogoś, kogo nie boją się najmłodsze dziewczyny. Kogoś takiego jak Taylor.

Nie jestem pewna, który pokój należy do niej, lecz znam niektóre dziewczyny z jej rocznika, śpiące na końcu korytarza, oddzielone od pozostałych paroma pustymi sypialniami.

Ten należał kiedyś do Emily oraz Christine, ten do Mary. Mijam je, próbując zignorować narastający harmider, dochodzący z głównego holu.

W końcu, kilka drzwi przed pokojem Mony, widzę przez szparę migotanie światła, a także słyszę wewnątrz jakiś szelest. Pukam, po czym się cofam. Taylor otwiera. Ma rozczochrane włosy i właśnie naciąga koszulę. Na jej piersi zauważam sznur mięśni o szerokości mojego kciuka, biegnący w dół, znikający za paskiem jej dzinsów. Bładoniebieski, skręcony, prawie spleciony oraz pulsujący, jakby żył.

– Napatrzyłaś się? – warczy Taylor.

Szybko uciekam wzrokiem. Czy to jakiś rodzaj żyły?

– Wybacz, nie chciałam...

– O co chodzi?

Odchrząkuję.

– Chodzi o to... – dukam. – Potrzebujemy cię na dole.

Opowiadam jej o niedźwiedziu i dostrzegam, jak z jej twarzy odpływa kolor.

– Gdzie jest dyrektorka? – pyta.

– Poszła do swojego gabinetu, ale...

Mija mnie, jedno z jej szerokich ramion uderza o moje. Czuję, jak moje ciało się rozluźnia, gdy podążam za nią na półpiętro. Jeśli ona stanie na czele, poradzimy sobie. Będzie wiedziała, co robić.

Schodzimy po schodach, mijając parę ostatnich maruderek, które dołączają do pozostałych w holu. Wyłapuję spojrzenie Reese, obserwuję ulgę pojawiającą się na jej twarzy, kiedy Taylor brnie przez tłum. Nasza radość okazuje się jednak przedwczesna, ponieważ Taylor, podobnie jak dyrektorka, ignoruje zbierające się dziewczyny i niemal biegnie w stronę gabinetu.

– W porządku – uspokaja Cat, podchodząc, by stanąć u mego boku. – Poradzimy sobie same.

Decydujemy, że pierwszą i najważniejszą rzeczą jest zabezpieczenie drzwi frontowych. Claire wraz z Ali prowadzą grupę do sal lekcyjnych po biurka, krzesła i inne sprzęty, które można wykorzystać do zbudowania barykady. Julia oraz Carson idą do kuchni, szukając narzędzi do podważenia przykręconych do podłogi stołów w jadalni. Przyłącza się nawet Landry, która zabiera kilka młodszych dziewczyn do pokoi, aby zrywać drabinki z łóżek.

A ja, ja tkwię pośrodku holu, stoję tam, wrosnięta w ziemię. Przez półtora roku byliśmy tak bezpieczne, jak to tylko możliwe. Ogrodzenie, regularne dostawy, Welch i dyrektorka trzymające nad nami pieczę. I tak przez wiele miesięcy, a ja obróciłam to w niwecz raptem w jeden tydzień.

Sarah z Lauren ciągną kanapy do frontowych drzwi. Cat jest w pobliżu, wygląda na samotną bez Lindsay u boku, za to w jadalni chyba zauważam Julię zmagającą się ze śrubami przy długich stołach. Ruszam w tamtym kierunku, ale robię zaledwie parę kroków i na korytarzu trzaskają drzwi, a z gabinetu wychodzi dyrektorka. Tuż za nią podąża Taylor.

Kobieta wygląda lepiej niż rano przy drzwiach. Wygładzone ubranie – świeżo wyprasowane, jak gdyby miała gdzieś ukryte żelazko – włosy upięte

na powrót w schludny, szary kok.

– Do mnie! – woła, klaszcząc dwa razy. – Proszę wszystkie tutaj!

Zatrzymujemy się. Żadna z nas nawet nie drgnie. Nie do tego jesteśmy przyzwyczajone, zwykle jest wycofana, odległa, jej słowa przekazuje nam Welch. Niestety teraz jest to niemożliwe.

– Na co czekacie? – syczy, a my gramolimy się na nogi. Przechodzi między nami i wspina się na środek schodów tak, żeby każda ją widziała. – Dobrze, ustawcie się. Zgodnie z rocznikiem i nazwiskiem, proszę.

Zajmuje nam to chwilę, gdyż minęło sporo czasu, odkąd stawałyśmy w siedmiu rzędach. Kiedyś w każdym było czternaście lub piętnaście dziewczyn, ale dziś jest tak, jakby niektóre z nich nigdy nie istniały. Oprócz tego najmłodsze z nas zawsze miały jedenaście lat, zaś teraz mają po trzynaście. Wiele osób pozostaje jedynie w naszej pamięci, a szeregi są krótkie i przerywane. To właśnie dlatego już tak nie stajemy. To przynosi zbyt wielki ból.

Mam na nazwisko Chapin, więc jestem pierwsza. Za mną staje Reese, później Dana Kendrick, Cat Liao, Lauren Porter oraz Sarah Ross. Nie mogę się powstrzymać i spoglądam na koniec, na puste miejsce, gdzie powinna stać Byatt.

– Dziękuję – przemawia dyrektorka, gdy skończyłyśmy zajmować swoje pozycje. – Jak wszystkie najwyraźniej już wiecie – jej głos załamuje się coraz bardziej – dzisiaj wcześniej rano ogrodzenie doznało uszczerbku. W związku z tym wprowadzam zakaz wychodzenia na zewnątrz aż do odwołania.

Zamykam oko. Muszę się do tego przyzwyczaić – do poczucia winy, które mnie zżera. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek minęło.

– Aby poprawić naszą gotowość do reagowania w sytuacjach kryzysowych – kontynuuje – przeprowadzimy dziś ćwiczenia bezpieczeństwa. Proszę za mną.

To jest niedorzeczne. Zdecydowanie. Ale idziemy za nią korytarzem północnym, mijamy sale lekcyjne oraz biura wydziałowe, skręcamy za róg, następnie kierujemy się do pokoju muzycznego. Jest to ogromne audytorium pozbawione okien, z wysokimi sufitami, a także podniesioną platformą wzdłuż jednej ze ścian. Na szerokiej, pustej posadzce ponownie

ustawiamy się w rzędy.

Przedtem były tu pulpity muzyczne i fortepian. Niektóre dziewczyny miały skrzypce, które przywiozły z domu. Lecz to wszystko jest już przeszłością. Zostało wyłącznie biurko nauczyciela, przykręcone do podłogi z przodu pomieszczenia. Obok mnie dygocze Cat. Jest zimno. Tu nigdy nie dociera słońce.

Gdy znajdujemy się wreszcie w środku, dyrektorka liczy nas raz i drugi. Czekam na jej wyjaśnienia, tymczasem ona stoi tylko przed nami, poruszając wargami. Gdybym jej nie znała, powiedziałabym, że drży. A potem kiwa głową do Taylor, która robi krok, wychodząc z szeregu.

Czuję ciężar w żołądku. Powinnam była wiedzieć. Powinnam była to zauważyć. To przecież ona przeniosła Monę do domu Harkerów. Myślałam, że jest po naszej stronie, ale nie. Ona należy do nich.

– Bierz ją – rozkazuje dyrektorka.

Taylor rusza w moim kierunku. Chodzi o mnie, musi chodzić o mnie – wiedzą, że złamałam kwarantannę. Dyrektorka musiała się tego dowiedzieć. Lecz Taylor mnie omija, wpatrując się w kogoś innego.

– Czekaj. – Tylko tyle mam czas powiedzieć, bo Taylor owija warkocz Reese wokół swojej pięści i ciągnie ją na ziemię. Wrzeszczy, ale Taylor wypycha ją w przód, ściągając ramiona za plecy. Szarpie jej ranną rękę. Reese krzyczy coś, co brzmi jak moje imię.

Przepycham się za Cat, walcząc o to, by przedrzeć się do Reese przez zdezorientowany tłum. Taylor uderza ją w tył głowy. Widzę, jak staje się bezwładna, trzepocze powiekami, pojawia się krew. Zanim zdążę mrugnąć, Taylor przerzuca sobie Reese przez ramię i rusza do drzwi.

Co się dzieje, do diabła? Gdzie ją zabierają?

– Hej! – wołam, biegnąc za nimi. Jestem już niedaleko, kiedy ktoś chwyta mnie za kołnierz i szarpie, rzucając na podłogę. Dyrektorka stoi nade mną, jej sylwetka jest zamazana, gdy mój wzrok rozplywa się i wyostrza.

Później wychodzą z pomieszczenia, dyrektorka zamyka za sobą drzwi. Gramolę się na nogi, pociągam za klamkę, ale rozlega się głośny szcęk przekręcanego klucza.

– Reese! – wrzeszczę. – Reese!

Jednak szybkie kroki na korytarzu się oddalają, aż zupełnie milkną.

Dlaczego miałyby ją zabrać? Co jej zrobią?

Julia podchodzi do mnie, na jej twarzy wyraźnie maluje się niepokój.

– Co się dzieje?

– Nie wiem, nie wiem, cholera, ja...

Nagle nad naszymi głowami rozlega się syk, po czym instalacja natryskowa włącza się z trzaskiem. Pojawia się coś w rodzaju delikatnej mgiełki, lekkiej i przylegającej. Spoglądam w górę, mrużąc oko. Czuję, jak moje włosy stają się ciężkie od wilgoci. Za ciężkie, aby mogła to być tylko woda, zapach jest zbyt czysty, zbyt chemiczny.

Co to, do cholery, jest?

Ale przecież wiem. Cokolwiek to jest, pochodzi z kanistra. Carson, Julia oraz ja same go przyniosłyśmy. Podpisałyśmy własny wyrok śmierci, położyłyśmy karki na pieńku i podałyśmy dyrektorce topór.

Wokół mnie dziewczyny zakrywają głowy kurtkami, kiedy obłok gęstnieje, a krzyk narasta. Ktoś zaczyna kaszleć, coraz mniej widać, coraz trudniej myśleć. Kropelki przyklejają się do moich rzęs, rozpraszając obraz. Przesuwam dłońmi po twarzy. Gdy je odsuwam, są niemal lepkie. Niezdrowy, blady kolor skóry jest przytłumiony i zmatowiały pod przylegającą mgłą. Moja klatka piersiowa jest ociążała, jakby wypełniona wełną, a im głębiej oddycham, tym mniej mam powietrza.

Musimy się stąd wydostać. Musimy się stąd wydostać w tej chwili!

Drzwi są nowe, wstawione zaledwie kilka lat temu, z dużą kwadratową szybą z zatopionym wewnątrz drutem zabezpieczającym. Wiem, że dyrektorka zablokowała zamek, ale i tak sprawdzam klamkę. Rzucam się na nie całym ciałem i się nie poddaję.

– Czekaj – odzywa się Julia. – Mam nóż.

Odsuwam się, a ona przykuca pod drzwiami, wysuwa kozik z paska i zaczyna go wpychać do dziurki od klucza, próbując go obrócić.

Teraz następuje pełna napięcia panika. Nie tylko u nas, lecz wszędzie panuje spustoszenie. Przez te wrzaski ledwie słyszę, przez mgłę ledwie widzę. Podciągam koszulę do ust i oddycham przez nią. To na początku pomaga. Czuję, że moja głowa się oczyszcza, a umysł trzeźwieje, ale jest

tego po prostu za dużo, zraszacze wciąż tryskają prosto na nas i nie mamy się gdzie schować.

I wtedy nagle osuwa się pierwsza osoba. Zaraz potem, w następnej sekundzie, kolejna z wykrzywioną twarzą oraz wytrzeszczonymi oczami.

– O mój Boże – piszczy Cat, po czym również upada.

– Julia! – wołam. – Szybciej!

Sarah pochyla się nad Cat, potrząsa nią. Po drugiej stronie sali Landry też trzyma w ramionach niską, chudą postać. Ktoś płacze, ktoś krzyczy. Jeśli zostaniemy tu dłużej, nie przetrwa żadna z nas.

– To nie działa. – Mój oddech jest za krótki, za płytki. – Damy radę zbić szybę?

Julia wstaje, spoglądając na mnie słabo.

– Czym?

Ma rację. Nie znajduje się tu nic, nawet pulpit muzyczny, a drut bezpieczeństwa zniszczyłby dłoń każdego, kto przebiłby się przez szkło. Ale to może być jedyny sposób, jaki nam pozostał. Moje myśli są mętne, obraz zanika. Nie minie dużo czasu, zanim zemdleję. Muszę działać szybko.

Zdejmuję kurtkę i owijam ją wokół lewej ręki, mocno chwytam materiał w pięść. Wiem, że będzie bolało, lecz mgła w moich płucach wydaje się płonąć. Teraz albo nigdy.

Uderzam w szybę, mocno, raz, drugi i kolejny.

Rozbija się. Uplywa sekunda, w której nie czuję nic, wyłącznie chłodny przyływ świeżego powietrza, a potem trafia we mnie ból, eksploduje z mojej ręki i rzuca mnie na kolana. Osuwam się na drzwi, wkładam drugą dłoń przez lukę w oknie, po czym grzebię przy zamku. Metal obraca się w moim śliskim uścisku. Odnoszę wrażenie, że zaraz zwymiotuję.

Opieram się o klamkę. Świat dziko wiruje. Drzwi się otwierają, a nade mną pojawia się szara pustka, chwiejąca się, rozmazana. Przestaję czuć swoją rękę, zamykam oko, upadam na podłogę.

– Hej, hej, dalej, już!

Zmuszam się, by pozostać przytomna. Nade mną klęczy Julia.

– Zdziałało? – pytam chrapliwie.

– Jest dobrze – informuje. – Powietrze się oczyszcza. Podnieś ramię. Myślę, że powinnaś utrzymać je wysoko. Strasznie krwawisz.

Podnosi moją rękę za łokieć i zdejmuje kurtkę z roztrzaskanej dłoni. Czuję, jakby zrywała ze mnie skórę, ale to nic takiego, tylko więcej bólu, choć pomału mam już tego dość.

Reszta sali się wyostrza i zaczynam widzieć, co dzieje się wokół. Każda z nas leży tam, gdzie upadła. Julia oraz ja przy drzwiach, inni w pokoju. Niektóre, te bardziej przytomne niż pozostałe, zaczynają się poruszać, lecz wszystkie czujemy tę samą mglistą pustkę gdzieś z tyłu głowy.

– Na zewnątrz – zarządzam. – Musimy się stąd wydostać.

Zręczacze powoli przestają pluć gazem. Julia pomaga mi przycisnąć rękę do piersi, gdy wstaję. Roztrzaskane szkło, plama krwi na posadzce w szachownicy. Patrząc, jak dziewczyny, które przeżyły, wychodzą na korytarz, ciągnąc za sobą ciała koleżanek. Chwiejnie podążam za nimi.

Dlaczego dyrektorka nam to zrobiła? Po tak długim czasie, po tym wszystkim, co przetrwałyśmy? Jak mogła z nas teraz zrezygnować?

ROZDZIAŁ 21

Szesnaście nie żyje. Straty oceniamy w korytarzu, z dala od pozostałości gazu. Julia obwiązuje mi rękę pasami materiału wyrwanego z kurtki jakiejś zmarłej dziewczyny. Głównie straciliśmy te najmłodsze, z których została już tylko Emmy. Z mojego rocznika zginęła Dara i jeszcze trzy osoby ze starszych klas. Układamy ich ciała w rzędzie, po czym zamykamy im oczy.

Kiedy kończymy, zapada cisza przerywana jedynie odgłosami stłumionego płaczu. Zostało nas około czterdziestu. Czujemy się bardzo małe. Widzę Emmy siedzącą przy ciałach swoich rówieśniczek, jak delikatnie rozczesuje im włosy palcami. Ten widok łamie mi serce.

– To dyrektorka – przemawia Cat, jej głos się załamuje. – To ona nam to zrobiła. Nie możemy pozwolić, by uszło jej to płazem, zabiła nasze przyjaciółki, próbowała zabić nas wszystkie.

– Co mamy z tym zrobić? – pyta Lauren. Spoglądam na nią. Stoi przy zwłokach swojej koleżanki, Sarah. – Zniknęła.

– Ja ją znajdę – zgłaszam się na ochotnika, ignorując pulsujący ból w ręce. Muszę. Jeśli ją odzyskam, będzie tam też Reese. A Reese polega na mnie.

– A co później? – Lauren śmieje się ochryple. – Zabijemy ją?

– Tak – oznajmia Cat. – Dokładnie to należy zrobić.

Rozlega się pomruk aprobaty, najpierw cichy, ale narastający stopniowo. Lauren kręci głową.

– Na zewnątrz wciąż grasuje niedźwiedź. Brama jest otwarta. Ten budynek nie wytrzyma długo i my także. Czy nie o to powinniśmy się martwić?

Cat zaczyna krzyczeć, całe pomieszczenie wydaje się drżeć. Patrzę na Julię, która jak dotąd nie wypowiedziała ani słowa. Obejmuje Carson, której twarz schowana jest w zagłębieniu jej szyi. Ona ma swoją przyjaciółkę. Mnie odebrano obie.

– Hej – zagaduję miękko. – A co ty o tym myślisz?

Julia spogląda na kłócące się Cat i Lauren, a potem znów na mnie.

– Idź szukać Reese – mówi. – Ona nie ma czasu na takie rzeczy.

Uśmiecham się z wdzięcznością. Ściskam jej dłoń zdrową ręką i zaczynam powoli wycofywać się w kierunku drzwi. Kiedy widzę, że nikt nie zwraca na mnie uwagi, daję susa za zakręt, a następnie ruszam do głównego holu. Mój chód jest nierówny, z głowy wciąż przeganiem resztki mgły. Lewa ręka pulsuje zgodnie z rytmem serca, krew wciąż przesącza się przez bandażę i wiem, że już nigdy nie będzie się zginać ani prostować tak, jak do tej pory.

Dzień za oknami jest jasny i słoneczny. Gdy się wsłuchuję, dochodzi mnie ciężkie, ostre dyszenie niedźwiedzia tuż za drzwiami. Musiał skończyć z Lindsay i teraz przyszedł po resztę.

Jest tylko kilka miejsc, gdzie dyrektorka mogłaby bezpiecznie trzymać Reese. Jedno z nich to jej gabinet, lecz już stąd widzę, że stoi otworem, więc nie zawracam sobie głowy dalszym sprawdzaniem. Biegnę na drugie piętro, każdy krok dłuższy niż poprzedni. Dyrektorka próbowała mnie zabić, ale nie zdołała, a ja nie pozwolę jej skrzywdzić Reese.

Przede mną majaczą drzwi do schodów ambulatorium. Są uchylone i lekko się kołyszają, jakby ktoś właśnie przez nie przeszedł. Nikogo jednak nie słyszę. Może Taylor z dyrektorką czekają gdzieś, gotowe uwięzić mnie tak samo jak Reese. Tymczasem to bez różnicy, nie mam żadnego planu. Nie mam już nic. Wchodzę po schodach, opierając się ciężko o ścianę, kiedy ból w dłoni się pogłębia.

Ambulatorium jest ciemne, zamknięte drzwi blokują poranne słońce. Ostatnim razem, gdy tu byłam, szukałam Byatt. Wydawało mi się wtedy, że odpowiedzi są poza moim zasięgiem. Teraz już wiem, że zabrali ją z wyspy i wiem, że Welch była w to wszystko zamieszana. Niestety ta walka mnie wyczerpała. Nie potrzebuję już prawdy. Chcę tylko żyć.

W wąskim korytarzu nie ma gdzie się ukryć. Odnoszę wrażenie, że jestem tu sama. Potykam się, chodząc od pokoju do pokoju, nasłuchując czegoś, czegokolwiek. Wreszcie docieram do końca korytarza, do ostatnich drzwi, za którymi znalazłam kiedyś igłę i nici Byatt.

Opuszczono rygle, natomiast ze środka dochodzi stłumiony dźwięk przypominający uginanie się sprężyn materaca.

Reese.

Spokojnie, mówię sobie. Jeśli ona tam jest, może być z nią też ktoś inny.

Kładę się na deskach podłogowych, po czym przyciskam do ziemi lewe oko. Przez szparę pod drzwiami, na wysokość cala lub dwóch, dostrzegam nogi łóżka i coś, co wygląda jak przysunięty obok stołek. Nie ma dyrektorki. Nie ma również Taylor.

Zaczynając od góry, zdejmuję zasuwę – jedną po drugiej. Są przyparte blisko ściany i jako że mam tylko jedną sprawną rękę, przesuwanie ich wymaga ode mnie całej siły. Podważam pierwszą, gdy to słyszę. Cichy, ledwie słyszalny głosik.

– Hetty?

Przyciskam czoło do drzwi. To ona. To naprawdę ona.

– Hej. Wszystko w porządku?

Następuje chwila ciszy.

– Tak myślę – odzywa się wreszcie.

– Co one ci zrobiły? – podpytuję. – Czego od ciebie chciały?

– Chciały... – Cichnie nagle, wydaje się oteściała. – Chciały znać drogę ucieczki z wyspy.

Musi być wciąż oszołomiona po ciosie w głowę, jaki otrzymała w sali muzycznej. Sposób, w jaki mówi, wydaje mi się dziwny, jakby nie do końca była obecna. Szarpnię kolejny rygiel, ale ten ledwie drgnie.

– Trzymaj się – proszę. – Zaraz cię stamtąd wyciągnę.

Słyszę, jak łapie oddech i odnoszę wrażenie, że zaraz coś powie, kiedy naraz ktoś – ktoś, kto nie jest Reese, wypowiada moje imię z dołu korytarza.

Taylor.

Odwracam się lekko. Kontury jej sylwetki zamazują się w mroku, ale nie mam wątpliwości, że to ona. Obserwuje mnie.

– Cofnij się – nakazuje. – Odejdź od drzwi.

– Taylor?

Przesuwa się parę kroków w moją stronę i teraz wyraźnie dostrzegam jej twarz. Widzę zaciśniętą w uporze szczękę oraz schowany za pasem nóż. Odwracam się bardziej w jej kierunku tak, żeby zobaczyła prowizoryczny

bandaż na mojej dłoni. Jeżeli pomyśli, że nie jestem dla niej zagrożeniem, może uda nam się znaleźć wyjście z tej sytuacji.

– Chciałam z nią jedynie porozmawiać – kłamię. – Sprawdzić, czy nic jej nie jest.

– Nie wierzę ci. – Głos Taylor jest szorstki, bez wyrazu. – Powtarzam, odejdz od drzwi.

– Nic jej nie jest? Możesz mi powiedzieć chociaż tyle?

– Cofnij się, już!

Taylor była kiedyś jedną z nas. Gdzieś w głębi, choćby w minimalnym stopniu, na pewno jeszcze jej zależy. Może jeśli będę naciskać, w końcu się złamie. Może dostanę następną szansę.

– Co jej zrobiłaś? Czego od niej chcesz? – wypytuję. – Powiedz mi, a odejdę. Możemy udawać, że nigdy mnie tu nie było.

Taylor potrząsa głową.

– Hetty, wiesz dobrze, że nie mogę pozwolić ci odejść.

Uśmiecham się najszerzej, jak potrafię.

– Oczywiście, że możesz. Możesz zrobić, co tylko zechcesz.

– Muszę. – Zbliża się o kolejny krok. – Dyrektorka i ja wynosimy się z tej pieprzonej wyspy. I jeżeli ktokolwiek wie, jak tego dokonać, to właśnie twoja przyjaciółka.

Pamiętam, co powiedziała tej nocy w domu Harkerów. Że opuściła Brygadę Łodziową, bo zasługujemy na kogoś lepszego. Co za bzdury. Właśnie dlatego to zrobiła, dlatego znokautowała Reese i zostawiła nas w tym pokoju na pewną śmierć. Aby uciec.

– Naprawdę myślisz, że oni pozwolą ci tak po prostu odejść? Marynarka i CDC? Nie możesz być aż tak naiwna. Ja kiedyś byłam i zobacz, co się stało.

Wzrusza ramionami.

– To bez znaczenia. Nie zamierzamy tu zostać.

– A co z resztą?

– Mdli mnie na to pytanie – warczy. – A co ze mną, co? Co ze mną?!

Z tym nie mogę się kłócić, nie mogę odpędzić ściskającego żołądek poczucia winy.

– Słuchaj, nie musisz mnie zabijać – oznajmiam zamiast tego. Taylor przybiera drwiącą minę, ale się uśmiecham. – Chcesz uciec z wyspy? Chodź ze mną, razem znajdziemy sposób.

Kolejny krok bliżej.

– Kłamiesz – syczy.

– Nie kłamię, przysięgam, że mówię prawdę.

Jednak Taylor już mnie nie słucha, sięga po schowany za pasem nóż.

– Odłóż to. Hej, naprawdę nie musisz – powtarzam. Słodkie słówka przestają działać. Moja ręka drży, gdy ją trzymam, starając się ją chronić.

– Muszę.

Powinnam stąd odejść, ale ona blokuje mi drogę. Nie mam dokąd uciec.

Taylor rzuca się w moją stronę.

ROZDZIAŁ 22

To dzieje się tak szybko, że dostrzegam tylko rozmazaną plamę. Widzę, jak sięga ku mnie biel jej dłoni oraz blask noża. Nie potrafię ich odróżnić, więc chwytam to, co jest bliżej, zmuszając drugie do wycofania się. Zapieram się stopą mocno o ziemię.

Taylor uderza mnie łokciem w nos i zataczam się do tyłu na ścianę. Ból eksploduje w mojej poranionej dłoni. Włosy wchodzą mi do oka, krew mam rozsmarowaną wszędzie na policzkach, a także w ustach oraz uszach.

Nóż strzela w moim kierunku. Przysuwam Taylor bliżej, po czym przyciskam ostrze płasko do siebie tak, żeby nie mogła go użyć. Próbuje go odwrócić, przeciągnąć i rozorać mi klatkę piersiową, wtedy przechylam się i pcham. Trwa to sekundę. Nóż wchodzi niczym w masło. Jakby ona jedynie na to czekała.

– O mój Boże – mamroczę. – O mój Boże.

Taylor ześlizguje się z ostrza. Upada. Kozik ląduje na podłodze. Dziewczyna obficie krwawi i nie mam pojęcia, jak to przerwać.

– Hetty.

Nie wiem, czy cokolwiek mogłoby to powstrzymać. Powieki Taylor trzepoczą. Krztusi się, gdy przez jej ciało przechodzą skurcze i drgawki. Jedną dłonią ściska powietrze, a drugą przykładą sobie do żeber. Taylor staje się Welch, Welch panem Harkerem, cały czas wszystko powtarza się w kółko i w kółko.

– Hetty. Hetty.

Za moimi plecami rozbrzmiewa głos.

Nie mogę się ruszyć. Nie mogę oddychać. Krew zaraz dotknie czubków moich butów. Może jeżeli zostanę tu wystarczająco długo, przesączy się przez szwy oraz skarpetki i dosięgnie skóry. Nigdy jej nie zmyję.

– Otwórz drzwi! – woła Reese.

Reese.

Mój but wydaje chlupoczący dźwięk, kiedy podnoszę go z plamy czerwieni, by przekroczyć nad nogami Taylor. Reese znów wymawia moje imię, systematycznie zagłuszając bulgot oraz plusk, wypływający z ust Taylor.

Podniesienie każdego rygla wymaga ode mnie kilku prób, zanim w końcu mi się udaje. Czuję ból w ręce, ale przekręcam klamkę i otwieram drzwi.

Łóżko jest puste, a materac zdobią bordowe kleksy. Na stoliku stoi krótkofalówka i radio, natomiast obok leży nóż, odbijając wdzierające się przez okno promienie słońca. Ostrze pokrywa krew i niemal nie chcę na nie patrzeć, bojąc się o Reese. Lecza oto ona. Czeka z boku, z księżycową poświatą włosów oraz uszkodzonym ramieniem. Na jej policzku zaczyna wykwitać siniak.

– Dobrze – przemawia i przykłada srebrną rękę do mojej twarzy. Przysuwa kciuk do kącika moich ust. – Dobrze.

– Nie chciałam... – zaczynam, ale nie potrafię wydobyć z siebie nic więcej.

– Musiałaś – dopowiada. To ma sprawić, abym poczuła się lepiej, wiem, że powinno, mimo to wciąż mam gulę w gardle. – Musimy już iść.

– I co dalej?

Jesteśmy w sytuacji bez wyjścia.

– Krok po kroku, dobrze? Na razie zejdziemy na dół. Tak jest. Wtedy pomyślimy, co dalej.

– W porządku – szepczę, ona jednak wciąż na mnie zerka, nadal czeka, więc próbuję znowu, tym razem głośniejsze. – W porządku.

W drodze powrotnej Reese pozwala mi zamknąć oko, żebym nie musiała patrzeć na ciało Taylor. Mówi, bym się jej trzymała, gdy będzie prowadzić mnie na korytarz.

– Co one ci zrobiły? – pytam. Wciąż mam przed oczami ten zakrwawiony nóż.

– Nic – odpowiada. Jest niemal spokojna, ale nie potrafi zatuszować

drżenia głosu. Czuję, jak chorobliwie przewracają mi się wnętrzności.

– A potem?

Reese nie reaguje, lecz kiedy unoszę powiekę, widzę, iż przez rozdarte buty wycieka jej krew, że każdy jej krok jest niepewny, jakby oszczędzała jedną nogę i nie chciała tego po sobie pokazać. Jakby ktoś przyłożył ostrze do podeszwy jej stopy.

Wyrzucam z głowy tę myśl. Jeżeli dam jej się za bardzo pochłonać, zniszczy mnie od środka.

Na górze schodów wahamy się, gdy docierają do nas odgłosy z dołu. Na parterze dziewczyny znów barykadują drzwi. Dyrektorka próbowała dać temu kres, ale jej nie pozwoliły. Ja i Reese nic nie mówimy, lecz wiem, że obie zadajemy sobie pytanie, dokąd poszła. Czy dziewczyny ją znalazły? Spróbuje ponownie zamknąć Reese? O mnie nie dba, jednak Reese zna wyspę tak, jakby przesiąkła Raxter do szpiku kości. Dyrektorka nigdy nie pozwoli jej odejść, jeśli tylko będzie miała coś do powiedzenia.

Gdzieś z dołu słychać odgłos stukotu i krzyk. Rosnąca panicznie wrzawa dociera do nas jak echo. Kolejny straszliwy trzask. Ciężkie uderzenie brzmi tak, jakby coś mocno waliło o drzwi. Nagle przebija się przez nie miarowy jęk.

Zwierz wyłamuje sobie wejście do środka. Z Toxem we krwi nie ustanie, dopóki nie otrzyma tego, po co przyszedł.

– Dalej – ponagła Reese. Biegniemy w dół schodów i staram się nie myśleć o śladach, jakie za sobą zostawiam, śladach krwi Taylor. Tętno łomocze mi w uszach, kiedy wyskakujemy na mezanino. Pod nami znajduje się główny hol, dziewczyny wrzeszczą, a Julia wykrzykuje polecenia. Ktoś płacze cicho, z trudem łapiąc powietrze.

Gdy gnamy głównymi schodami, panuje chaos. Drzwi się telepią, kiedy niedźwiedź naciska na nie swoim ciężarem, torując sobie drogę. Z drugiego piętra schodzi za nami para dziewczyn, niosąc szafkę na dokumenty. Garstka nastolatek przykucnęła w miejscach, gdzie kanapy zostały odepchnięte przez drzwi. Trzymają je, aby nie pozwolić im się przesunąć dalej.

– Hetty! – woła Julia, jak tylko nas zauważa. Stoi przy blokadzie, obserwując wszystko wokół. – Znalazłaś ją.

Dołączamy do niej pospiesznie, schodząc z drogi dziewczynom z szafką.

– Co się dzieje? – wypytuje Reese. – Wcześniej się tak nie zachowywał.

Julia przytakuje.

– Musiał poczuć zapach krwi Hetty z pokoju muzycznego.

Mój bandaż zabarwił się na czerwono, ale myślę sobie, że to nic w porównaniu z tym, co zostawiłam na górze.

– Cholera – klnie Reese. – Spójrz. – Podążam za jej wzrokiem do drzwi frontowych, które zaczęły się wyginać. Odrestaurowany i bezpieczny zamek przemysłowy ustępuje, gdy zwierz raz za razem napiera coraz mocniej. Brzmi to niczym uderzenia serca. Wrota dygoczą, naprężając się na ryglu.

– Cofnąć się – nakazuje Julia, po czym krzyczy, kiedy drzwi podskakują na zawiasach. – Cofnąć się, wszystkie!

Zamek pęka. Wejście staje otworem. Zimne słońce i wiatr przedostają się do środka. Kościane szczęki kłapią. Kanapa oraz biurko roztrzaskują się w odłamki, z kolei drzwi opadają, grzebiąc pod sobą dziewczyny. Wrzaski, słyszę wrzaski, a następnie dostrzegam kolosalną sylwetkę. Ryk rozdziera niebo, gdy niedźwiedź posuwa się naprzód.

– Południowe skrzydło! – huczy Julia. – Do południowego skrzydła!

Każdy, kto stoi na nogach, rusza w tamtą stronę. Ja sterczę jak wryta, wpatrując się w obserwującego małą Emmy drapieznika. Dziewczyna wyczołguje się ze zgliszczy na zakrwawionych dłoniach i kolanach.

To przynajmniej mogę zrobić.

– Hetty! – wybucha Reese. – Nie!

Jednak biegnę, omijam Cat i przeskakuję nad tym, co pozostało z kanap.

– Emmy! – wołam.

Zwierz unosi łeb, kierując na mnie przegniły pysk. Emmy gramoli się w moją stronę, jej łokieć uderza o moją goleń. Owijam swoją sprawną rękę dookoła jej talii i stawiam ją na nogi.

– Idź – oznajmiam. – Idź. Jestem tuż za tobą.

– Szybko! – słyszę krzyk Reese. Robię powolny krok w tył, stojąc pomiędzy niedźwiedziem a Emmy, podczas gdy ona biegnie w bezpieczne miejsce. Potwór kłapie szczęką i wraca mi instynkt. Odwracam się i gnam

do południowego skrzydła. Zimna, czysta adrenalina, czuję się bardziej niż sobą. Poruszam się szybko, Reese czeka u wylotu korytarza. Trzymają drzwi otwarte.

– Do środka, do środka – instruuje i kiedy zostało mi kilka ostatnich kroków, ryzykuję jedno spojrzenie przez ramię. Zwierz węszy przy ciele jednej z dziewczyn, przez której oko przechodzi pręt ze szczątków barykady.

Reese prowadzi mnie dalej wzdłuż korytarza do tłumu czekających dziewczyn, podczas gdy Julia i Cat zamykają podwójne drzwi, odłączając południowe skrzydło od reszty budynku. Teraz dziewczyny przedzierają się przez klasy i gabinety, wypychając biurka oraz stoliki na zewnątrz, by zbudować następną blokadę.

Jak długo jeszcze możemy to robić? Ile minie czasu, zanim niedźwiedź przedrze się przez kolejną zaporę? Co wtedy?

Drzwi korytarza niezbyt zagłuszają dźwięki sapania zwierzęcia, jego szybkiego oddechu czy jęków, którymi nas woła. Emmy przykucnęła przy ścianie, sprawdzając swoją rozciętą wargę i zaciskając rozerwaną dłoń. Wokół niej znajduje się znacznie więcej dziewczyn, obolałych, głodnych, samotnych i umierających. To moja wina. Ja to na nas sprowadziłam.

– Jest stąd jakieś wyjście? – pytam. – Nie powiedziałaś dyrektorce, ale powiedz mnie, Reese. Możemy stąd uciec?

Przygląda mi się przez dłuższą chwilę, po czym wzdycha.

– Myślę, że tak.

Mówi poważnie? Zaciągam ją jeszcze dalej od innych.

– Dlaczego, do cholery, do tej pory go nie użyłaś?

– Z początku nie wiedziałam, czy dam radę przedostać się przez ogrodzenie – tłumaczy, unikając mojego spojrzenia. – Potem mogłam, ale to miejsce jest całym moim życiem.

Przełykam ślinę, przywołując w pamięci obraz twarzy pana Harkera w ciemności. Jego pustych oczu i pociemniałych zębów.

– A teraz?

Wzrusza ramionami.

– Poprosiłaś mnie o to.

ROZDZIAŁ 23

Nikt nie zauważa, jak wymykamy się z dala od reszty. Idziemy do miejsca, gdzie korytarz zakręca do kuchni. Są tam drzwi. Wyjście ewakuacyjne, którego nikt nie używa na wszelki wypadek, gdyby wciąż działał alarm, ale nie ma co się tym dalej przejmować.

Kiedy mijamy gabinet dyrektorki, zatrzymuję się w pół kroku. Przedtem drzwi były otwarte, natomiast teraz są przymknięte. Przez przerwę dostrzegam karton z jedzeniem, a po chwili ktoś przechodzi, zasłaniając widok. To musi być ona. Gromadzi zapasy, zapasy, których będziemy potrzebować, jeśli planujemy opuścić Raxter.

Drzwi nie są zamknięte, lecz gdy próbuję je otworzyć, uderzają w coś i stają.

– Przepraszam – odzywa się ktoś z wewnątrz pełnym oburzenia głosem. To na pewno ona. – Nie wolno ci tu wchodzić.

Niemal wywołuje to u mnie śmiech. Jakby miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie.

Znowu próbuję, pcham drzwi ramieniem, aż powoli otwierają się ze zgrzytem. Mrugam, przyzwyczajając wzrok do światła wpadającego przez wysokie okno, naprzeciwko którego stoi dyrektorka, ze zwisającymi luźno rękami oraz opuszczoną brodą.

Pochyla się nad zgrzewką pełną butelek wody, a obok niej – przy gigantycznym zabytkowym biurku – leżą ułożone w stos pudełka, które od razu rozpoznaję. Zapasy żywności, wszystkie skradzione ze spiżarni, skradzione nam. Są wymieszane z zestawami medycznymi, które wysyłała marynarka. Niewielkie komplety do pierwszej pomocy, sterty papieru, zapiski z ambulatorium oraz lodówki, takie jak ta, którą znalazłam w lesie.

Od jak dawna to gromadziła? Od jak dawna myślała tylko o sobie?

Wychodzę przed Reese, nie pozwolę, by znów coś jej się stało, ale ta próbuje mnie odciągnąć i kiedy ponownie spoglądam na dyrektorkę, zdaję sobie sprawę dlaczego. Ma przekrwione oczy, trzęsą jej się palce. Wydaje

z siebie łamiący się, nerwowy śmiech, zasłaniając ręce rąbkiem koszuli.

– Dziewczęta, obawiam się, że musicie stąd wyjść – mówi. Słyszę, jak jej głos drży. Boi się. Obawia się nas.

– Co się dzieje? – pytam. – Co ty robisz z tymi rzeczami? One nie należą do ciebie.

Wyciera dłonie o spodnie i wydłubuje sobie spod paznokci zaschniętą krew tak, jakby z jej ust nie ściekała błyszcząca, różowa ropa.

– Nic. Po prostu robię inwentaryzację.

Gniew powraca niczym fala, przykrywając mnie, aż w nim tonę.

– Nic? – powtarzam. – To samo nic, co w pokoju muzycznym?

Reese sięga po mnie, ale odpycham jej rękę, ruszając naprzód. Dyrektorka cofa się do ściany i muszę powstrzymywać się z całych sił, aby się na nią nie rzucić.

– Zamknęłaś nas! – krzyczę. – Próbowалаś zabić!

– Nie – zaprzecza dyrektorka, a jej oczy latają we wszystkie strony. – Nie, nie. To nie tak. Próbowалаm jedynie wam pomóc. – Uśmiecha się do mnie słabo. – To dlatego.

Za mną Reese parsknęła śmiechem.

– Nie kłam – wtrąca się. – Gdybyś chciała nam pomóc, zaczęłabyś już dawno temu.

– Nie wiem, o co ci chodzi.

– Daj spokój – kontynuuje Reese. Postępuję krok w tył, robiąc jej miejsce przed sobą, gdy wchodzi do pokoju z wyrazem lodowatego podniecenia na twarzy. – To tylko my, dziewczęta. Możesz być szczerą.

Dyrektorka nie odpowiada, wówczas Reese kręci głową.

– Powiem ci więc, co myślę. Myślę, że od zawsze kombinowałaś, jak się stąd wydostać. Od początku miałaś przygotowany plan ucieczki. W razie gdyby nie zdołali nas wyleczyć, prawda? Jednak zostawili cię samą sobie, dlatego mnie potrzebujesz.

– To nie tak.

– A jak?

– Od lat wiedzieliśmy, że coś się szykuje – dyrektorka w końcu zaczyna wyjaśniać. – Zimy stawały się coraz cieplejsze, irysy cały czas rosły, aż

ludzie z Camp Nash, marynarki i CDC się tym zainteresowali. Zadawali pytania, ale tak naprawdę chcieli wyłącznie dostępu. Przeprowadzić kilka testów, to tu, to tam. Nie spodziewaliśmy się czegoś takiego jak Tox. Przysięgam. Nigdy nie myśleliśmy, ja nigdy nie myślałam, że to się stanie.

Łże i obie widzimy to gołym okiem. Wiedziała, że coś jest nie tak, zanim rozpoczął się Tox. Mimo to nadal nas tutaj trzymała.

– Chcesz powiedzieć, że nie zdawałaś sobie sprawy z tego, że tobie może coś grozić – mówi Reese. – Ale reszta z nas była warta podjęcia ryzyka, prawda? Mój tata zawsze sądził, że masz złe intencje, zawsze powtarzał, by ci nie ufać, i teraz wiem dlaczego.

Kolejne osoby upadają pod ciężarem tego miejsca, kłamstwo goni kłamstwo. Mam tego dość. Wystarczy tych konfrontacji, tajemnic wylewających się z nas jak krew. Wyciągam rękę, po czym ciągnę za kurtkę Reese, aż ta na mnie zerka.

– Chodź – proszę. Z początku nie jestem pewna, czy mnie słyszy, lecz wtedy zmienia się coś w jej wyrazie twarzy. Łagodnieje, jakby wyrwana z zamyślenia. – Zostawmy ją z jej bałaganem.

Reese kręci głową.

– Mogła nas ocalić. Mogła wrzucić ten gaz do oceanu.

Tak, wiem. Też mogłam.

Biorę głęboki oddech, ignorując to, jak coś przewraca mi się w żołądku.

– Ale teraz możemy ocalić siebie – przekonuję. – Reese, błagam. Chodźmy.

Obrzuca spojrzeniem dyrektorke, która trzęsie się, patrząc na mnie bezsilnym wzrokiem.

– Jeśli ruszy choćby palcem, przysięgam...

– Nie ruszy – przerywam jej. – Prawda?

– Tak jest – odpowiada kobieta, przytakując rozpaczliwie.

Reese wzdycha. Widzę, jak opada z niej część emocji. Opuszcza ramiona i prostuje plecy.

– Poszukajmy jedzenia – stwierdza łagodnie. – Wezmę wodę.

– Dziękuję – mruczę. – Pospieszmy się, obiecuję.

Dyrektorka jest przyparta do ściany, rozkłada puste dłonie, zatem

odwracam się do niej tyłem, pozwalając Reese ją obserwować, jeżeli zechce. Przy zakrywającej ścianę półce na książki znajduje się płócienny plecak, w połowie wypełniony pistoletem oraz pudełkami z amunicją. Chwytam broń, sprawdzam zabezpieczenie, a potem podaję ją Reese. Może i ma uszkodzoną rękę, ale jeszcze nigdy takiej nie używałam, więc ona będzie lepszym strzelcem. Przy odrobinie szczęścia wciąż pamięta o tym, co mówiłam jej o zmianie postawy.

Wsuwa rewolwer za pas dzinsów i przykuca przy zgrzewce z wodą. Plastikowe opakowanie zostało rozdarte, parę butelek wypadło na podłogę.

– Weź to – informuje, wskazując głową na stojący przy mnie karton krakersów i suszonego mięsa. – Ja zabiorę kilka flar oraz jeden z zestawów do pierwszej pomocy.

Pakuję do plecaka tak dużo jedzenia, ile tylko się zmieści. To dziwne – na dole kartonu leży sterta papieru tak, jakby dyrektorka zapakowała część akt szkolnych. Wyciągam je i przeglądam na szybko, a Reese zagląda mi przez ramię. Litery są tak drobne, że zaczyna boleć mnie oko, wołając o trochę odpoczynku, dlatego po prostu wypycham je głębiej. Później się nimi zajmujemy.

Reese wraca po wodę. Po paru sekundach wymawia moje imię, więc zerkam w jej stronę. Trzyma jedną z butelek w ręce. Nakrętka jest niedokręcona.

– Co jest? – podpytuję.

– Ktoś już ją otworzył.

Przypominam sobie, że dyrektorka stała nad tą zgrzewką, gdy wchodziłyśmy. Trzymała coś w dłoni. Przenoszę na nią wzrok, próbując napotkać jej spojrzenie, ale patrzy prosto przed siebie.

– Czy tylko ta jedna? – dociekam.

Reese wyciąga kolejną z opakowania.

– Ta też. – Dосkakuję do niej i zaczynamy je przeglądać. Zakrętkę na każdej butelce można z łatwością odkręcić, plomba każdej została zerwana.

– Kurwa – wyrywa mi się, ale Reese jest już na nogach, zbliżając się do dyrektorki.

– Co... – zaczyna delikatnie. – Co zrobiłaś?

Posadzka pode mną jest mokra, nasiąkają mi spodnie. Kobieta musiała przy nich grzebać. Tylko po co?

Podnoszę jedną z butelek do światła. Początkowo niczego nie dostrzegam, ale po chwili... w środku. Ziarenka drobnego, czarnego proszku zbierają się na dnie. Reese odskakuje, kiedy się przez nią przepycham. Dyrektorka się odsuwa, lecz wkładam palce w kieszeń jej spodni i przyciągam ją do siebie. Mam rację, wiem, że tak jest. Chciałabym być zaskoczona, jednak w kółko dzieje się to samo.

– Hetty – rzuca Reese. – Co to jest?

Dyrektorka się ode mnie odsuwa, ale wyciągam rękę, blokując jej drogę. Z całych sił przyciskam ją do ściany.

– Sprawdź naboje – informuję. – Zobaczysz.

– Nie miałam zamiaru nikogo skrzywdzić – zapewnia kobieta błagalnym tonem. – Chciałam jedynie pomóc.

– Och! – słyszę za sobą Reese i bez patrzenia wiem, co znalazła. Część naboju jest otwarta i pozbawiona prochu w taki sam sposób, jakiego uczyły nas starsze dziewczyny z Brygady Ogniowej. Nigdy nie wiedziałam, jak to odkryłyśmy, że odrobina prochu działa na kogoś z Toxem. Nikt mi tego nie wyjaśnił, gdy pytałam. Zdawałam sobie sprawę, że oznacza to powolną śmierć, jakby sen pełen wszechogarniającego bólu.

– Dodałaś to do wody, prawda? – Pochyliłam się tak blisko niej, że moja ślina pryska w twarz dyrektorki. Zanim zdążę się cofnąć, bierze moje policzki w dłonie i spogląda na mnie łagodnie, mimo zaciskającego się uchwytu.

– Musisz mnie wysłuchać – przekonuje. – W tym momencie to jest dla was najlepsze.

– Puść ją! – woła Reese, ale kobieta ją ignoruje.

– Oni są w drodze, Hetty. Na lotniskowcu mają odrzutowce. – Jej głos osłabł, ochrypli i stał się ledwie głośniejszy od szeptu.

Wiedziałam. Nie dlatego, że usłyszałam o tym, żyjąc w bazie, lecz dlatego, że nie słyszałam, a to mówiło już samo za siebie.

Odpycham od siebie jej rękę i się odsuwam.

– Dlaczego teraz? Mieli półtora roku. Co się zmieniło?

– W placówce badawczej doszło do zakażenia – tłumaczy dyrektorka. – Potem jedna z was, dziewczyny, złamała kwarantannę.

Ze wszystkich sił zmuszam się do zachowania spokoju, wina mnie przygniata i czuję się tak, jakbym w niej tonęła, ale nie mogę tego pokazać. Nie mogę pozwolić, by dyrektorka dowiedziała się, że to my.

– Zbyt duże ryzyko na tak niewielkie rezultaty – kontynuuje. – Nie potrafią tego wyleczyć. Może gdyby mieli możliwość zwiększenia zakresu badań...

– Zwiększenia zakresu? – Coś mi to przypomina, niestety nie potrafię sprecyzować co. Zamykam oczy i rozpamiętuję ostatnie kilka dni, aż znajduję odpowiedź. Welch, chwilę przed tym, zanim umarła na przystani. *Chcieli poddawać was testom, eksperymentować z jedzeniem, powiedziała, lecz im na to nie pozwoliłam.*

– Welch była po naszej stronie – stwierdzam. – Prawda?

Dyrektorka marszczy brwi.

– Nie wiem, co masz na myśli, mówiąc o waszej stronie, ale była stanowczo za tym, aby nie poddawać eksperymentom wszystkich uczennic, ponieważ mogłoby to spowodować niepotrzebne cierpienie. – Uśmiecha się nerwowo. – Ja osobiście uważam, że była w błędzie.

– Zabiła się. – Cała się trzęsę, a Reese przysuwa się bliżej i kładzie mi rękę na plecach. – Zrobiła to, bo wiedziała, co zamierzasz.

– Nie zapominajmy – przemawia dyrektorka z wyrazem irytacji na twarzy – że była dorosłą kobietą, zdolną do krytycznego myślenia. Dokonała własnych wyborów. Nie będę ponosić za nie odpowiedzialności.

Ma rację. Welch wybrała – wybierała nas za każdym razem, gdy wyrzucała zanieczyszczoną żywność, za każdym razem, gdy zmuszała nas do kłamania na ten temat dyrektorce.

To ja się myliłam. Myliłam się co do niej przez cały czas.

Nie mogę już dłużej tu przebywać. Każda moja pomyłka pogrążała nas bardziej i bardziej. To miejsce skorzysta na moim odejściu, nawet po przylocie odrzutowców.

– Hetty – odzywa się za mną Reese. Z korytarza słyhać rozmowy. Coraz

głośniejsze, kiedy reszta dziewczyn zagląda do pobliskich sal w poszukiwaniu biurek, ławek czy czegokolwiek, czym można zabarykadować drzwi.

Przenoszę wzrok z powrotem na dyrektorkę.

– Ile zostało czasu do przylotu myśliwców?

– Będą tu przed zmrokiem.

Właśnie tyle nam zostało. Dzień. Zanim Raxter zostanie wymazany z mapy przez eskadrę odrzutowców. W głowie słyszę głos ojca, który każe mi uciekać tak daleko i tak szybko, jak tylko zdołam. Tak zrobię, ale jest coś jeszcze.

– Dlaczego więc trudzić się z wodą? – pytam. – Skoro i tak wszystkie zginiemy?

Dyrektorka odkaśluje delikatnie.

– To jest bardziej humanitarne.

– Humanitarne? – Jestem bliska śmiechu. Nie wierzę jej. – Tak samo myślałaś, próbując nas zagazować?

– Zagazować? – Reese za moimi plecami jest w szoku. Zapomniałam, że ona o niczym nie wie.

– Powinien zdać egzamin – upiera się kobieta. – Wasza porcja chyba nie była dość skoncentrowana. W każdym razie na twoją przyjaciółkę zadziałał.

Odlatuję na sekundę. Jestem na promie, tego pierwszego dnia, i obserwuję patrzącą na mnie Byatt. Jej uśmiech wygląda jak coś, na co czekałam przez całe życie, jakbym była wyjątkowa.

– Nie – mamroczę. – Nie rozumiem. O czym tym mówisz?

– O twojej przyjaciółce. Paniencie Winsor.

Mój oddech zamiera. Reese klnie cicho.

– Z tego, co słyszałam, była bardzo przydatna – ciągnie dyrektorka.

– Była? – wyłapuję to słowo z jej wypowiedzi, ale wiem, wiem, do czego to zmierza.

– Nie żyje. – Kobieta wzrusza ramionami. – Wczoraj CDC zaserwowało jej dawkę gazu.

Czuję się pusta tak, jakby coś we mnie po prostu zniknęło. Wyrwane

z mojego wnętrza. Nie mogła odejść. Łzy napływają mi do oczu i cała drzę.

– Nie wierzę ci – syczę. – Nie wierzę, nie wierzę.

– Cóż, to nie ma znaczenia.

Zanim zdaję sobie z tego sprawę, jestem już po drugiej stronie pokoju. Moja ręka drapie dyrektorkę po twarzy. Kobieta krzyczy. Skóra pokrywa się krwią, gdy moje paznokcie rozdzierają jej policzek. Reese chwyta mnie w pasie, a następnie odciąga. Moje nogi kopią dziko w przestrzeń, kiedy się oddalamy.

– Ona kłamie! – wrzeszczę. – Nie zna Byatt. Nie rozumie.

– Wiem – szepcze Reese prosto w moje ucho. – Masz rację. Masz. Brakuje nam jednak czasu. Tak jak mówiłaś, dobrze? Musimy iść.

– Tak. – Przełykam z trudem i zmuszam się do rozluźnienia. – Jeszcze tylko jedno. Opróżnij butelki. Prócz jednej.

– Nie! – woła dyrektorka. – Nie, nie. Czekaście.

Reese mnie zostawia, pozwalając mi przycisnąć przedramię do gardła kobiety.

– To koniec – warczę. Za mną Reese wylewa wodę z opakowań. Podłoga robi się ciemna i śliska. Dyrektorka jęczy.

Byatt nie umarła. Nie wierzę w to. Kobieta kłamała już wcześniej i może kłamać też teraz. Znajdę Byatt tak, jak obiecałam. A kiedy to zrobię, będę w końcu mogła jej powiedzieć, że uczyniłam to w jej imieniu.

Zdejmuję rękę z krtani dyrektorki. Zmierzam w kierunku Reese, która wkłada ostatnią pełną butelkę w moją zdrową dłoń. Dla Byatt, dla pana Harkera, i dla nas.

– Miałyśmy to wypić? – pytam, podnosząc butelkę do ust.

Przytakuje.

– To dla was najlepsze rozwiązanie – przekonuje dyrektorka. – Nie chcecie tego całego bólu. Obiecuję, że będzie to najłatwiejsza rzecz pod słońcem.

– Tak. – Spoglądam na wodę i oblizuję wargi.

Gdy przenoszę wzrok z powrotem na kobietę, ta patrzy na mnie z ciepłem w oczach i wyciąga rękę, aby dotknąć mojego ramienia.

– Nie będzie bolało – dodaje.

– Udowodnij. – Pochyliam się nad nią.

Bierze oddech, wtedy wpycham butelkę w jej usta, opierając cały swój ciężar na jej szczęce, by ta się nie zamknęła, kiedy woda zacznie spływać do środka.

Słyszę jej stłumiony krzyk i skomlenie, gdy się pode mną osuwa. Przeźroczysty płyn skapuje mi po dłoni, mocząc przód jej koszuli. Może próbować nie przelykać, ale wkrótce będzie musiała. Dotykam palcami wilgotnych warg dyrektorki, lecz nie daję za wygraną. Pcham mocniej, jednocześnie przytykając swoje czoło do jej. Ona nam to zrobiła. Teraz nasza kolej.

Katar spływa z nosa, wówczas kobieta zaczyna się dławić, kiedy spazmy przechodzą po jej ciele. Przyglądam się jej gardłu. Czekam, czekam, i w końcu przelyka z jękiem.

Stoję z nią biodro w biodro, aż robi się wiotka i nie mogę jej już podtrzymywać. Wykonuję krok w tył, pozwalając opaść dyrektorce na posadzkę. Pada na czworaka, łapiąc powietrze. Wydaje się mała. Widzę jej cienkie nadgarstki oraz ziemistą, bladą skórę. Zgniatam butelkę po wodzie i rzucam obok niej.

– Zostaw ją – mówi Reese. – Idziemy. Robi się tam nieciekawie.

Zerkam na nią zdezorientowana, wtedy Reese wskazuje głową na korytarz. Uderzenie za uderzeniem w podwójne drzwi, oddzielające korytarz od głównego holu. Jeżeli frontowe drzwi nie wytrzymały, te nie mają szans. Słyszę krzyczącą na inne dziewczyny Julię, ponaglającą je do podtrzymywania barykady. Jednak to nie ma sensu.

– Dobra – zgadzam się.

Podnoszę plecak, zataczając się nieznacznie pod jego ciężarem, ale po chwili zarzucam go na ramiona i wychodzimy z gabinetu. Nie oglądamy się za siebie, dopóki nie dotrzemy do kuchni. Tam sprawdzam, czy żadna z dziewczyn nie podąża za nami.

Pustka oraz odgłos krzyków. Musimy się spieszyć.

Reese dochodzi do wyjścia ewakuacyjnego, nad którym widnieje ciemny i zniszczony znak. Ruszam za nią. Otwiera nieznacznie drzwi i patrzy za siebie.

– Wydaje się czysto.

Śmieję się lekko.

– Tak czy siak, idziemy.

Wyciąga do mnie swoją srebrną rękę, więc ją chwytam.

– Bądź przy mnie – prosi. – Ja zostanę przy tobie, dobrze?

Zamykam oczy. Raxter jest za mną, a któż wie, co przede mną.

ROZDZIAŁ 24

Drzwi wyprowadziły nas na południowe błonia. Ostre, poranne słońce prześwituje spomiędzy chmur. Przed nami rozpościera się pusty trawnik, zaledwie kilka sosen dzieli nas od oceanu. Z mojej prawej, w odległości jakichś stu jardów oszronionej trawy, rozciąga się ogrodzenie – nasza droga do wolności.

– Jeżeli się rozdzielimy – zaczyna Reese – znajdź mój dom. Tam się spotkamy.

– A co potem?

– Łódka mojego taty – ciągnie. – Bardziej szalupa. Jest ukryta gdzieś przy brzegu.

Z wnętrza szkoły słysząc trzask, chyba jedno z drzwi ustąpiło, bo docierają do nas wrzaski pozostałych dziewczyn. Ściskam dłoń Reese. Myślę o zbliżających się odrzutowcach. Nie znoszę tego, że brzmi to jak usprawiedliwienie.

– Liczymy do trzech – przemawia Reese. – I biegniemy do bramy.

Przytakuję, po czym razem szepczemy:

– Jeden. Dwa. Trzy.

Gnamy tak szybko, że tracę dech. Pozwalam ustom luźno zwisać, kierując wszystkie siły do nóg. Nad głową prószy pierwszy śnieg, kłusując mnie w policzki. Plecak szapie się z boku na bok. Potykam się, ale Reese nie pozwala mi upaść.

– Prawie jesteśmy! – krzyczy.

Ogrodzenie jest coraz bliżej i nie mogę się zatrzymać. Jestem zmęczona, taka zmęczona, że tracę czucie w nogach, gwałtownie stawiając kroki. Byle do bramy.

Zatrzymujemy się oszołomione. Moja ręka pulsuje, a Reese zostawia krwawe ślady na śniegu. W ustach czuję ostro-gorzki smak adrenaliny, zaś po skórze rozchodzi się chłód. Żyję. Jestem tutaj, żywa.

Przed nami stoi otwarta furtka. Naciągam ramiączka plecaka, podczas gdy Reese wyciąga pistolet zza pasa. Podnosząc go, przygryza z bólu wargę. Zmienia postawę tak, jak ją uczyłam, a następnie celuje w cień rozpościerający się wśród rosnących po drugiej stronie bramy drzew.

– Tak dla bezpieczeństwa – oznajmia.

Chce mi się śmiać.

Wybieramy inną drogę do jej domu. Nie wchodzimy głęboko w las i – gotowe raczej stawić czoła znanemu niż nieznanemu niebezpieczeństwu – trzymamy się koślawych, sarnich ścieżek, które lawirują pomiędzy drzewami.

Las jest wyjątkowo cichy, nawet jak na Raxter. Śnieg pokrył glebę cętkami, opadając warstwą grubszą niż zazwyczaj wczesną zimą. Przyglądamy się dokładnie ziemi, szukając śladów, ale za każdym razem, kiedy na jakieś natrafiamy, prowadzą do szkoły. Jeśli my tutaj jesteśmy bezpieczne, działa to na niekorzyść pozostałych dziewczyn.

W końcu zauważamy przed sobą zarys zrujnowanego domu Harkerów. Strzepuję płatki śniegu z rzęs i spieszę przed siebie, marząc o chwili odpoczynku.

Reese idzie przodem. W roztargnieniu wyciera buty przed drzwiami, co ściska mi serce. Z trudem łapie powietrze i zanosi się płaczem. Oczywiście, zapomniałam. Pan Harker. Ciało.

Kładę sprawną rękę na jej ramieniu, po czym staję obok niej, gotowa wypowiedzieć jakieś pocieszające słowa. Nic jednak nie dadzą, bo wokół tego, co zostało z jej taty, zebrały się trzy szare lisy, które ociekającymi czernią pyskami rozrywają jego tors.

– Odczepcie się od niego! – wrzeszczy. Podnosi pistolet i strzela pomiędzy zwierzęta. Nie ma o czym mówić, jej postawa jest chaotyczna. – Sio stąd!

Jeden wyskakuje przez dziurę w ścianie budynku, a potem znika w trzcinie, ale dwa pozostałe podnoszą jedynie pyski i patrzą w naszym kierunku. Reese chyba ma to gdzieś. Zatacza się w stronę ciała. Gdy próbuję ją powstrzymać, odpycha od siebie moją dłoń. Opada na kolana u stóp ojca, podpierając się rękami. Jeden z butów ma niezasznurowany, natomiast z drugiego wystaje pasiasta skarpetka.

Lisy przyjmują ją ze spokojem, prawie jakby była jednym z nich, lecz jak tylko podchodzę, odskakują z głośnym piskiem i wyslizgują się przez ścianę.

– Reese? – szepczę.

Siedzi na piętach. Widzę, że po jej policzku spływa łza. Zaraz ją ściera.

– Masz coś przeciwko temu – zaczynam – byśmy stąd poszły?

Zmierzamy dalej na zachód wzdłuż wybrzeża. Byłoby łatwiej iść plażą, ale Reese prowadzi nas w pobliżu drzew, na tyle blisko, że znajdujemy się pod osłoną ich gałęzi.

Brzeg wyspy zmienia się w tym miejscu, stając się niemal porowatym gąbką. Później przechodzi w poszarpane gromady skał, które tworzą bagno na drugim końcu Raxter. Kiedy znów wyszliśmy na zewnątrz, spytałam Reese, dokąd idziemy, lecz w odpowiedzi potrząsnęła jedynie głową i pociągnęła mnie za sobą. Jeszcze tydzień temu powiedziałabym, że jest uparta, ale teraz wiem, że po prostu się wstydzi, ponieważ zapytałam o coś, czego nie jest pewna.

Zatrzymujemy się przy skałach. Reese spogląda w dół, marszcząc czoło, a następnie krok po kroku wyprowadza nas spod pokrywy drzew.

– Jesteśmy już prawie u celu – zagaduje.

Przytakuję lekko. Nie naciskam. Znajdzie to, czego szuka.

Idziemy dalej, nasze ciała są spięte, a plecak ciąży mi coraz bardziej na ramionach. Panuje cisza tak, jakby wszystko, co mieszka na wyspie, chowało się przed tym, co dzieje się w szkole. Jak tylko niedźwiedź skończy z pozostałymi dziewczynami, ruszy za zwierzętami. Musimy opuścić to miejsce, zanim zamieni się w pobojozisko.

Reese zatrzymuje się nagle i wskazuje na coś przed nami.

– Tam – informuje.

Przed nami, wciśnięta pomiędzy dwiema wielkimi skalnymi włóczyniami, biegnie oczyszczona ścieżka. Już stąd dostrzegam fragment plaży oraz fale wyrzucające splątane wodorosty na brzeg. Na piasku leży biała szalupa, z kadłubem obrośniętym skorupiakami i wodorostami.

Kierujemy się w dół, uważając na naoliwione przez morze kamienie. Reese wyciąga do mnie rękę. Chwytam ją, pozwalając, by podtrzymawała mnie w stabilnej pozycji, gdy idziemy w stronę brzegu.

Szlak urywa się nad piaszczystą plażą, więc musimy zeskoczyć. Moje buty się zapadają, zostawiając znikające po chwili ślady. Na horyzoncie widzę kontynent, pusty i czarny na tle nieba.

– Tutaj – odzywa się Reese, wskazując na jedną ze skał. – Powinam zmienić ci opatrunek.

Siadam, podając jej plecak, żeby mogła wyłowić ze środka zestaw do pierwszej pomocy. Materiał, który dostałam od Julii, z trudem starczył na pokrycie połowy ran i kiedy Reese otwiera pojemnik, wzdycham z ulgą na widok nieskazitelnie czystego bandaża.

Chwyta moją dłoń obiema rękami i porusza ramionami tak, aby je rozluźnić. Śnieg wciąż opada łagodnie, przylegając wszędzie tam, gdzie ląduje. Wślizguje mi się za kołnierz, padając na kark, zatem naciągam na głowę kaptur, podczas gdy Reese rozplątuje prowizorycznie zawiązany okład.

– Boże, naprawdę to schrzaniłaś – stwierdza, delikatnie oglądając moją dłoń. – Czujesz to?

– Tylko miejscami.

Wygląda bandaż i ponownie zawija mi rękę, ostrożnie unikając rejonów, z których krew sączy się przez pierwsze warstwy materiału.

– A jak z poruszaniem nią?

Udaje mi się nieznacznie unieść kciuk, na co Reese puszcza mnie z uśmiechem.

– To dobrze – dodaje. – Będziemy cały czas próbować.

Wstaje, pakuje apteczkę do plecaka, tymczasem ja spoglądam jej przez ramię na majaczący w oddali kontynent.

– Wydaje się tak daleko – szepczę.

– Może z trzydzieści mil do brzegu. – Reese zerka na horyzont. – A co później, gdy już się tam dostaniemy?

– Chcę iść do Camp Nash – odpowiadam stanowczo. – Tam musi być Byatt. Nie opuszczę jej tak. Nawet jeżeli rzeczywiście nie żyje.

– Hetty...

– Nie zrobię tego. Nie mogę jej tak zostawić. Nie rozumiesz.

Reese odwraca wzrok.

– Myślę, że rozumiem.

Oczywiście. Jej tata. Walczę ze wzbierającą falą mdłości.

– Przepraszam. Nie chciałam... – Odchylam głowę i oglądam padający śnieg. – Nie chcę, abyś myślała, że zapomniałam, albo uważała, że to w porządku. Wiem, że jesteś zła i że będziesz jeszcze przez długi czas. Potrafię to zaakceptować.

– Jestem zła – mówi powoli Reese. – Jednak ledwie to czuję. Zdaję sobie sprawę z tego, że to wróci, ale też mam powody, by było mi przykro. – Kieruje wzrok na mnie, na moje gardło, wówczas przypominam sobie to uczucie, jak jej ręka zaciskała się mocno wokół mojej szyi. Miało to miejsce raptem tydzień temu, lecz wydaje się, jakby minęły lata. – Teraz mamy ważniejsze sprawy.

Śmieję się z ulgą bliską płaczu, z kolei Reese pochyla się tak, że nasze ramiona ocierają się o siebie.

– Jedną z tych ważniejszych rzeczy – kontynuuje – jest lekarstwo. Tak naprawdę to nikt go nie szuka. Teraz to wiemy.

– Może znajdziemy je gdzieś w Camp Nash – wtrącam. Potem przypominam sobie Welch, wtedy na pomoście. Co powiedziała o moich rodzicach. Co ja powiedziałam o swoim tacie. – A może jest ktoś jeszcze, kto może nam pomóc.

– Kto? – Reese marszczy czoło.

– Mój tata. – Zastanawiam się, czy wciąż stacjonuje w Norfolk. Co razem z mamą zrobili ze swoim życiem po tym, jak usłyszeli, że ja nie żyję. – Jest w marynarce. Ale nie w Camp Nash, on może coś wiedzieć. W tym momencie myślę, że możemy liczyć tylko na niego.

Reese milczy, więc odwracam wzrok. Wiem, że myśli o swoim własnym ojcu i czekam, aż się z tego otrząśnie.

– Dobrze – odzywa się w końcu. – Najpierw Byatt, a następnie lekarstwo.

Zapinam plecak, podczas gdy Reese idzie odwrócić łódź. W ciągu minuty czy dwóch stawia ją odpowiednio, po czym zaciąga do wody.

Zauważam zardzewiały silnik, prowizorycznie przymocowany od strony rufy.

– Zadziała? – pytam. – Czy będziemy musiały wiosłować? Trzydzieści mil to sporo.

– Powinno zadziałać – odpowiada Reese. – Ojciec zawsze trzymał w schowku zapasowy pojemnik z paliwem.

Obserwuję, jak sprawdza wiosła i kładzie je pomiędzy siedzeniami, tak na wszelki wypadek. Większa fala wstrząsa szalupą, stąd cofam się o kilka kroków. Mój tata należy do marynarki – tam, skąd pochodzę, łódki są większe. Stabilne i obszerne, trzymają się kupy bez łatania smołą na rufie.

Reese się śmieje, a wiatr szarpie za jej warkocz. Ten widok łapie mnie za serce. Chmury falują nad nami, zaś słońce podnosi się nad horyzont. Skały wyją, kiedy wichur przedziera się pomiędzy nimi. Czuję, że nigdy nie ucieknę od Raxter, nieważne, jak daleko się od niego oddalę. Nigdy mnie nie wypuści.

– Do środka! – woła Reese, podając mi plecak. – Odepchnę nas od lądu.

Wskakuję na pokład, siadam pospiesznie z twarzą odwróconą do brzegu i chwytam się mocno szandeku⁷. Reese zaczyna pchać łajbę na grzbiety fal, aż staje po kolana w wodzie. Czuję, jak skręca mnie w żołądku, gdy motorówka kołysze się z boku na bok.

– Dobrze – oznajmia. – Przygotuj się. Wchodzę.

Wykonuje ostatni krok, odpychając się z całej siły i podciągając się na szandeku. Łódka przechyla się mocno na bok, kiedy Reese przerzuca najpierw jedną, a potem drugą nogę. Odskakuję do tyłu, gdy woda chłapie mi w twarz.

– Jesteśmy. – Siada na ławce naprzeciwko mnie. – Wszystko dobrze?

– Przyniosłaś ze sobą połowę oceanu.

Wywraca oczami.

– A poza tym?

– Tak.

Fale pchają nas z powrotem w kierunku brzegu, więc Reese reguluje dźwignię silnika i szarpie za linkę rozrusznika. Nic się nie dzieje, ale próbuje znowu i znowu, aż w końcu ten budzi się do życia. Rozpryskując

wodę, z warkotem pcha nas naprzód.

– W porządku – stwierdza Reese. Przez hałas silnika ledwo ją słyszę. –
No to ruszamy.

Brzeg się od nas oddala, lecz Reese nie ogląda się za siebie.

ROZDZIAŁ 25

Trzymamy się blisko północnej strony wyspy. Reese utrzymuje silnik na wolnych obrotach, aby oszczędzać paliwo, więc płyniemy pomału. Wybrzeże przesuwa się z wolna, z kolei śnieg wiruje w łagodnych podmuchach wiatru. Drzewa stoją jedno obok drugiego niczym zapałki, a później, gdy słońce lśni już wysoko na niebie, pojawiają się bagna. Zaledwie pół mili od miejsca, w którym z wyspy wystaje molo.

Tutaj robi się trudniej, bo mielizna wyskakuje w niespodziewanych momentach. Mrużę oczy i skanuję brzeg w poszukiwaniu punktu turystycznego. Tuż za nim dno oceanu opada głęboko, po czym przechodzi w otwarte wody.

Wkrótce je zauważam. Centrum leży w północnej części wyspy, oddzielone od bagna gęstym pasem drzew. Jest zbudowane tak, żeby sprawiało wrażenie stojącego przy brzegu domu, pokryte gontem, z gankiem widokowym oraz pudełkowatą przybudówką z tyłu, zbudowaną może z dekadę temu, kiedy zarząd turystyki podjął próbę modernizacji. Dzisiaj, osłonięte czymś na kształt namiotu, wygląda to niemal bezkształtnie.

Siadam wyprostowana. Przecieram oko i spoglądam raz jeszcze. Znad płachty przebija się antena radiowa, natomiast połączenie materiału łopoczą na wietrze.

– Zatrzymaj się – proszę, a Reese przełącza silnik tak, by pracował na jałowym biegu.

– Co to jest? – pyta. – To miejsce powinno być puste.

Nie wydaje się, aby plandeka przykrywała całość, niestety trudno mi to stwierdzić z tej odległości. Widziałam już coś takiego w trakcie dezynsekcji dymem w celu odizolowania budynku, ale dlaczego ktoś miałby to robić tutaj?

Nagle do mnie dociera. Tamtej nocy łódź opuściła dok przy domu pana Harkera, jednak nie popłynęła w kierunku Camp Nash. Przybiła tu.

– Zawsze myśleliśmy, że są na kontynencie – mówię. – Marynarka i CDC. Ale nie. Oni przez cały ten czas byli na Raxter. – Odwracam się do Reese. – To z nimi Welch rozmawiała przez krótkofalówkę. To ich placówka. Tylko pomyśl. Nie ma szans, żeby brali zainfekowany materiał gdzieś daleko stąd.

– Dlatego wysłali jednostkę tutaj – dodaje Reese, marszcząc czoło. – To ma sens, lecz w ten sposób ryzykują zarażeniem się.

– Poszli na kompromis. – Ich własne bezpieczeństwo w zamian za dostęp do próbek. Dostęp do nas. – Kiedy są gotowi na przetestowanie lekarstwa, proszą o żywy obiekt badań. Jeden już dostali. – Pochyliłam się do przodu, sprawiając, że łódka kołysze się na boki. – Tam właśnie trzymają Byatt. Jestem pewna.

Reese zawraca motorówkę i kieruje ją w stronę pomostu. Wszystkie cumy zniknęły, a my nie mamy żadnej liny, więc płynię na płyciznę w pobliże moczarów.

Reese pozwala, bym wysiadła jako pierwsza, mówiąc, że w tym czasie utrzyma odpowiedni balans łodzi. Ocean jest tutaj mulisty i nie dostrzegam dna, ale nie może być zbyt głęboko. Przechodzę nad szandekiem, a łódź się przechyla, gdy przenoszę swój ciężar ponad krawędzią. Woda zaciska się zimnem wokół moich nóg, kiedy opuszczam się z szalupy, po czym ląduję w trzcinie.

Sięga mi tylko do połowy łydek, lecz jest boleśnie lodowata, gorsza od najzimniejszego dnia, jaki do tej pory przeżyliśmy. Drzę gwałtownie, powstrzymując się przed wybiegnięciem na brzeg. Trzymam łajbę, aby Reese mogła z niej wyjść.

Przewiesza plecak przez sprawne ramię i z łatwością przeskakuje nad burtą tak, jakby robiła to tysiące razy. Pewnie tak właśnie było. Brnie w wodzie za rufę, pchając łódź, podczas gdy ja prowadzę ją od strony dziobu. Razem wyciągamy ją na mieliznę, stopę czy dwie za linię wody.

Tereny między tym miejscem a centrum turystycznym to głównie bagna, niemal bez osłony. Zanim docieramy do drzew, trzymamy się poza zasięgiem budynku, z dala od promenady. Nisko pochylone i przyprószone

białą, przedzieramy się przez komary oraz smród. Tak jest bezpieczniej, ale czuję gorąco, skóra mi się łuszczy, natomiast na górnej wardze pojawia się świeży pot. Może odrzutowce nie nadlatują, może się nie ewakuowali, a może nadal tu są.

Kątem oka widzę, jak wszystko wciąż się zmienia. Słyszę kliknięcie odbezpieczanej broni. Słyszę za sobą trzask trzciny, wzdrygam się i upadam na kolana. Nadchodzą. To koniec, to koniec.

– Hej.

Liczę, że zrobią to szybko. Wpakują mi kulkę w łeb. Nie chcę z tym walczyć – należy mi się, zasłużyłam na to – ale proszę, nie każcie mi czekać.

– Hetty. Jezu, jesteś cała rozpalona.

Czuję to, a potem ręka łąduje na moim czole i mrugam z trudem. Reese, to Reese. Pomaga mi usiąść. Ziemia jest wilgotna, nasącza się wodą pod moim ciężarem.

– Powinnyśmy zrobić przerwę – stwierdza, przeglądając zawartość plecaka w poszukiwaniu zestawu do pierwszej pomocy. – Musisz odpocząć.

– Czuję się dobrze.

Reese przetrząsa opakowanie, butelka aspiryny wypada w błoto.

– To nie wystarczy. – W jej głosie pobrzmiewa gniew. – Coś z tego jest w ogóle użyteczne?

Kiedy pomaga mi wstać, zostawiamy apteczkę za sobą.

Wreszcie mijamy bagna. Wchodzimy pomiędzy drzewa i przedzieramy się na drugą stronę. Zauważam, jak w oddali majaczy centrum turystyczne. Plastikowy namiot powiewa na wietrze.

Przeście jest tuż przed nami, ścieżka wyłożona kostką brukową wypełza spod zadaszenia. Wiem, że powinnam mieć coś na wzór planu, jakiś sposób na przekradnięcie się do środka, ale boli mnie ręka i jestem taka zmęczona, że jedyne, co jestem w stanie wymyślić, to unieść bok plandeki, a następnie zanurkować do wnętrza. Reese klnie za moimi plecami, jednak podąża za mną. Plastik opada za nią, pogrążając nas w duszącej ciemności.

Zatrzymujemy się na chwilę, w razie gdyby ktoś do nas przybiegł, ale wewnątrz panuje cisza. Jeżeli odrzutowce są już w drodze, jednostka badawcza musiała się ewakuować. Podwójne drzwi budynku są na wyciągnięcie ręki. Sięgam i naciskam delikatnie na klamkę, wtedy te otwierają się z piskiem.

– Powinnyśmy tak po prostu sobie wejść? – pytam.

Reese wzrusza ramionami, ocierając jednym o mnie.

– A co, chcesz zapukać?

Wewnątrz znajduje się pomieszczenie administracyjne, wyglądające tak samo, jak mojego pierwszego dnia w Raxter. Wyblakłe, pożółkłe ściany ozdabiają abstrakcyjne wzory w odcieniach zieleni oraz niebieskiego. Przechodzimy do recepcji z blatem na tyle długim, że mogą stać przy nim trzy, cztery osoby. Po drugiej stronie znajduje się tylko jedno krzesło, a większość powierzchni przykrywają zatechłe katalogi, przedstawiające punkty rekreacyjne w okolicy.

Myszę o dyrektorce, której obiecano drogę ucieczki, po czym pozostawiono samą sobie.

Pochylam się nad blatem i przerzucam foldery, ale nie ma tu niczego interesującego, nic, co pomogłoby uratować Byatt.

– Gdzie mogli ją umieścić? – Odwracam się przodem do Reese. – Potrzebowaliby jakiegoś wystarczająco dużego lokum.

– Z tyłu budynku w nowszej części mieści się sala konferencyjna.

Prowadzi mnie przez parter. Podążamy za znakami wzdłuż głównego korytarza, a następnie przez pomieszczenie podpisane jako kaplica, do kolejnego pokoju administracyjnego, mniejszego i nędzniejszego.

Na linoleum dostrzegam krew. To pierwsza rzecz, jaką zauważam. Kałuże czerwieni tworzą ścieżkę prowadzącą do wieży antenowej. Wymieniam spojrzenie z Reese. Sporo tego. Nikt nie mógłby wytrzymać utraty takiej ilości.

– W lewo czy w prawo? – zagaduje Reese.

Kierujemy się na lewo, podążając za śladami do sali konferencyjnej. Otwiera się rząd okien. Pokój wypełniają szpitalne łóżka, kotary oraz zadrapania w podłodze. Wzdłuż odległej ściany stoją małe szafki,

umywalka i barek na wypadek imprez, których nie było. Ponad meblami, przykryte prześwitującą tapetą, wiszą plakaty reklamujące wszystko, co Raxter miało do zaoferowania.

– Jak myślisz, dokąd poszli? – przemawia Reese. – Mam na myśli lekarzy.

– Chyba z powrotem do bazy na plaży. To miejsce jest wystarczająco daleko od szkoły, byśmy nie dojrzały, że ktoś po nich przyplęwa.

Ślad krwi znika za otwartymi drzwiami. Idę przodem przez salę, ostrożnie stawiając stopy. Cztery prycze, w trzech ktoś spał. Jedna, ta naprzeciwko mnie, jest pofałdowana, pościel zrzucona, a obok leży przewrócony stojak na kropłówkę. Na podłodze są rozsmarowane bordowe krople.

Reese podnosi przymocowaną do nogi łóżka podkładkę i jej się przygląda.

– To należało do niej. Tutaj, widzisz? Byatt Winsor.

Naprawdę tu była. Przyszłam jednak za późno. Zawsze jestem spóźniona.

Odwracam się, oglądając resztę pokoju. Szukam jakiejś wskazówki, gdy niespodziewanie dostrzegam stojącą na lewo od drzwi leżankę. Jest przemoczona, powłoczki nasączone szkarłatnymi plamami. Pośrodku leży skalpel, lśniący delikatnie w migoczącym świetle. I jest też coś jeszcze.

– Hej – chrypię. Reese się do mnie odwraca. – Spójrz.

– Co to, do cholery, jest?

Powoli podchodzimy bliżej. Nie rusza się, ale Raxter nauczyło mnie nie ufać temu, co widzę. To, że coś umarło, wcale nie znaczy, że przestało być niebezpieczne.

– Czy to...

– Robak – dokańcza Reese.

Pokrywa go zakrzepła krew, lecz pod spodem zauważam bladą, półprzeźroczystą tkaninę. Z jakiegoś powodu wygląda znajomo. Nigdy wcześniej nie widziałam czegoś podobnego, jestem tego pewna, ale gdzieś w środku coś jakby drga w odpowiedzi.

Robak i skalpel. Potrafię teraz połączyć jedno z drugim. Byatt z ostrzem w dłoni, grzebiąca we własnych wnętrznościach, aż znalazła to, czego

szukała.

– To było w jej wnętrzu – stwierdzam. Następnie, ponieważ obydwie myślimy o tym samym, dodaje: – My też mamy coś takiego, prawda? To właśnie jest Tox.

Pasożyty. Żyją w naszych ciałach, próbując nami zawładnąć. Używają tych, którzy są w stanie je znieść, natomiast zostawiają tych, którym brakuje na to sił. Bronią się za wszelką cenę. Są wewnątrz mnie, wewnątrz zwierząt – wewnątrz Raxter. To one sprawiają, że dziczejemy.

Nie mogę dłużej na to patrzeć. Pochyliłam się w konwulsji, czując mdłości.

– Już dobrze – uspokaja Reese, gładząc mnie po plecach.

– Chcę się tego pozbyć. – Łzy napływają mi do oka i oddycham za szybko, muszę zwolnić, muszę. – Proszę, wyciągnij to.

– Nie możemy tego zrobić.

Prostuję się i odpycham jej rękę.

– Nie chcesz się tego pozbyć?

– Nie wiemy, co się stanie, jeżeli spróbujemy. Możemy wykrwawić się na śmierć. – Zakłada mi kosmyk włosów za ucho, obdarowując mnie uśmiechem. Naprawdę bardzo próbuje polepszyć naszą sytuację. – Jakoś to rozgryziemy – przekonuje. – Jakoś to wszystko rozgryziemy.

– Nie rozumiem. Jak mogłyśmy tego nie wiedzieć?

– Musiało urosnąć. Z początku mogło być mniejsze. Wręcz mikroskopijne.

– Ale... – Czuję się zagubiona, jakby cały świat zaczął mówić nowym językiem, którego nie rozumiem. – Co z badaniami? Naszymi badaniami krwi i tymi ekspertyzami lekarskimi? Dlaczego teraz? Dlaczego my?

– Nie wiem... – mówi Reese. Wraca do podkładki przy łóżku Byatt i zaczyna przewracać zgromadzone tam kartki. Chciałabym być taka jak ona, chciałabym nie przejmować się tym, z czym nie mogę nic zrobić.

Staję przy niej i czytam jej przez ramię, tu i tam wylapując słowa, które znam – „estrogen”, „adaptacja” oraz powtarzające się „niepowodzenie” – ale większość z tego to wykresy albo liczby. Czy są tutaj gdzieś odpowiedzi?

Większość notatek jest zapisana nieczytelnym pismem, więc Reese szybko przerzuca strony, ledwo na nie zerkając, aż zatrzymuje się na jednej.

– Co to jest?

Zagina jej róg, rzuca plecak na materac, a potem przetrząsa jego zawartość w poszukiwaniu zapisków, które zabrałyśmy ze szkoły.

– Reese?

– Myślę, że gdzieś to już widziałam – oznajmia i wyciąga kartki papieru. Bliźniacze wykresy z analizą wydrukowaną poniżej tekstem tak drobnym, że potrzebowałabym szkła powiększającego, aby je rozczytać.

– Rejestruje zmiany klimatyczne – wyjaśnia Reese, wskazując jedną z osi obrazującej lata. Rok nadejścia Toxu jest podkreślony na żółto, wyblakłym i rozmytym kolorem.

– Średnia temperatura w Raxter w kolejnych latach. Spójrz, sięga daleko wstecz.

Jedna kopia w aktach szkolnych i jedna tutaj w prowizorycznym szpitalu, przypięta do łóżka Byatt. I oto jest – zmiana klimatu, temperatura rośnie. Czytałam kiedyś o stworzeniach uwięzionych w arktycznej czapie lodowej. Prehistorycznych i starożytnych, budzących się, gdy lód topnieje. W Maine, na Raxter, pasożyt powoli wsiąkał w najsłabsze istoty – irysy, kraby – aż stał się wystarczająco silny, by wnikać w większe zwierzęta. Wnikać w nas.

ROZDZIAŁ 26

Reese wciąż wpatruje się w wykresy, zatem sięgam po podkładkę i przeglądam resztę dokumentów. Obserwacje pacjenta BW. U dołu każdego formularza jest ten sam podpis. Nie potrafię go rozczytać, ale poniżej formułki „doktor dyżurujący” wydrukowane jest imię.

– Audrey Paretta – czytam na głos. – Ona była lekarzem Byatt.

Dyrektorka powiedziała, że potraktowano ją gazem. Musiała to zrobić Paretta. To ona podjęła decyzję, żeby zabić moją najlepszą przyjaciółkę. Gdyby tu była, wydlubałabym jej oczy własnymi rękami.

– Została ewakuowana – przypomina łagodnie Reese. – Nic już na to nie poradzimy.

Przytakuje, wypieram myśl o lekarce, a następnie wracam do kartkowania akt. Badania i badania, z których żadne się nie powiodło. Tox był zbyt silny, by zginąć, z kolei my zbyt słabe, by przeżyć. Oznaczyli ją jako RAX009, więc mieli jeszcze osiem innych. Mimowolnie wspominam zwłoki Mony w worku.

Tej nocy Welch powiedziała, że myśleli, iż tym razem im się udało. Musieli wysłać Monę z powrotem do szkoły i czekać, obserwując, czy wytrzyma, czy lekarstwo, które znaleźli, zadziała. Ale nie wytrzymała, a lekarstwo nie zadziałało. Założę się, że jest gdzieś w tym budynku, wpatruje się szeroko otwartymi oczami gdzieś w pustkę przed sobą, z ciałem sztywnym i rozciętym w poszukiwaniu odpowiedzi. To była też jej historia.

Daję Reese dodatkową minutę na krzątanie się po pokoju, pozbieranie papierów z łóżka Byatt i schowanie ich z powrotem do plecaka. Kiedy kończy, obie ruszamy do drzwi. Nie potrzebujemy stąd niczego więcej. Niedługo nad naszymi głowami pojawią się odrzutowce. Czas iść po Byatt.

Podążamy za krwią, wychodzimy z sali i idziemy wzdłuż korytarza przez pomieszczenie administracyjne. Trop prowadzi klatką schodową, zwężającym się, ostro zakręcającym, kolejnym korytarzem. Ślady stają się

coraz mniejsze, lecz nie znikają, a tu i tam, rozsiane przy ścianie, widnieją odciski dłoni, jakby ktoś się o nią opierał, aby utrzymać się na nogach.

Za trzecim zakrętem powietrze zaczyna przypominać to z zewnątrz, świeże oraz czyste. Przyspieszam. Reese dotrzymuje mi kroku. Aż wreszcie znajdujemy – drzwi, wgniecione, lekko rozchylone, a za nimi trawa i światło dnia.

Otwieram je z trzaskiem, po czym wychodzę na małe, wyboiste podwórze. Jest otoczone drucianym płotem, za którym wyrastają najeżone liśćmi drzewa. To musi być tył budynku, który sąsiaduje z lasem po prawej stronie. Nad nami rozpościera się bezchmurne niebo w kolorze żywego błękitu.

Niemal bym ją przeoczyła. Drobna, skulona postać oparta o ścianę na samym końcu, z kurtką owiniętą ciasno wokół tego, co z niej zostało.

– Byatt?

Biegnę, stopy uderzają o ziemię, aż wreszcie padam obok niej na kolana. Wygląda strasznie, okropnie, lecz nie potrafię odwrócić wzroku. Śnieg przykrył jej ciemne włosy. Bandaż dookoła ręki przesiąknął krwią, skóra jest tak blada, że niemal przezroczysta, z kolei w zupełnie czarnych palcach ściska irysa Raxter. Jest zimna. Jej ciało jest takie zimne...

– Byatt. Byatt, hej, no dalej. To ja, to ja, Hetty.

Brak odpowiedzi. Sprawdzam puls na jej szyi, ale za bardzo drżą mi dłonie. Patrzy prosto na mnie, ciepłymi, błyszczącymi oczami, tymi samymi, które zapamiętałam. Tylko że teraz za nimi kryje się pustka. Bez życia, bez niczego. Odgarniam jej włosy z twarzy i nagle przenoszę się rok oraz miesiąc wstecz, do dnia, gdy spotkałyśmy się po raz pierwszy. Byatt przemycająca mi jedzenie z kuchni, Byatt dzwoniąca za mnie do moich rodziców, kiedy oblałam egzamin, Byatt zajmująca mi miejsce podczas wieczornej mszy, Byatt pomagająca mi poradzić sobie z koszmarami. Zawsze szła po stronie mojego ślepego oka, kładąc rękę na moim łokciu, aż nauczyłam się funkcjonować. Moja przyjaciółka, moja siostra – część tego, kim byłam.

– Lekarze potraktowali ją gazem – odzywa się Reese, wówczas wracam do siebie. – Musiała wiedzieć, że umiera.

Byatt wiedziała o nadchodzącym końcu. Odzyskała swoje ciało. Przyszła

tutaj, z dala od pokoju, w którym ją zostawili.

Zanoszę się płaczem i kładę głowę na ramieniu Byatt, oddając się wstrząsom przechodzącym przez mój organizm. Dyrektorka mówiła o tym, ale nie potrafiłam jej uwierzyć. Byatt jest zbyt wielka, zbyt ważna, aby kiedykolwiek zniknąć. Jak ktoś mógł jej to uczynić? Jak Paretta mogła nie zauważyć, ile jest warta?

– Co chcesz zrobić? – pyta Reese, gdy milknę. – Nie wydaje mi się, byśmy mogły ją zabrać.

– Co?

– Nie możemy tutaj zostać – tłumaczy. – Szkoła prawdopodobnie została już zniszczona, a odrzutowce będą tu lada moment.

– Nie zostawię jej – syczę, poprawiając Byatt kurtkę.

– Ale...

– Powiedziałam, że jej nie zostawię. – Nie wiem, jak się do tego zabrać, lecz nie poddam się, tak samo jak Reese. Widzę to po sposobie, w jaki zaciska szczękę. Zostanie tutaj jest niebezpieczne, zdaję sobie z tego sprawę, jednak po tym wszystkim, co zrobiłam, żeby znaleźć Byatt, nie zamierzam jej teraz opuścić.

Reese wzdycha i wygląda na to, że zaraz coś powie, kiedy nagle słyszymy, jakby ktoś się cicho zakrztusił. Lekki świst oddechu, na dźwięk którego aż podskakuję. Odwracam się powoli, niemal bojąc się spojrzeć.

Ona żyje. Klatka piersiowa Byatt nieznacznie się porusza. Mruga, otwierając usta.

– O mój Boże. – Podtrzymuję jej głowę. – Byatt, słyszysz mnie? – W końcu na mnie spogląda i czuję, jak uśmiech znika mi z twarzy. Coś jest nie tak. – Byatt?

– Co się dzieje? – dopytuje Reese.

– Nie jestem pewna. – Obiema rękami chwytam dłoń Byatt, przyciskając ją do swojego policzka. – To ja. Hetty.

Nic. Żadnej reakcji. Ciało należy do Byatt, ale umysł już nie.

– Nie rozumiem – mówi Reese. – Potraktowali ją gazem. Jak to możliwe, że wciąż żyje?

Zerkam w dół, na zwiotczałą, kościstą dłoń, którą trzymam w swojej.

Widzę bandaż na ręce oraz wyglądające spod niego fragmenty rozciętej rany.

– Przeżyła, ponieważ to z siebie wyciągnęła – odpowiadam.

– Co?

– Gaz miał za zadanie zgładzić Tox. Ona jednak to wyjęła, więc nie mógł jej zabić. – Oczy Byatt, nieskupione na niczym, patrzą na wprost, gdzieś ponad moim ramieniem. – Wygląda na to, że razem z tym straciła też osobowość, wszystko.

Reese kuca przy nogach Byatt. Obserwujemy, jak powoli odwraca głowę, żeby spojrzeć na Reese. Z początku myślę, że coś zaskakuje, coś w niej iskrzy, ale znika, jeszcze zanim zdążę się upewnić, że naprawdę to widziałam.

– Sprawdźmy, czy może się ruszyć – proponuje Reese. – Nie jesteś wystarczająco silna, aby pomóc, niestety nie wiem również, czy ja sama dam radę zanieść ją do łodzi.

Miała na myśli „za bardzo cierpisz”, mimo to nigdy by tego nie powiedziała. Nawet teraz, po tym wszystkim.

Ustawiam się z jednej strony, natomiast Reese z drugiej, i razem podnosimy Byatt na nogi, gdy z oddali rozlega się cichy huk, łagodny, lecz coraz głośniejszy. Odrzutowce. Usta mi wysychają, a strach unosi włoski na karku.

– Cholera – klnę. – Musimy się pospieszyć.

Byatt przystaje co parę sekund, jakby dopiero uczyła się poruszać swoimi kończynami, jednak kierujemy się do drzwi, z powrotem do centrum turystycznego.

Wchodzimy do środka, a potem pokonujemy korytarz za korytarzem. Słabnę, siły mnie opuszczają, każdy kolejny krok jest wolniejszy, aż w końcu docieramy do głównego pomieszczenia administracyjnego. Południowe słońce przedziera się przez zabite deskami okna. Zatrzymujemy się i opieramy Byatt o ladę, dlatego mogę chwilę odpocząć. Czuję, jak Reese mi się przygląda. Czeka, aż to powiem, aż powiem, żebyśmy zostawiły Byatt. Jeszcze długo poczeka.

– No dalej – ponaglam. – Teraz albo nigdy.

Na zewnątrz za bagnem znajduje się nasza łódź. Stoi na wybrzeżu. Wydaje mi się to tak daleko, że tracę siłę woli, ale Reese wymawia moje imię, raz, tylko raz. Ostro i stanowczo. Wierzy, że dam radę to zrobić, więc muszę.

Wyłapuję gwizd i ogromne poruszenie zimnego powietrza.

– Padnij – zdążam powiedzieć, zanim trzy myśliwce przelatują nad naszymi głowami. Jest tak głośno, że nie słyszę własnych myśli. Teraz jedyne, co mogę zrobić, to jakoś to przetrwać. Lecą zbyt nisko. Musimy ruszać w tej chwili.

Znikają, wykonując okrążenie, by zawrócić. Podnoszę Byatt zdrową ręką.

– No dalej!

Nareszcie docieramy do pomostu. Gramolimy się wzdłuż brzegu, ile sił w nogach, ciągnąc stopy Byatt po piasku. Ostrożnie układamy ją na deskach, jej oczy są zamknięte, ale oddycha. Żyje.

– Właż – rozkazuje Reese. – Odepchnę nas.

Następuje kołysanie, ryk silnika, Reese siedzi na rufie, podczas gdy motorówka zaczyna odpływać. Szybka zmiana kierunku i ślizgamy się po powierzchni oceanu. Wyspa się rozmazuje, aż gubi się w rozpryskiwanej mgiełce wody. Dalej i dalej, aż nie słyszę już samolotów.

Śnieg przestaje padać, a dzień staje się cieplejszy. Ocean skrzy się wszędzie tam, gdzie sięgam wzrokiem, zaś kadłub łodzi połyskuje nikłym blaskiem. Tracę minuty, godziny, wpatrując się w horyzont i próbując wypatrzyć niskie budynki Camp Nash, jednak kontynent jest zamglony. Ani przez chwilę nie wydaje się bliższy, bez względu na to, jak Reese kieruje nas naprzeciw falom.

Ciągle jesteśmy oddalone wiele mil od brzegu, kiedy wyłącza silnik z pełnym frustracji jękiem.

– Co robisz? – Pocieram ślepe oko.

– Prąd odpycha nas od zatoki. W ten sposób nic nie osiągniemy.

– Więc po prostu się zatrzymujemy?

– Aż zmieniają się prądy. – Odgarnia włosy z twarzy, po czym wstaje, a łódź przechyla się na jedną stronę. – Mamy ograniczoną ilość paliwa. Użycie go teraz będzie marnotrawstwem.

Reese przechodzi nad leżącą na brzuchu Byatt i siada obok mnie przy dziobie szalupy. Byatt wygląda tak dziwnie. Ma obwisłą twarz oraz przymknięte powieki. Zawsze miała w sobie jakąś taką iskrę, nawet gdy spała. Teraz to przepadło. Albo się zmieniło.

– Jaki on jest? – pyta nagle Reese. – Mam na myśli twojego tatę.

– Nie wiem. – Wymyka mi się to z ust, zanim zdążam się powstrzymać. Tak faktycznie jest, naprawdę. Wiem jednak, że nie tego oczekuje. – Wraca do domu z delegacji i zaraz znów wyjeżdża.

Reese unosi podbródek.

– I kochasz go?

– Oczywiście, że tak. Po prostu go nie znam.

To nie ma dla niej sensu, wiem o tym, dlatego chcę jej wytłumaczyć, wyjaśnić Reese, że mój tata zajmuje inne miejsce w moim sercu niż jej ojciec w jej, niestety nie dostaję takiej szansy. Moje ciało się wykręca, klatka piersiowa opada na jedną stronę i czuję, jak w przełyku zbiera mi się ślina.

– Hetty?

Gorączka na mokradłach, na zewnątrz centrum turystycznego, którą ciało Byatt wyparło z mojego umysłu. Powinam była rozpoznać ten znak. Kipiał ze mnie, usadowił się wewnątrz mojego żołądka i teraz czuję coś ciężkiego w środku. Krztuszę się, a potem kładę z boku łodzi, by wypłuć z siebie wodnistą porcję żółci. Czuję, że coś ugrzęzło mi w gardle, ale nie potrafię się tego pozbyć.

– Pomóż – udaje mi się wykrztusić, wtedy Reese mnie odwraca, aby spojrzeć w twarz dzikim wzrokiem. – Muszę... – Kolejny męczący dreszcz, krew ścieka mi po policzku. – Musisz to wyjąć.

Rzuca mi puste spojrzenie, lecz po chwili dostrzegam, że to do niej dociera.

– Dobrze.

Siadam okrakiem na ławie, a Reese tak samo przede mną. Zaciskam

palce na jej udzie, natomiast jej srebrna ręka chwyta mnie za kark.

– Powiedz, gdy będę miała przestać – instruuje.

Kręcę głową.

– Nie, dopóki nie zadziała.

Otwieram usta, wtedy Reese wkłada mi do gardła dwa palce tak głęboko, jak tylko daje radę.

Nie mogę oddychać. W piersi narasta mi potrzeba, by zakaszleć, ale nie mogę tego zrobić, nie mogę przełknąć. Przez moje ciało przechodzą torsje, kiedy próbuje wyrzucić rękę Reese na zewnątrz. Oko zachodzi łzami, a świat robi się zamglony, zniekształcony, lecz czuję, że coś się porusza, uwięzione w połowie drogi w dół.

Klepię Reese w ramię, wówczas wyciąga swoją dłoń, ciągnąc za sobą wstęgi śliny. Najpierw jedna fala nudności, potem druga, aż w końcu wymiotuję. Wszegogarniający ból rozchodzi się po moim ciele, jakby ktoś wyrwał mi wnętrzności. Coś mięsistego i pulsującego spada na pokład łodzi.

Wycieram usta rękawem. Cokolwiek to jest, pokrywa to krew, ale wygląda znajomo, jakbym wcześniej widziała już gdzieś ten kształt. W podręczniku, w ciele, w lesie u pana Harkera.

– To serce – stwierdza Reese. – To ludzkie serce.

To na pokładzie się kurczy, marszczy, podczas gdy moje wciąż bije w piersi. Odwracam wzrok i opadam na Reese. Kręci mi się w głowie. Dziewczyna oplata ręce wokół mojej talii.

– Czy ktoś w szkole nie miał podobnie?

– Sarah – odpowiadam. – Dwa tętna.

A tu dwa serca. Skoro jej ciało je utrzymało, dlaczego moje nie dało rady?

Myślę o sobie i Byatt na plaży tego dnia, zanim dostałam się do Brygady Łodziowej. Ostatnia chwila, zanim wszystko się posypało. Wspominam kraba, którego znalazła, Błękitniaka z Raxter, który ma zarówno płuca oraz skrzela, o czym uczyliśmy się każdego roku na biologii. Płuca i skrzela. Żeby mógł przeżyć bez względu na wszystko.

W Błękitniakach działał Tox, we wszystkim, tak jak we mnie.

– Próbuje pomóc – wyduszam. – Próbuje mi pomóc, ale jestem zbyt

słaba.

Reese odgarnia mi włosy z karku, aby schłodził go wiatr.

– Uspokój się. Będzie dobrze.

Kaszlę, czuję kwaśny, metaliczny posmak krwi na języku. Reese przyciąga mnie tak, że opadam na jej klatkę piersiową. Łódka się kołysze, a sól unosi w powietrzu. Zamykam oko, izolując się od blasku wody oraz bladej skóry Byatt.

– W porządku. Po prostu muszę odpocząć.

Nasza trójka razem, w ciszy. Byłyśmy tu wcześniej. Któregoś weekendu w trakcie mojego pierwszego roku w Raxter. Byatt poszło oczko w ostatniej parze rajstop, więc pan Harker zawiózł nas na kontynent, by znaleźć jej nowe. Miałyśmy spotkać się z nim w parku, kiedy już będziemy gotowe, ale się spóźnił, dlatego wyciągnęłyśmy się w pstrokatym cieniu rozłożystego dębu. W świetle liście stały się przezroczyste, powietrze było świeże i słodkie. Byatt pośrodku, a ja z Reese po bokach. To był pierwszy raz, gdy pozwoliłyśmy sobie trwać w ciszy. Po raz pierwszy w życiu byłyśmy naprawdę sobą.

– Wydobrzejesz – szepcze Reese. Pozwalam, żeby mój umysł pogrążył się głębiej we śnie. – Uratowałaś mnie. Teraz ja uratuję ciebie.

Nie wiem, dokąd zmierzamy. Nie wiem, co będzie dalej. Jednak bicie serca Reese trwa nieprzerwanie przy moim uchu i pamiętam, pamiętam to. Naszą trójkę razem. I zrobię wszystko, by znowu tak było.

PODZIĘKOWANIA

Byłam taka szczęśliwa, pracując nad *Toxycznymi* z niesamowitą drużyną. Z całego serca dziękuję każdemu z was – rozumieście, co mam na myśli, i pomogliście mi znaleźć odpowiedni sposób na przekazanie tego. Zawsze będę wdzięczna.

Kriscie Marino – za poświęcenie, gdy próbowałyśmy w całości wyciągnąć dziewczyny z mojej głowy, oraz za twoje przewodnictwo, kiedy przelewałyśmy to na papier. Twoja wnikliwość tak wiele mnie nauczyła i popchnęła tę książkę w sposób, którego się nawet nie spodziewałam.

Dziękuję moim agentom, dla których jestem pełna podziwu. Daisy Parente za każdy napisany w panice e-mail, na który odpisałaś. Za twój entuzjazm, wsparcie i zobaczenie czegoś więcej w *Toxycznych*. Kimowi Witherspoonowi za wiedzę, racjonalne spojrzenie (oraz za cały zestaw odpowiedzi na historyczne wiadomości). Jessice Mileo, za twoje wsparcie i nieocenione wskazówki. Również drużynie w Lutyens & Rubinstein, InkWell i Casarotto – dziękuję wam bardzo za całą waszą pomoc.

Dziękuję Delacorte Press za niekończącą się hojność i niesamowite poświęcenie, które włożyli w uczynienie powieści *Toxyczne* najlepszą, jaka może być. Barbarze Markus, Judith Haut i Beverly Horowitz – dziękuję wam za to, że wierzyłyście w *Toxyczne*. Jestem taka dumna z dołączenia do rodziny Delacorte i Random House.

Podziękowania dla Betty Lew i Reginy Flath za projektowanie tak oszałamiającej książki i dla Aykut Aydoğdu za przygotowanie okładki, która jest niesamowita, piękna i wszystkim, co mogłam sobie wymarzyć. Do reszty zespołu Delacorte: nie potrafię sobie wyobrazić lepszych ludzi do współpracy. Monice Jean, Mary McCue, Aishy Cloud i zespołowi Underlined – Kate Keating, Cayli Rasi, Elizabeth Ward, Jules Kelly, Kelly McGauley i Janine Perez – jestem wam wszystkim wdzięczna bardziej, niż potrafię to ująć słowami.

Toxyczne nigdy by nie powstały, gdyby nie wspierająca mnie grupa z Uniwersytetu Wschodniej Anglii. Wszystkim wam dziękuję za wsparcie

i za danie mi najważniejszej z wczesnych wskazówek: prosić o więcej. Podziękowania dla wydziału – Jeana McNeila i Trezzy Azzopardi – za doradzanie mi, podczas gdy przekształcałam *Toxyczne* w coś zdatnego do czytania. Dla Taymoura Soomro za to, że rozumiał, co chciałam powiedzieć, nawet zanim to zrobiłam, za całe twoje wsparcie, a ponad wszystko za twoją przyjaźń. Avani Shah za towarzyszenie mi przy rozmaitych śniadaniach, za dzielenie się moimi celnymi opiniami względem chleba i czytanie coraz to nowszych wersji *Toxycznych*. Jestem taka szczęśliwa, że cię znam.

Mojej mamie. Dziękuję ci za każdą podróż Darwina, za każdy film, za każdą podwózkę na stację kolejową i, co najważniejsze, za wysyłanie mi zdjęć psa na każde żądanie. Dziękuję ci za pozostanie ze mną. Ja zawsze będę z tobą.

Dziewczynom, które spotkałam przez internet: Christine, Claire i Emily. Wiecie, jak wiele kosztowało mnie pisanie tego i ogromnie wszystkie was lubię. Jesteście pełne życia, bystre oraz bardzo, bardzo mi drogie. Przepelnia mnie wdzięczność za to, że pozostajecie w moim życiu.

Dziękuję moim wrażliwym czytelnikom za wasz czas i rady – jakiegokolwiek błędy popełnione w tej książce są moje i tylko moje. Dziękuję Yarborosowi, który wielkodusznie pokazał mi wyspę Harkera, inspirację dla Raxter. Dziękuję Samowi z Middlebury i Sin z Providence za bycie świadkami większości niepowodzeń *Toxycznych*. Nauczycielom za dodatkowy czas, jaki włożyliście w czytanie mojej pracy, i za wasze poparcie. Przyjaciołom za znoszenie mnie, gdy pokazywałam wam przybliżone rysunki pasożytów, oraz mojej rodzinie za wasze poparcie, nawet gdy wciąż zmieniałam zdanie (znowu i znowu, i znowu).

I w końcu dziękuję młodszej Rory, która zdecydowała się zostać. Nie byłoby mnie tu bez ciebie.

1) *Pstre piękno*, Gerald Manley Hopkins, tłum. Stanisław Barańczak (przyp. red.). ↵

2) Paroksyzm – nagłe wystąpienie lub zaostrzenie się objawów chorobowych (przyp. red.). ↵

3) Mezanino – niska kondygnacja pomiędzy parterem a pierwszym piętrem; półpiętro (przyp. red.). ↵

4) Influenza – grypa (przyp. red.). ↵

5) Tetherball – gra przeznaczona dla dwóch osób, polegająca na uderzaniu w piłkę przywiązaną na długiej linie do słupa. Jeden z graczy uderza w nią w kierunku zgodnym z ruchem wskazówek zegara, natomiast drugi w przeciwnym. Wygrywa ten, kto pierwszy owinie cały sznurek dookoła słupa (przyp. red.). ↵

6) Brzoza papierowa – gatunek drzewa, który pochodzi z północnych rejonów Ameryki Północnej (przyp. tłum.). ↵

7) Szandek – listwa wzmacniająca przy burcie statku (przyp. red.). ↵